

**ZBIGNIEW NIENACKI**

**PAN SAMOCHODZIK I  
NIEUCHWYTNY  
KOLEKCJONER**

1997

**TMN**

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

### I ODMÓW TU SIOSTRZE • NIECH ŻYJE ROZTOCZE • PRZERWANA DYSKOTEKA • CZY WUJEK MÓWI PO ANGIELSKU • SAMOCHÓD CZY MASZYNA DO STRZYŻENIA TRAWNIKÓW • NA SPOTKANIE Z DYREKTOREM MARCZAKIEM

Pod koniec czerwca otrzymałem list od mojej siostry, Ewy, mieszkającej w Łodzi...

Nigdy dotąd nie rozpisywałem się o mojej rodzinie, co najwyżej wspominałem kiedyś o bracie Pawle. Wstyd przyznać, ale nie utrzymywałem ze swoją rodziną bardziej zażyłych stosunków. Nasze kontakty ograniczały się do przesyłania kart pocztowych z okazji świąt i rocznic oraz do przypadkowych spotkań. Paweł prowadził w Poznaniu dużą restaurację, a o czym może rozmawiać restaurator z historykiem sztuki? Ewa i jej mąż to fizycy, wykładający na uniwersytecie nauki ścisłe, o których nie miałem zielonego pojęcia, podobnie jak oni niewiele wiedzieli o historii sztuki i nie okazywali zainteresowania moimi przysgodami. Kilkakrotnie odwiedziłem ich w Łodzi, lecz do dalszych wizyt zniechęciła mnie para dzieciaków, rozpuszczonych jak dziadowski bicz. O ile dobrze pamiętam, podczas ostatniego pobytu u siostry zostałem przez jej synka wysmarowany w nocy czekoladą, a córeczka wylała radośnie filiżankę kawy na mój nowiutki garnitur. Rodzice nawet nie uważali za słuszne skarcić swe pociechy!...

Tak oto przedstawiały się moje stosunki rodzinne, gdy pod koniec czerwca – otrzymawszy właśnie zaległy a upragniony urlop – dostałem również list od mojej dawno nie widzianej siostrzyczki:

*Kochany Tomasz!*

*Szczerliwym trafem uzyskaliśmy wraz z mężem sześciotygodniowe stypendium naukowe, przyznane przez uniwersytet w Oxfordzie. Mamy też wygłosić tam dwa referaty. To wielkie wyróżnienie! Jednak tak się złożyło, że przed miesiącem zmarła nasza gosposia. Jej śmierć postawiła nas w*

*bardzo trudnej sytuacji: co zrobić z dziećmi!? Ze sobą zabrać ich oczywiście nie możemy, a jak zostawić je bez opieki, gdy Jacek ma dopiero czternaście lat, a Zosia piętnaście?*

*Wybacz, ale ośmieliłam się pomyśleć o tobie, braciszku...*

*Pisałeś kiedyś, że często jest ci smutno samemu. Może więc tegoroczny urlop spędziłbyś z naszymi dziećmiakami? Wiem, że kochasz żagle i zapewne planujesz wypoczynek na Mazurach. Jacek i Zosia tak pragnęliby poznać Wielkie Jeziora! Zresztą nie jest to tak ważne, jak powaga naszej sytuacji „stypendialnej”. Krótko mówiąc: jeśli zrezygnujemy z tego stypendium, to wypadniemy z obiegu – jak to się mówi – i na następne tej rangi nie możemy już liczyć! Jeśli więc możesz, ratuj! A jeśli nie odmówisz siostrze, to, proszę, pośpiesz się, bo już za tydzień musimy być w Anglii.*

*Kochająca cię zawsze*

*Ewa*

Nie wiem, jak postąpilibyście na moim miejscu. Co do mnie, to rozważałem sprawę długo i głęboko, wbrew przekonaniu siostry bowiem nigdy nie czułem się samotny. A już naprawdę nigdy nie potrzebowałem dla dobrego samopoczucia towarzystwa rozwzdrzonych małolatów. Tego roku zresztą nie zamierzałem spędzić urlopu na Mazurach, pod koniec ubiegłego sezonu bowiem rozbiłem swój jacht „Krasulę” na głazowiskach Śniardw i dotąd nie zaoszczędziłem wystarczającej sumy na jego remont.

Tegoroczny urlop planowałem spędzić na pieszej wędrówce po Roztoczańskim Parku Narodowym, o którym słyszałem tyle zachwyty, a nigdy nie miałem okazji go zwiedzić. Czy pieszczoszki mej siostry zgodzą się na trudy takiej łazęgi: dźwiganie namiotów i zapasów, a w zamian żadnych atrakcji oprócz podziwiania pięknych widoków? A siedzieć z nimi przez miesiąc w Warszawie, w mojej kawalerce?...

Z drugiej strony należało pomóc siostrze. Ostatecznie to naprawdę wielka sprawa dla niej takie stypendium. Nie mają już z mężem po dwadzieścia parę lat i taka szansa może się nie powtórzyć.

Rad nie rad zatelefonowałem do Ewy i przyrzekłem już wkrótce pojawić się w jej łódzkim mieszkaniu, aby mogła spokojnie wraz z mężem odlecieć do Anglii wraz ze swoimi referatami. Jak spędzę urlop z ich dziećmi, nie miałem zielonego pojęcia, ale żywiłem nadzieję, że wszystko jakoś samo się ułoży, jak już tyle razy bywało.

Gdy zaszedłem do Ministerstwa Kultury i Sztuki – gdzie pracowałem – po kartę urlopową, sekretarka zatrzymała mnie na chwilę:

– Szef chciałby się z panem zobaczyć przed pana ucieczką w siną dal. Niestety w tej chwili go nie ma, ale prosił, aby koniecznie go pan odwiedził.

– Oczywiście, będę w departamencie pojutrze.

„Tylko najpierw przywiozę siostrzeńców. Dyrektor Marczak, choć srogi, może te dwa dni poczekać!” – pomyślałem sobie.

Mój cudaczny a cudowny wehikuł był w doskonałym stanie – zresztą ostatnio mało z niego korzystałem. Przyznam, że nieco się wstydziłem tego pudła podobnego do skrzyżowania czółna z namiotem na szeroko rozstawionych kołach. Jego ogromnych zalet nie było przecież widać, a wokół tyle eleganckich, drogich aut najróżniejszych marek! Czasem przylapywałem się nawet na myśli, że dobrze byłoby mieć jakieś szykowne auto, ot, choćby peugeota czy rovera. Ale czy stać na taki wóz urzędnika tej rangi co moja? A gdyby nie zalety mojego wehikułu, czy wyszedłbym zwycięsko z tylu potyczek ze złodziejami dzieł sztuki?

Dotarłem do Łodzi o dziewiątej wieczorem. I wtedy okazało się, że od mojej ostatniej wizyty ulicę Piotrkowską, gdzie mieszkała Ewa, pokryto specjalną kostką i zmieniono w pasaż spacerowy. Ani mowy wjechać na nią samochodem. Sporo czasu zajęło mi więc szukanie parkingu i dopiero po dziesiątej dotarłem pieszo do celu.

Dom był nowoczesny, czteropiętrowy; przez otwarte okna na trzecim piętrze dobiegały dźwięki głośnej muzyki „szarpidrutów”, jak określałem nowoczesnych muzyków. W bramie znajdował się domofon, ale mimo moich wielokrotnych usiłowań nie mogłem dodzwonić się do mieszkania Ewy, właśnie na trzecim piętrze.

Przycisnąłem guzik domofonu innego mieszkania, przedstawiłem się i powiedziałem, kim jestem i dlaczego chcę wejść do domu. W odpowiedzi usłyszałem niechętne mruknięcie i wreszcie znalazłem się na klatce schodowej. Im wyżej wspinałem się schodami, tym słyszałem głośniejszą muzykę. Pod drzwiami mieszkania siostry hałas był już tak wielki, że dziwiłem się, dlaczego nikt z sąsiadów nie interweniuje. Na dzwonek nikt w mieszkaniu nie reagował, zresztą sam go nie słyszałem. Uderzyłem mocno kilkakrotnie pięścią w drzwi. Otworzył mi jakiś rozczochraniec:

– A pan tu czego?

– Do Jacka i Zośki. To moi siostrzeńcy – pchnąłem drzwi.

Rozczochraniec wpadł na framugę:

– No tak, tego można było się spodziewać! Przyjechał stary zgred! – zniknął w korytarzu, a na jego miejscu pojawił się krępy chłopak, w którym z trudem rozpoznałem Jacka. Szeroko rozpięta koszula była przepocona od tanecznych wysiłków.

– Aa, to wuj – mruknął niechętnie. – A my tu mamy małą prywatkę. Myśleliśmy, że wuj przyjedzie jutro... Proszę – odsunął się, robiąc mi przejście.

Cztery kolumny podłączone do magnetofonu zanosiły się rykiem, który ranił uszy. W ledwo rozświetlonym migocącymi żarówkami, gęstym od dymu powietrzu złączonych w amfiladę pokoi kłębiło się kilkunastu cudacznie ubranych i uczesanych małych. Na stołach pod ścianami walały się butelki po piwie.

Przepchałem się do magnetofonu i wyłączyłem go. Wszystkie twarze obróciły się ku mnie. Ktoś zaklął. Przed znieruchomiałych wyszła wysoka blond dziewczyna. Domyśliłem się w niej Zosi. Cóż, wyrosła, a widziałem ją ostatni raz, jak miała dziesięć lat.

– Jestem wujkiem Jacka i Zosi. Koniec zabawy – podniosłem głos – macie pięć minut na wyniesienie się z tego mieszkania!

Szczupły brunecik z kitką wyskoczył przed Zosię:

– A bądź pan tam sobie kim chcesz! Jacek i Zosia zaprosili nas i będziemy tu tak długo, jak będziemy chcieli!

Mrużąc oczy zrobiłem krok w jego stronę, specjalnie się lekko garbiąc:

– Ty, synku, wylecisz stąd pierwszy...

Brunecik dosłownie roztopił się w mroku. Inni też się cofnęli. Jacek i Zosia zaczęli coś gorączkowo szeptać swoim kumplom i kumpelkom, a po chwili został po gościach tylko smród piwa i tanich papierosów. Otworzyłem szeroko okna, strąciłem butelki z jednego z foteli i rozsiadłem się na nim.

Jacek krzątał się po mieszkaniu, usiłując przywrócić jaki taki porządek. Robił wrażenie poważnego i zakłopotanego tym, co tu zastałem. Natomiast zupełnie inaczej zachowywała się jego siostra, ubrana w głęboko wyciętą bluzkę i bardzo kuse mini. Usiadła naprzeciw mnie, prowokacyjnie zakładając nogę na nogę i patrząc mi w oczy podrzucała w dłoni koniuszek warkocza.

– Rodzice wyjechali wczoraj, a wujek miał podobno być jutro... I dlatego ten mały ubaw – usiłował tłumaczyć się Jacek.

– Po co ma się pusta chata marnować! – wtrąciła Zośka.

– Właśnie widziałem, jak się nie marnowała. A teraz widzę, że nie zmarnowała się ani jedna butelka piwa i ani jeden papieros – pstryknąłem kapsłem w popielniczkę pełną petów.

– Ani Zośka, ani ja!... – poderwał się Jacek.

O dziwo Zosia także energicznie pokręciła głową!

„Oby tak było naprawdę!” – pomyślałem i pogoniłem siostrzeńców do dalszego sprzątnięcia.

Gdy Zosia nachylała się przede mną zbierając butelki do koszyka, zauważyłem:

– A ty nie mogłabyś tak nosić nieco dłuższych sukienek?

Zarumieniła się i natychmiast obciągnęła swą króciutką spódniczkę. Pogardliwie wydeła małe usta:

– Wujek jest starym kawalerem i nie ma żadnego doświadczenia z kobietami – powiedziała. – Czuję, że to nie będą wakacje, tylko droga przez mękę.

– Chyba dla mnie – odparłem. – A poza tym nie widzę tu żadnej kobiety, tylko dziewczynę, a nawet dziewczynkę.

– Z wujka to prawdziwy zabytek – zachichotała.

– Co masz na myśli? – nasrożyłem się.

Jacek pośpieszył siostrze z pomocą:

– No bo rodzice nam mówili, że wuj ciągle przebywa wśród zabytków i być może stał się do nich podobny.

– A tak. Być może – przytaknąłem. – Ale tak czy inaczej jesteście na mnie skazani. Mylicie się jednak przypuszczając, że pobyt z wami jest dla mnie rozkoszą.

Zośka wzruszyła ramionami i ruszyła dalej sprzątać drugi pokój. Po chwili doszedł mnie z niego szept Jacka:

– Trzeba sprawdzić, czy wujek zna angielski. Jeśli nie, to będziemy się mogli łatwo porozumiewać nawet przy nim.

– Git! – ucieszyła się Zośka. – Może da się go wykołować!

Jacek po chwili wrócił do pokoju, w którym siedziałem i, udając, że sprząta akurat koło mego fotela, mruknął:

– Wujek zastał nas w nieprzyjemnej sytuacji i być może myśli o nas jak najgorzej. A my należymy do najlepszych uczniów w szkole! To buda z angielskim jako wykładowym. Wujek zna angielski?

Nie lubię kłamać, ale tym razem uważałem, że drobne kłamstwo pomoże lepiej zadbać mi o podopiecznych:

– Niestety nie. Znam tylko niemiecki, francuski i rosyjski.

Jacek zmarszczył brwi potępiająco:

– Dziwię się, że taki naukowiec jak wuj nie włada tym językiem! Przecież jeździ wujek na zagraniczne konferencje. Jak tam sobie wuj daje radę?

– Cóż, wielu historyków włada francuskim czy niemieckim. Od czego zresztą są tłumacze?

Chłopak wzruszył ramionami i wyszedł z pokoju.

Nagle opanowały mnie złe przeczucia. Zdałem sobie sprawę z kłopotów, jakie mnie czekają. Opieka nad piętnastolatką, która uważa się już za kobietę i przemądrzałym czternastolatkiem nie mogła przebiegać bez trudności. Gdyby chociaż byli młodszy lub dzielili ich większa różnica wieku, a tak tworzą zgraną i na swój sposób niebezpieczną dla tymczasowego opiekuna parę!

Sprzątanie trwało jeszcze długo, zanim wreszcie uznałem je za wystarczające i obwieściłem poziewującej dwójce:

– Koniec roboty! Czas spać. Skoro świt czeka was pakowanie plecaków. Przed południem musimy być w Warszawie.

– Walizki mamy już spakowane – ziewnęła Zośka. – Wzięłam najlepsze moje ciuchy!

Chciałem powiedzieć, że co po cudownych ciuchach na bezdrożach Roztoczańskiego Parku Narodowego, ale ugryzłem się w język. Po co od razu ich odstraszać?

Pobudkę zrobiłem kilka minut po szóstej. Młodzi krzywili się wielce, twierdząc, że przynajmniej w wakacje powinni mieć prawo do dłuższego snu. Wyjaśniłem im więc, że czeka mnie jeszcze dzisiaj wizyta u srogiego zwierzchnika, na którą nie mogę się spóźnić. Przyjęli to niechętnie, ale ze zrozumieniem, co policzyłem im na plus – nie byli jednak najgorsi!

– A dokąd zabierzesz nas, wujku, z Warszawy? – przymilała się Zosia. – Mówiłam Jackowi, że planujesz dla nas coś super atrakcyjnego!

Nie byłem pewien, czy moje plany okażą się dla nich takie super, więc na wszelki wypadek tylko mruknąłem tajemniczo:

– To ma być niespodzianka!

– Uwielbiani niespodzianki! – pisnęła Zośka, zaś Jacek oświadczył ponuro:

– A ja ich nie cierpię. Lubię wiedzieć, po jakim świecie chodzę. Nie podjąłem jednak tego tematu. Zjedliśmy śniadanie z resztek znalezionych w lodówce i wyszliśmy z mieszkania. Zadzwoniłem do drzwi sąsiadki obok, aby – w myśl polecenia siostry – przekazać jej kluczyk od skrzynki pocztowej. Otworzyła mi starsza pani w papilotach:

– Tak więc zabiera pan tę dwójkę? Przynajmniej przez jakiś czas będzie spokój na naszej klatce. Ta parka to prawdziwe szatany! Niech no tylko ich rodzice gdzieś na dłużej wyjadą czy wyjadą, to cały dom chodzi! Słyszał pan, co wczoraj wyprawiali?! A najgorsza jest ta mała...

– Owszem, słyszałem. Ale im przerwałem zabawę na dobre – odparłem.

– I chwała Bogu! – kiwnęła głową starsza pani, chowając kluczyk do kieszeni szlafroka.

Schodząc po schodach rozmyślałem, czy naprawdę Zosia jest taka najgorsza.

Na półpiętrze usłyszałem jej głos mówiący po angielsku:

– Ta plotkara gotowa nam wujka wystraszyć. Zamiast ciekawych wakacji i ubawów może nas czekać areszt domowy...

– Nie martw się. Jeszcze zrobimy z tego zabytku człowieka – ściszym głosem odpowiedział Jacek.

Na mój widok udali zawstydzonych złą opinią sąsiadki. Ale dopiero w drodze na parking Zosia odważyła się powiedzieć:

– Nasza sąsiadka ma silną sklerozę. Jej piesek hałasuje głośniejsz niż my.

Na taką bezczelność zachciało mi się ich nieco zaniepokoić:

– Zabraliście ze sobą długie gumiaki?

– Gumiaki? A po co? – zdumiał się Jacek.

– Wujek ma zamiar biegać z nami po bagnach? – zadrwiła Zośka.

– Kto wie... – odparłem tajemniczo. – Czasem bywa i taka pogoda, że w najsuchszym zazwyczaj miejscu gumowy but jest jak znalazł!

– Pogoda pogodą – spojrzała na mnie Zośka – ale czy będą tam jakieś dyskoteki? Mam ciuchy specjalnie na nie!

– Dyskoteki? Kto wie... – głos mój brzmiał już ogromnie tajemniczo.

Na drogę rodzeństwo ubrało się od stóp do głów w dzinsy o najmodniejszym kroju. Co kryły ich walizki, nie wiedziałem. Nieważne! Gumiaki zawsze gdzieś można kupić, a teraz mieli na nogach wygodne, ujmujące kostkę adidas – buty w sam raz do pieszych wędrówek.

Dochodziliśmy już do parkingu. Widziałem, jak mój wehikuł zdaje się mrugać do nas przyjaźnie swymi wyłupiastymi reflektorami, przycupnięty wśród błyszczących lakierem limuzyn.

– Ciekawe, co to za wariat jeździ takim wozem – od razu zwrócił na niego uwagę Jacek.

– Ja bym w życiu tym nie pojechała! Przecież to się lada chwila rozpadnie! A poza tym jaki wstyd! – zaśmiewała się Zosia.

Milcząc podszedłem do mego pojazdu i otworzyłem drzwiczki:

– No, proszę wsiadać i drzwi zamykać! – zawołałem, bo zatrzymali się parę metrów przed wehikułem.

Zoska rzuciła walizkę na ziemię:

– Takim czymś nie jadę!

A Jacek dodał:

– Jeśli z wujka prawdziwy zabytek, to ten wóz jest prazabytkiem!

A że nic się nie odzywałem, zaczęli mówić jedno przez drugie:

– Przecież to maskara podobna do chrabąszcza lub żółwia na kółkach! I wujek ma zamiar zabrać nas czymś takim do Warszawy i jeszcze dalej?

– Ostatecznie ojciec zostawił w garażu volkswagena. Kluczyki schował, ale ja wiem gdzie. Nie lepiej wziąć wóz ojca niż tego rupiecia? Niech go tu rdza pożera!

Roześmiałem się cicho:

– On nie jest taki najgorszy! Ba, ma nawet wiele zalet!

– Zalet muzealnych – krzyknęła piskliwie Zosia.

Jacek dodał z powagą:

– Owszem, panuje teraz moda na przeróżne stare samochody. Ale są to wozy markowe. Ten zaś wygląda mi na nieudanego samodziąła.

– Musicie jednak do niego przywyknąć. Wasz ojciec nie zostawił dokumentów swego volkswagena. A zresztą, ja naprawdę przywykłem do swego – jak go nazywacie – prazabytku. Wybawił mnie z niejednej opresji. Jeśli wstydzicie się przejechać w nim przez Łódź, to siadajcie na tylnym siedzeniu, przez jego małe i nieco porysowane szybki nikt was nie rozpozna. Tylko pośpieszcie się, na litość boską, bo dyrektor Jan Marczak naprawdę nie lubi czekać!

– A jednak nie pojedę! – tupnęła nogą Zoska całkiem po dziecinnemu.

– Ja też nie. Cenię sobie moje życie – poważniej oświadczył Jacek.

Wzruszyłem ramionami:

– A ja swój samochód lubię, choć nie ma wyszukanego wyglądu... Zresztą, co będziemy się spierać: albo jedziecie, albo areszt domowy!



– A jak będzie wyglądał ten areszt? – zaciekawił się Jacek.

– Siedzenie w mieszkaniu w Łodzi, oglądanie telewizji i spacery do parku. Co drugi dzień.

– A gdybyśmy uciekli? Musiałby wujek szukać nas po całej Polsce – z uśmiechem zajrzała mi w oczy Zosia.

Wzruszyłem ramionami.

– A skąd forsa na tę eskapadę? Zamierzacie kraść? Przecież wstęp na byle dyskotekę – o której tak marzysz – kosztuje, moje dziecko... Ja zaś...

– Wujek planował dla nas dyskoteki?! – ucieszyła się dziewczyna.

– Wolę więc ryzykować śmierć w tym pudle niż areszt – machnął ręką Jacek, ale nie omieszkał zadrwić. – Ciekawe, na ile ten zdumiewający pojazd jest ubezpieczony?

– Na więcej niż myślisz – odpowiedziałem i trzasnąłem drzwiczkami.

Niechętnie bo niechętnie, jednak rodzeństwo wsiadło wreszcie do wehikułu. Ruszyliśmy.

Zbliżaliśmy się do Rawy Mazowieckiej, gdy Jacek spytał:

– Ciekawe, ile też wyciąga ta maszyna do strzyżenia trawników? Przełknąłem spokojnie tę „maszynę” i odpowiedziałem:

– To zależy od biegu, no i od wdepnięcia gazu.

– Oo, „to” ma nawet biegi? – udał zdumienie chłopak.

– Owszem, czasem trzeba kosić trawnik szybciej, a czasem wolniej.

– Ciekawe, jaką jeszcze niespodziankę wujek nam szykuje. Bo jedną już mamy – ten superpojazd! – niewinnie odezwała się Zosia.

– Przyznam się, że sam jeszcze nie wiem – oświadczyłem równie beztrusko.

– To może tak do Zakopanego? Tam są i góry... – przymilnie odezwała się dziewczyna.

– ...i dyskoteki – wtrąciłem jej w pół zdania.

– Gór to ja nie lubię – mruknął Jacek.

– No, ale disco?! – zatroskała się jego siostra.

– To też mnie nie bawi na dłuższą metę – pokręcił głową Jacek.

– No to co cię bawi? – zainteresowałem się, ponieważ rzeczywiście nie miałem pojęcia, w jaki sposób spędzić z nimi najbliższe tygodnie. Sądząc, że w jakiś sposób sami zdradzą się ze swymi marzeniami, starałem się milczeć jak najwięcej. Ale w rezultacie poza znanym mi już upodobaniu Zośki do dyskotek nie dowiedziałem się niczego nowego.

Jechaliśmy, jak zaleca kodeks drogowy i sam Pan Bóg przykazał, dziewięćdziesiątką, i nic dziwnego, że co chwila wyprzedzały nas ze świstem opon rozmaite samochody. Ale kiedy wyprzedziło nas cinquecento, a siedzący na tylnym siedzeniu szkrab zagrał nam na nosie, Zosia nie wytrzymała:

– Nie mógłby wujek wdepnąć trochę na pedał? Czy to już resztki możliwości tej rakiety?!

– Mogę. Ale na drodze obowiązuje zakaz przekraczania dziewięćdziesiątki. Wiecie o tym równie dobrze jak ja...

– Ale inni kierowcy...

– Innych kierowców stać na mandaty. Mnie nie. Chyba, że wy zapłacicie.

Z tyłu wehikułu zapanowała cisza. Dopiero po jakimś czasie Zosia odezwała się ponuro:

– Jeśli brak pieniędzy na mandaty, to skąd weźmiemy forszę na dyskoteki?

– Na tańce jakoś wystarczy – pocieszyłem zmartwioną. I chcąc przerwać ponurą ciszę zapytałem z głupia frant:

– Ciekawe, kim chcecie zostać w przyszłości?

– Kim? – odezwała się nieufnie Zosia i dodała po pauzie: – Ja oczywiście aktorką!

– Piękny zawód, ale dlaczego wybierać go „oczywiście”? – niechcący doprawdy pozwoliłem sobie na drobną uszczypliwość, więc tym uprzejmiej zwróciłem się do Jacka:

– A ty, drogi siostrzeńcze?

– Podróżnikiem, drogi wuju – nie dał się złapać na uprzejmość.

Podjąłem więc walkę:

– A cóż takiego jest jeszcze do odkrycia dla śmiałych podróżników? Polska cię nie interesuje?

– Coś tam zawsze odkryć można. Wspiąć się po raz pierwszy na jakiś szczyt, odkryć nowe plemię w dorzeczu Amazonki. Przewędrować Antarktydę... A Polska? Wawel i Wawel, czasem Wieliczka czy zamek królewski. Od trzeciej klasy zwiedzamy je prawie co roku. Błee!

– A mnie już trzy razy zawieźli do Malborka. Od tego czasu naprawdę nienawidzę Krzyżaków! – wtrąciła się Zosia.

Tak niezbyt udanie gawędząc dojechaliśmy wreszcie do Warszawy. Zatrzymałem się Krakowskim Przedmieściu, na podjeździe Ministerstwa Kultury i Sztuki.

– No, a teraz, komu wstyd siedzieć w mym samochodzie, to niech przespaceruje się trochę, byle był tu za pół godziny. Potem zjemy obiad i naradzimy się nad wakacyjnymi planami.

Na ostatnie słowa rodzeństwu zabłyśły oczy. Oboje solennie przyrzekli stawić się przy aucie o umówionym czasie. Trzasnęły drzwiczki i zostałem sam w wehikule. Naprawdę musieli się go wstydzić!

Trochę tym zasmucony udałem się do dyrektora Marczaka.

## ROZDZIAŁ DRUGI

### DYSKRETNE POLECENIE DYREKTORA MARCZAKA • OGRABIONE MADONNY • SPOTKANIE Z POLICJANTKĄ • KTO WYNAJMUJE ZŁODZIEI • CZY AKTORKI ROBIĄ SOBIE KOLACJĘ • POJEDZIEMY DO ZAKOPANEGO CZY DO SOPOTU?

Dyrektor Marczak odchrząknął znacząco:

– Zjawił się u mnie pewien wysoko postawiony hierarcha kościelny. Słyszał bowiem, że w naszym ministerstwie działa specjalna komórka zajmująca się tropieniem fałszerzy i złodziei dzieł sztuki, a także odnajdywaniem skradzionych i zaginionych zbiorów muzealnych. Zapytał, czy w sposób możliwie delikatny moglibyśmy zająć się tak mnożącymi się ostatnio kradzieżami złotych koron na obrazach i figurach Matki Boskiej w najróżniejszych sanktuariach w całym kraju. Oczywiście ginęły także i wota. W ostatnich dwóch miesiącach były trzy takie poważniejsze kradzieże i istnieje uzasadniona obawa, że wkrótce nastąpią dalsze.

– Ale, panie dyrektorze...

– Wiem, wiem, panie Tomaszu. Starłem się wyjaśnić mojemu zwierzchnikowi, że takie sprawy należą do kompetencji policji, a nasza komórka zajmuje się raczej zdarzeniami z pogranicza prawa i przestępczości. Lecz hierarcha nie ma zbyt dużego zaufania do organów ścigania, a słyszał wiele dobrego o działalności naszej komórki, czyli pana.

– Ale... – powtórnie spróbowałem się wtrącić.

– Wiem, że już od wczoraj znajduje się pan na urlopie, lecz gdyby pan tak przy okazji wypoczynku odwiedził któryś z obrabowanych kościołów i zorientował się co nieco w charakterze popełnionego przestępstwa... Kościół byłby bardzo zobowiązany, a nawet otrzymałby pan stosowną nagrodę.

– Czy kiedyś chodziło mi o nagrodę? – oburzyłem się.

– Wiem, wiem – uspokajająco uniósł ręce Marczak. – Rzecz jednak w tym, że sprawy te mają charakter dość zagadkowy i zwykłe metody policyjne jakoś dotychczas nie zdają egzaminu.

– Ostatnio okradzione, i to w niewielkich odstępach czasu, trzy kościoły?... Co o tym sądzi policja?

Marczak lekceważąco machnął ręką:

– Pan wie, jaka jest jej skuteczność! A w dodatku, jeśli nie ma pozytywnych wyników śledztwa, to zasłania się tajemnicą służbową. Udało mi się jednak skontaktować z komendantem głównym policji i on zezwolił na zapoznanie się z aktami wspomnianych spraw. Naciskała na niego zresztą i hierarchia kościelna, która widocznie ma do nas wielkie zaufanie...

– Ale ja jestem na urlopie – przypomniałem Marczakowi.

– Jakżebym zapomniał o tym! A dokąd to pan się wybiera, panie Tomaszu?

– Jeszcze dokładnie nie wiem. Planowałem zwiedzić Roztoczański Park Narodowy, ale być może pojedę do Zakopanego, siostra bowiem obdarowała mnie na czas urlopu dwiema pociągami, którym, jak sądzę, ani w głowie wędrówki po bezdrożach Roztocza.

– Roztocze... Zakopane?... To świetnie, świetnie! Wystarczy, by skrzył pan odrobinę w bok i odwiedził któryś z okradzionych kościołów! Tak na wszelki wypadek już umówiłem pana z aspirant Gogolewską z Komendy Głównej. Ona dostarczy panu szczegółów o włamaniach...

Poczułem znajome łaskotanie w gardle. Zbyt dobrze znałem siebie, by myśleć, że pozostaną obojętny wobec tajemniczych kradzieży sanktuaryjnych koron! To nie pozostawione mi przez siostrę latorośle, a właśnie otrzymane od Marczaka informacje zmieniają moje plany urlopowe.

– Niech mnie pan jeszcze dzisiaj skontaktuje z tą aspirant Gogolewską, czy jak jej tam...

– Interesuje więc pana ta sprawa! – ucieszył się dyrektor.

– O tyle, o ile – odparłem jeszcze z pewną rezerwą. – Ale jadąc na urlop w istocie mogę odwiedzić któreś z obrabowanych sanktuariów.

– A co? Wzięło pana! – zatarł dłonie Marczak. – Wiedziałem, że odezwie się w panu detektywistyczna żyłka i nie zostawi pan sprawy samej sobie i pomoże policji.

Przytaknąłem:

– Owszem, „wzięła mnie ta sprawa”. Ale na szybki efekt niech pan nie liczy. Ostatecznie mam teraz urlop. Tak już na serio przyłożę się do niej trochę później. Na razie jeszcze raz proszę o kontakt z panią Gogolewską.

Marczak natychmiast zadzwonił do pani aspirant i umówił mnie z nią na drugą w Komendzie Głównej Policji.

Był bardzo zadowolony z mego zainteresowania włamaniemi do kościołów. Widać to było po nim. Teraz będzie mógł, jak tylko wyjdę z pokoju, zatelefonować do owego

tajemniczego hierarchy kościelnego i poinformować go, że sprawę posunął naprzód. Cóż, każdy ma swoje słabości.

Serdecznie pożegnał mnie i zapewnił:

– Gdyby miał pan jakieś trudności, proszę natychmiast dzwonić lub telegrafować. Zrobię co w mojej mocy. A teraz życzę udanego urlopu!

Nie byłby Marczakiem, gdyby w jego głosie nie zadźwięczała nutka ironii.

Zosię i Jacka zastałem kręcących się w pobliżu wehikułu, ale w takiej odległości, aby nikt ich – broń Boże – z moim samochodem nie kojarzył.

Spojrzałem na zegarek. Dochodziła pierwsza.

– O drugiej mam spotkanie w Komendzie Głównej Policji. Chodźmy tymczasem szybko coś zjeść...

– A po co wujka wzywają na policję? Czyżbyśmy jednak w drodze z Łodzi przekroczyli dozwoloną prędkość? – Jacek usiłował żartem zamaskować prawdziwe zainteresowanie.

– Jako pracownik Ministerstwa Kultury i Sztuki zajmuję się sprawami związanymi z zaginięciem zabytków. Stąd moje kontakty z policją.

– Wyobrażam sobie, jak ich to cieszy – dołączyła Zośka. – Prawie w każdej książce kryminalnej można przeczytać, że policja najbardziej nie lubi detektywów-amatorów.

– Może nawet bardziej niż przestępców – mruknął Jacek odskakując przed moim kuksańcem.

– Takim ostatnim amatorem to ja chyba nie jestem – zaśmiałem się, udając skromność. – Coś tam w życiu udało mi się rozwikłać. I to niekiedy coś, w czym zaplątała się policja...

Rodzeństwo popatrzyło na mnie z niedowierzaniem, ale i pewnym szacunkiem.

– A ja myślałam, że wujek chodzi ze szkłem powiększającym i ciągle sprawdza, czy jakiś zabytek nie uległ kołatkom albo kornikom – pokręciła głową Zosia.

Jacek dodał, jakby się tłumacząc:

– Wiemy, że wuj napisał kilka książek o zabytkach, ale my tym raczej nie interesujemy się. Jesteśmy ludźmi współczesnymi, zapatrzonymi w przyszłość...

– Czy być współczesnym, to znaczy nie znać swojej przeszłości? – zapytałem niewinnie.

Rodzeństwo zmilczało, tylko po chwili Jacek próbował się odgryźć:

– Gdyby wujek podniósł choć na chwilę maskę swego samochodu, to na pewno poznalibyśmy kawał przeszłości!

– Kiedyś podniosę maskę, ale co tam zobaczycie... to już zupełnie inna historia.

Po obiedzie w taniej restauracyjce PTTK zajechaliśmy pod gmach Komendy Głównej Policji. Podąłem Jackowi banknot:

– Kręciliście nosem na skromny obiad, to kupcie sobie teraz dużą porcję lodów. O, w tamtej kafejce. Chyba jest wystarczająco; daleko od mego pojazdu?

Widziałem, że się zawstydzili.

Poklepałem ich po ramionach:

– Nic, nic! Tylko czekajcie na mnie...

Pani aspirant Gogolewską długo kazała mi czekać w portierni. Wreszcie raczyła się zjawić – krępa blondynka po trzydziestce, ubrana po cywilnemu. Już podczas rozmowy na schodach dowiedziałem się, że historia sztuki nie jest jej główną specjalnością.

– Kiedyś była u nas specjalna komórka do spraw związanych z kradzieżami dzieł sztuki – oświadczyła ze smutnym uśmiechem.

– Niestety najlepsi fachowcy odeszli, zakładając własne salony aukcyjne albo są konsultantami w sklepach z antykami i kolekcjach. Niestety, tak mało tu zarabiamy! Musieliśmy także zredukować wiele etatów. Teraz kradzieżami dzieł sztuki z muzeów, kościołów i prywatnych kolekcji zajmują się zwykli fachowcy od włamań i kradzieży...

Gdy zająłem miejsce naprzeciw jej biurka w malutkim pokoiku z ogromną kasą pancerną, dość niechętnie położyła przede mną trzy teczki.

– Oto sprawy ostatnich włamań. Przyznam szczerze, że gdyby nie interwencja zwierzchników, nie udostępniłabym ich panu. Dobro śledztwa nade wszystko!

– Wiem – odparłem nieco złośliwie. – Zawsze się tak mówi, gdy śledztwo kuleje albo w ogóle stoi w miejscu.

Zachnęła się:

– Czy wie pan, jak nas jest mało, a jak wiele przestępstw?

Wyciągnęła z szuflady arkusz papieru i zaczęła zeń pośpiesznie czytać:

– W ubiegłym roku złodzieje okradli tysiąc sto czterdzieści muzeów, obiektów sakralnych i prywatnych kolekcji... Jak pan, jako fachowiec, sądzi, ilu funkcjonariuszy potrzeba, by zająć się tymi sprawami?

Miała rację, ale...

– Dlatego powinniście bliżej współpracować z Państwową Służbą Ochrony Zabytków, no i naszą małą komórką.

– To znaczy: z panem? – stwierdziła ironicznie. – Słyszałam, słyszałam o pańskich osiągnięciach. Te sprawy jednak, a raczej to co te sprawy zapowiadają, jak sądzę – uderzyła dłonią w teczki – chyba pana przerasta!

Zdawałem sobie sprawę, że w okularach na nosie i z moją niepokaźną figurą wyglądam raczej na urzędniczynę niż detektywa. Oświadczyłem jednak z dużą pewnością siebie:

– A jednak zajmę się sprawą tych kradzieży. Skoro wy nie macie żadnych wyników...

Przerwała mi:

– Przepraszam, ale dobre wyniki to już uzyskaliśmy. W każdym wypadku tych kradzieży bezpośredni sprawcy zostali schwytani!

– Tak?! – zdumiałem się. – O cóż więc chodzi mojemu zwierzchnikowi, no i temu dostojnikowi Kościoła?

– O to, że owych dwóch koron i diademem nie udało się odzyskać. No i oczywiście części skradzionych wotów. Tak więc sprawa jest i w pewnym sensie otwarta w dalszym ciągu, jeśli w dodatku weźmiemy pod uwagę, że owe kradzieże zdają się zapowiadać coś jeszcze, sam pan rozumie... No i ta tajemnicza kobieta, która włamała „nadała”. Jest na wolności...

To mówiąc podsunęła mi teczkę i wyszła z pokoju.

Zacząłem przeglądać dokumentację trzech włamań, chcąc doszukać się w nich cech wspólnych dla owych przestępstw. Okazało się, że były dokonywane według jednego schematu: mały, lecz słynący cudami kościółek w niewielkiej miejscowości, a w nim obraz bądź figura Matki Boskiej ozdobiona na znak czci koroną lub diademem. Zjawia się tam trudna do rozpoznania kobieta i zamawia u miejscowych chłopaczków-pijaczków skok na kościół. Wota dla nich, korona Matki Boskiej ma być dostarczona na listowny sygnał do Sopotu i tam – zawsze późną nocą – przekazana zamawiającej włamanie; oczywiście za sowską zapłatą.

Włamywaczy schwytano w każdym przypadku bez trudu, ponieważ mieli w zwyczaju szastać pieniędzmi na prawo i lewo oraz próbowali sprzedawać zrabowane wota.

Aresztowani natychmiast przyznali się do winy. Niestety – mimo najszczerzych chęci – nie mogli wskazać dojścia do swej pracodawczyni. Jedno było ponoć pewne, że to blondynka i podróżuje czerwonym combi, bliżej nie określonej marki, podobno audi.

Kończyłem robienie notatek, gdy wróciła pani aspirant:

– No i co? Trafił pan na coś? – drwiła nadal.

– Niestety, nie – przyznałem. – Chociaż jest jeszcze jeden element wspólny dla tych trzech włamań. Miejscowości, w których ich dokonano, zaliczają się do turystycznych. Od późnej wiosny do jesieni kręci się tam mnóstwo obcych ludzi, co znakomicie ułatwia przygotowanie kradzieży...

– ... i znakomicie utrudnia śledztwo – westchnęła pani Gogolewska. – Poza tym w takich miejscowościach łatwo o osobników zwanych po angielsku „moral insanity” – czyli pozbawionych uczuć i instynktów moralnych, a więc łatwych do namówienia do targnięcia się na, bądź co bądź, świętości w oczach ogółu ludzi.

– Zgadzam się z panią – skinąłem głową – jednakowoż ciekawi mnie, jak wielką wartość przedstawiały owe korony?

– Nawet znaczną, aczkolwiek nie wydaje mi się, że usprawiedliwiającą tak skomplikowany i pracochłonny przebieg akcji. Poza tym to niefrasobliwe pozbawienie się, na rzecz podrzędnych wykonawców, również przedstawiających dużą wartość wotów...

Te zdania pani Gogolewskiej wryły mi się głęboko w pamięć, choć ona sama zdawała się nie przywiązywać do nich wagi.

– ...ale wracając do wartości koron. Obie były wykonane ze złotej blachy, również złoty był diadem. Wszystkie trzy przedmioty były bogato inkrustowane drogimi kamieniami i perłami. A nie może tu być mowy o imitacji, jako że jest ona zabroniona przy wykonywaniu przedmiotów sacrum w Kościele katolickim.

– Wygląda więc na to, że tajemniczą zleceniodawczynią interesowały szczególnie korony. Co mówią o tym złodziejaszki?

Gogolewska wzruszyła ramionami:

– Nic. Bo o niczym nie mają pojęcia. Ukraść, dostarczyć, zainkasować – to ich całe zadanie. Komu i dlaczego?... Pan stanowczo za dużo od nich wymaga. Przesłuchiwano ich już zresztą tyle razy!

– A czy ja mógłbym porozmawiać z nimi?

– Pan wybaczy – rozłożyła ręce pani aspirant – w tej fazie śledztwa... Chyba, że uzyska pan zezwolenie od prokuratora. Ale to może potrwać...

– Ależ ja wyjeżdżam! Jak więc mogę...

– Korzystając ze swych zdolności...

Miałem już dosyć ironii pani aspirant. Wstałem z krzesła, co widocznie poruszyło moją rozmówczynię, bo wydobyla z szuflady jeszcze jakąś kartkę:

– Aha, mam tu jeszcze jeden szczegółik z ich ostatnich zeznań. Otóż kradzieży dokonywali po otrzymaniu telegramu: „Załatwcie sprawę i przyjeżdżajcie do znajomych w Sopocie”. W dwa dni później przekazywali łup o dwunastej w nocy na końcu szlaku spacerowego za Zachodnimi Łazienkami w Sopocie. Fant odbierała nadająca skok kobieta, ale za nią w ciemności ponoć się ktoś ukrywał.

Zapisałem tę informację. Uprzejmie pożegnawszy się z panią Gogolewską i odebrawszy z jej rąk podpisaną przepustkę, wyszedłem z pokoju. Biegły za mną słowa:

– Przyjemnego urlopu i wyników w śledztwie!...

A więc domyślała się, że nie zrezygnuję!

Milcząc dosiadłem się do moich podopiecznych, pałaszujących już trzecią porcję lodów. Miałem chyba niewyraźną minę, bo Jacek zauważył:

– Coś wujkowi nie poszło!

– Niestety! – odburknąłem.

I tak w ponurym nastroju wsiedliśmy do auta i pojechaliśmy na Okólną odstawić je do garażu.

Gdy doszliśmy na Stare Miasto i weszliśmy do mojego mieszkania Zosia mruknęła:

– Ciasno tutaj. I tylko jeden tapczan...

– Mam dwa nadmuchiwane materace i sporo koców. Jakoś się tę noc przemęczycie. A jutro w drogę!

Wyskoczyłem do sklepu i kupiłem nieco żywności na kolację, na śniadanie i na drogę.



Gdy wróciłem, zobaczyłem, że moi podopieczni siedzą z ponurymi minami. Cóż, kawalerka była straszliwie zagracona i panował w niej nieopisany bałagan. Tylko tapczanik był od niego wolny. Resztę mieszkania wypełniały książki. Książki na półkach, książki na regałach, sterty książek na podłodze. Z trudem uprzątnęliśmy kilka takich stert pod ściany. Rodzeństwo nadmuchało materace i jakoś je rozłożyliśmy, po czym przepchnęliśmy się między nimi do kuchni.

– No, Zosiu, przygotuj nam kolację – zaproponowałem.

Wydeła pogardliwie usteczka:

– Nie umiem.

– Nie umiesz?

– Po prostu nie umiem. Mam być aktorką, nie kucharką.

– A czy aktorki nie robią sobie kolacji?

– Złe aktorki. Ja jestem stworzona do wyższych celów niż kucharzenie!

– A jednak – odparłem z udanym okrucieństwem w głosie – na naszym urlopie to na ciebie spadnie obowiązek przygotowywania jedzenia dla nas wszystkich. Ponieważ ja nie lubię gotować, a ty, Jacku?

– W naszym domu zawsze robiła to gosposia albo mama.

– A więc kobiety, Zosiu, kobiety – dokończyłem zimno.

I tak oto siostrzenica wzięła się do przygotowywania kolacji...

Kręcąc się po kuchence i pokoju Zosia zauważyła na ścianach kilka fotografii ładnych kobiet. Zdjęła jedną z nich i znalazła na niej dedykację: „Najdroższemu Tomaszowi, aby zawsze pamiętał.”

Na innej fotografii też była podobna dedykacja. Dziewczyna aż gwizdnęła ze zdumienia:

To wujek zna takie babki i do tej pory się nie ożenił?

Odchrząknąłem:

– Jakoś nigdy nie miałem czasu na dłuższe flirty. Owszem, przeżyłem z tymi paniami wiele zajmujących chwil i przygód, ale potem nasze drogi zawsze się rozchodziły...

– Czy na tych fotografiach są wszystkie wujka miłości?

– Można je i tak nazwać. Ale było w moim życiu też kilka równie pięknych kobiet, które zdjęć nie zostawiły.

– To z wujka musi być straszna fujara. Stracić takie laski! – podsumowała mnie Zośka.

Zmilczałem.

A na stertach książek Jacek już rozkładał mapę samochodową Polski.

– Patrzę na trasę do Zakopanego... Szkoda tylko, że ta mapa jest taka ogólnikowa...

– Nie zaznaczono na niej miejsc dyskotek? – spytałem drwiąco.

– To stara mapa! – Jacek machnął ręką.

Siedliśmy do kolacji, a Zosia paplała:

– Myślałam, że zdążę poznać w Warszawie jakiegoś chłopaka, który by robił za mojego osobistego narzeczonego... Tyle dziewczyn w klasie ma narzeczonych, a ja nie, choć jestem najładniejsza!

– Też mi zmartwienie – burknął Jacek.

Nie odzywałem się. Wciąż rozmyślałem o ukradzionych koronach, o tajemniczej kobiecie z Sopotu i o być może gdzieś przez kogoś przygotowywanych nowych włamaniach do sanktuariów. Wciąż powracały do mnie słowa Gogolewskiej: „nie wydaje mi się, że usprawiedliwiają tak skomplikowany przebieg akcji”. Co się więc za tym kryło?

Wstałem od stolika i sięgnąłem po mapę. Dwa z okradzionych kościołów były położone w okolicach Zamościa i Lublina – w Warku i Jastrzębiu. Trzeci, w Janisławicach, znajdował się w województwie bydgoskim. Żadna z tych miejscowości nie leżała oczywiście na trasie do Zakopanego!

– Coś się wujek martwi! – zauważył wesoło Jacek.

– A tak! – też próbowałem się uśmiechnąć. – Mój zwierzchnik, dyrektor Marczak, dał mi do rozwiązania pewną zagadkę, łudząc się, że zajmę się nią podczas urlopu, a on zaoszczędzi na delegacji służbowej i benzynie. W Komendzie Głównej Policji zaś pewna pani aspirant po prostu wyśmiała mnie...

– Zagadka? Tajemnicza sprawa? Uwielbiam coś takiego – Zośka klasnęła w dłonie.

Jacek zaś dodał z udaną powagą:

– Może wujek na mnie liczyć. Jestem mistrzem w rozwiązywaniu krzyżówek.

I tak od słowa do słowa powtórzyłem moją rozmowę z dyrektorem. Opisałem wygląd i ironię pani Gogolewskiej. Przeczytałem zrobione w Komendzie Głównej notatki.

Może postąpiłem niesłusznie, ale cóż robić, gdy się naprawdę wierzy w zdolności i spostrzegawczość młodych ludzi? Tyle razy się na nich nie zawiodłem. Podczas gdy to właśnie dorośli przysparzali mi niespodziewanych kłopotów...

Jacek zamyślił się, zerknął na mnie i zapytał:

– Wujek naprawdę odkłada rozwiązanie tej zagadki na czas po urlopie? Próbowałem wujka rozgryźć i nie wydaje mi się wujek człowiekiem, który odsuwa od siebie wyzwania na później. Przecież już ma wujek na swym koncie sukcesy w podobnych sprawach.

– No tak – kiwnąłem głową. – Ale tym razem muszę myśleć o waszym wypoczynku i bezpieczeństwie. Nie na darmo przysłowie głosi, że kto chodzi koło ognia, ten może się sparzyć. A tu trzeba będzie „chodzić” koło przestępców.

– Ee – skrzywił się Jacek – wypoczynek lubię, jak to się mówi, czynny, a co do bezpieczeństwa, to co może nam grozić pod wujka opieką?

– No! – machnęła warkoczami Zosia.

Ujęła mnie ta ich wiara we mnie.

– Cóż, spróbujemy, jeśli tego chcecie!

– Hura! – zakrzyknął Jacek i wpatrzył się pilnie w mapę, gdzie zazaczyłem trzy okradzione kościoły.

– Do tego w Janisławicach możemy zajechać jadąc na przykład do Sopotu, bo przecież tam odbywała się wymiana łupów na pieniądze. A Zośka w Sopocie będzie miała jeszcze więcej dyskotek niż w Zakopanem!

– Fajno! – ucieszyła się dziewczyna. – Poza tym słońce nad morzem tak pięknie opala! Zgadzam się na Sopot!

– Ciekawe tylko, czy zgadza się nasza kieszeń! – próbowałem ostudzić zapał podopiecznych, ale daremnie! Oni już byli w Sopocie!

– Będziemy spać na byle polu namiotowym, jeść w najtańszym barze mlecznym... – gorączkowała się Zosia.

Jej brat wtrącił zimno:

– ...byle starczyło na dyskoteki.

Wyznałem z przykrością:

– Rodzice obiecali zostawić pieniądze na wasze wakacje, ale tak się złożyło, że zapomnieli...

– A wujek nic nie ma zaoszczędzonego? – Zosia była bezlitosna.

Opuściłem ze wstydem głowę:

– Niewiele jest tego.

– No to sobie poderwę bogatego faceta – warkocz Zośki zatoczył zwycięskie koło.

Poderwałem się z krzesła:

– Zośka! – sam nie wiem, skąd wziął się u mnie tak ostry ton, ale dziewczynę jakby wgniotło w materac. Pobladła.

Jacek cicho gwizdząc wpatrywał się w okno.

I na tym na szczęście skończyła się nasza dyskusja.

– Myć się i spać!

Zasnęli niemal natychmiast. A ja rozmyślałem do świtu i nie były to wesołe myśli. Przede wszystkim bałem się kłopotów z podopiecznymi. Zosia, choć piętnastolatka, uważała się za już w pełni dojrzałą kobietę. W dodatku miała fioła na punkcie swych zdolności aktorskich, no i te jej marzenia o „osobistym narzeczonym”! Jacek z kolei był przemądrzały i zbyt pewny siebie, gdy idzie o to, do czego jest zdolny, gdy zechce postawić na swoim?

O finansową stronę naszej wyprawy nie musiałem się martwić – rzeczywiście ostatnio oszczędziłem trochę grosza. Miało to być na remont jachtu, niech będzie na potrzeby – oczywiście w miarę rozsądne – moich podopiecznych! Ale strona wychowawcza mogła mi przysporzyć sporo kłopotu. Zwłaszcza że Sopot był miejscem, gdzie latem zjeżdżają się rozmaite męty społeczne. Nagle opieka nad dwojgiem niedorostków wydała mi się ogromnym ciężarem.

A sprawa koron? Czy zdołam odnaleźć w rojowisku Sopotu ślad tajemniczej kobiety? Gdzie? W drogich lokalach czy też spelunkach? Co podczas poszukiwań robić z Jackiem i Zosią?

Osobny problem, to dziwnie lekceważący stosunek zleceniodawcy do wotów kradzionych przy okazji skoku. Nie dbała, czy złodzieje oddadzą jej wszystkie... jakiś zmyłkowy trop? Czy może bogata maniaczka? Założycielka jakiejś sekty?

Nie, to było mało prawdopodobne!

Pytania gromadziły się jedno po drugim, aż wydawało mi się, że czuję ich ciężar. Zrzuciłem bluzę pidżamy przesiąkniętą potem, co przyniosło mi niewielką ulgę, ale już świtało, gdy wreszcie przyszedł sen, niespokojny i nie dający odpoczynku.

## ROZDZIAŁ TRZECI

### DZIEJE MADONNY Z JANISŁAWIC • TAJEMNICZA PARA ANGLIKÓW • JAK ZORGANIZOWAĆ DISCO • CZY ZŁODZIEJ ROZDAJE WIZYTÓWKI • NOCLEG POD JABŁONIĄ • NARESZCIE W SOPOCIE

Janisławice, gdzie w marcu dokonano kradzieży złotego diademu z figury Madonny, były dość dużą wioską położoną na skraju Puszczy Noteckiej i nad samą rzeką Noteć. Wieś liczyła około trzystu zagród starannie i czysto utrzymanych – mury bieleły się tynkami, a dachy połyskiwały czerwonym eternitem i blachą. Asfaltowa szosa łączyła wioskę z autostradą Bydgoszcz-Gdańsk. Wszystko tu tchnęło zamożnością i schludnością.

– Bogactwo to oni mają z turystów i pielgrzymek do Matki Boskiej – nie bez zawiści poinformowano mnie w sąsiedniej miejscowości. – Co październik, to na święto Pani Janisławickiej wałą takie tłumy, że docisnąć się nie sposób! O, Pani Janisławicka słynie z cudów! A że przy tym pielgrzymi muszą gdzieś przenocować i coś zjeść, to i zarobek dla miejscowych, że na długo wystarczy!

Kościół z cudami słynącą figurą znajdował się na niewysokim pagórku pośrodku wsi. Na pierwszy rzut oka nie stanowił obiektu godnego zainteresowania. Zbudowano go na początku XX wieku, gdy dawny, drewniany, spłonął. Bryłę kościoła wzniesiono w stylu pseudogotyckim, a wieżę w pseudorokokowym, z kopulastym nakryciem. Kościół i wieża były z czerwonej cegły, dachy zaś blaszane, pomalowane na zielono. Otaczał go niski murek, a obok – w pięknym ogrodzie – wznosiła się przysadzista plebania, otynkowana na biało i kryta czerwonym eternitem.

Kościół ocieniały stare lipy, w których dziuplastych pniach mieszkało – jak się dowiedziałem – przeszło trzydzieści sów! Ponoć to one wytepiły wszystkie kawki i gawrony we wsi.

Ze względu na wczasowiczów i pielgrzymów w Janisławicach znajdowały się aż trzy restauracje i pijalnia piwa.

Pod jedną z tych restauracji, „U Wójta”, położonej dość blisko kościoła, podjechałem w południe swym wehikułem. A że z nieba lał się lipcowy żar, zaproponowałem Zośce i Jackowi zimne zsiadłe mleko z ziemniakami, a potem kąpiel w Noteci. Sam w czasie ich rzecznych ablucji postanowiłem odwiedzić parafię.

Na plebanii przyjął mnie ksiądz wikary, gdyż proboszcz od kilku tygodni chorował na reumatyzm i nie wstawał z łóżka. Wikary był około trzydziestoletnim mężczyzną o pucułowatej twarzy i początkach łysiny. Gdy pokazałem mu legitymację pracownika Ministerstwa Kultury i Sztuki oraz wyjawilem cel wizyty, natychmiast poprowadził mnie do kościoła.

– Skradziony diadem z głowy Madonny – opowiadał zmartwiony – zrobiony był ze szczerego złota wysokiej próby. Wprawdzie złota przepaska na głowie była wykonana z dość cienkiej blachy, ale z przodu diademowi wkomponowano po trzy szafiry i rubiny, a także jeden dużej wartości diament. Jak pan widzi, posążek Madonny stoi na wysokim postumencie na głównym ołtarzu. Na noc zabezpieczony jest metalowymi żaluzjami zamykanymi szyfrowym zamkiem. Złodzieje dostali się do kościoła przez tamto okienko jego wątlą kratę z łatwością wyłamali. Wspięli się doń po drabinie przyniesionej z najbliższej zagrody. Po czym rozgięli łomem żaluzje i tak sięgnęli diadem. Przy okazji nie pogardzili też kilkunastoma, cenniejszymi na oko, wotami; ale to już mniejsza strata. Poza tym większość z nich odzyskano, złodzieje bowiem nie zdążyli ich sprzedać. Policja zidentyfikowała ich bardzo szybko. Niestety po diademie ślad zaginął. Ponoć jest w rękach jakiejś kobiety, która z Sopotu kierowała całą akcją. Ale czy naprawdę tam mieszka?

„Taak, wikary może mieć rację!” – pomyślałem przyglądając się figurze Madonny z wyrzutem na chuście śladem po diademie.

– Figura pochodzi najprawdopodobniej z XIV wieku, kiedy to została wyrzeźbiona w kieleckim marmurze przez nieznanego artystę – z dumą odezwał się wikary, widząc moje spojrzenie. – Od wieków za jej przyczyną dzieją się rozliczne cuda, co dało powód do koronacji naszej Madonny, która nastąpiła w 1910 roku, wraz z poświęceniem nowego kościoła.

Przestąpiłem stalle i podszedłem jak mogłem najbliżej cudownej figury... Tak... to musiał być wiek XVI, gdy królowała jeszcze sztuka Gotów, owych barbarzyńców z Północy, których kolebką była przyszła Skandynawia. Stąd przedostali się aż nad Morze Czarne, a pod nazwą Wizygotów opanowali Hiszpanię i nawet skrawek Afryki, by wreszcie rozplynać się w pomroce dziejów równie nagle, jak się pojawili.

Istnieje jednak teoria, że sztuka Gotów – gotyk nie miała z ich kulturą nic wspólnego oprócz nazwy... Po prostu około XII wieku budowniczowie coraz to większych katedr i zamków zdali sobie sprawę, że charakterystyczne dla stylu romańskiego sklepienie kolebkowe czy krzyżowe nie wytrzymałe rozpięcia na coraz to większych odległościach i

grozi załamaniem. Niedużo doświadczeń trzeba było, by stwierdzić, że ostry, podwyższony łuk zapewnia sklepieniom o wiele większą trwałość. I z tego to łuku narodził się „unoszący myśl człowieka ku niebu” gotyk, tak cudownie wyrażony w katedrach w Paryżu, Chartres, Reims, Amiens czy Kolonii. Z architektury nowy styl przeniknął do malarstwa, iluminacji ksiąg i snycerstwa. Jakże wspaniałym przykładem gotyku w rzeźbie jest ołtarz Mariacki dłuta Wita Stwosza, gdzie w ukształtowaniu figur tak wyraźnie występuje charakterystyczny dla stylu gotyckiego „kontrapost”, czyli postawa, w której ciężar stojącej postaci wsparty jest na jednej nodze, a zrównoważony przez odpowiednie nachylenie tułowia i ugięcie drugiej nogi.

Tak właśnie nieznanemu rzeźbiarz ukształtował postać Madonny Janisławickiej. To wydaje się ona przykłękać w pokornej adoracji Boga, składając dłonie do modlitwy, to – wznosić się ku swemu Synowi.

Widząc, że moje zainteresowanie nie ogranicza się jedynie do szczegółów mogących wyjaśnić tajemnicę kradzieży, a roztacza się na całą postać Madonny, wikary przyniósł pośpiesznie z zakrystii małą broszurę o cudownej figurze...

Nie jest pewne, na czyje zamówienie została wykonana i do kogo należała. Ponoć do rodu Zembrzuskich. Gdy w XVI wieku drewnianą siedzibę tej rodziny strawił pożar, ratujący dobytek od ognia zapomnieli o figurze na domowym ołtarzyku. I nagle Madonna odnalazła się na ołtarzu modrzewiowego kościółka w Janisławicach; legenda głosi, że od tego pożaru i zapomnienia figurki Matki Boskiej datuje się upadek możnego rodu Zembrzuskich. Wkrótce skromny kościółek zasłynął cudami, a wierni zrozumieli, komu je zawdzięczają. Raz tylko opuściła Madonna swe miejsce, kiedy to w lęku przed Szwedami, a było to w czasie „potopu”, proboszcz zakopał figurę na miejscowym cmentarzu. W istocie najeźdźcy kościół spalili, proboszcza i wielu parafian zamordowali. Kilka dziesiątków lat minęło, nim wreszcie kościółek odbudowano, jak poprzedni z drewna. I znów w cudowny sposób Madonna wróciła na swe miejsce, darząc wiernych swymi łaskami. Samych cudownych uzdrowień kronika parafialna notuje kilkadziesiąt, w tym wiele, których niewytłumaczalne zaistnienie potwierdzają lekarze. Na przykład za najważniejszy cud dziewiętnastowieczny kronikarz uważa zdarzenie z 11 października 1823 roku, gdy w okolicy szalała zaraza. Tego dnia mieszkańcy Janisławic i okolicznych wiosek zgromadzili się w kościele, prosząc Najświętszą Panią o ratunek. I w ten właśnie dzień zaraza nagle wygasła. Nikt więcej nie zmarł. Od tamtego czasu dzień 11 października jest świętem Matki Boskiej Janisławickiej.

Zamyśliłem się:

– Czy żaden z księży lub kościelny nie zauważył ostatnio nikogo szczególnie interesującego się Madonną i kościołem?

Ksiądz zaśmiał się:

– A jakież to byłoby sanktuarium, gdyby się nikt nim nie interesował? Im więcej ludzi odwiedza naszą Panią, wypytuje o Nią, tym większa nasza radość!

Faktycznie, jak tu odróżnić zainteresowanie podejrzanego od szczerze pobożnego? Spróbowałem więc inaczej:

– A może ktoś interesował się zabezpieczeniem kościoła, na przykład śpiesząc ze znacznym datkiem na ten cel?

Ale i tu czekała mnie porażka:

– Wszyscy wiedzą, że jakichś specjalnych zabezpieczeń nie mamy. W kruchcie stoi skarbonka z napisem: „Ofiara na zakup systemu alarmowego”!

– Taak, trudno o lepsze zaproszenie dla złodziei – westchnąłem.

Wyszliśmy przed kościół – drogą jeden za drugim sunęły samochody i motocykle. Na wąskich chodnikach przepychał się różnokolorowy tłumek.

– Widzi pan, ilu tu przybyszów – skinął ręką wikary.

– Widzę – odparłem. – Jednak nie przybysze, a miejscowi dokonali kradzieży.

– Ale zlecił ją ktoś z zewnątrz! – wikary był górą.

Pożegnałem go serdecznie i poszedłem szukać moich podopiecznych. Odwiedziłem wszystkie trzy restauracje, zajrzałem do ogródków z lodami. Pijalnię piwa oczywiście ominąłem, ale przejrzałem oba pola namiotowe, no i przebrnąłem przez plaży...

Nigdzie ani Jacka, ani Zosi! Zaniepokojony tym wróciłem do restauracji „U Wójta”, gdzie jedliśmy obiad. Być może o rodzeństwie coś wiedzą restaurator i kelnerka?

– Ma pan na myśli tych dwoje młodych Anglików, co to przyjechali z panem tym dziwnym samochodem? – zapytał mężczyzna z sumistymi wąsami, królujący za bufetem.

– Anglików? – nie mogłem opanować zdumienia.

– A nie? – teraz zdumiał się właściciel okazałych wąsów. – Nie wiem, jak tam z panem rozmawiali, ale ze mną to im po polsku niezbyt szło. Dobrze, że mój syn ma fioła na punkcie angielszczyzny. Ma zamiar zresztą ją studiować. No to sobie pogadali. A teraz ich zabrał do świetlicy, żeby mu pomogli wybrać płyty na dzisiejszą dyskotekę. Bo wie pan, jak ci Angole się na tym znają, te bitelsy i inne takie...

– Tak, tak... ale gdzie jest ta świetlica?

– W Domu Kultury, zaraz za kościołem.

Odmówiłem proponowanego mi piwa, jedyne ponoć na ten upał, i poszedłem do auta.

Stało przy nim trzech dziesięciolatków i dyskutowało zawzięcie.

– To właśnie nim przyjechali ci Anglicy.

– Ale rejestrację ma polską.

– Dla zmyłki przerejestrowany. To jest na pewno samochód napędzany energią słoneczną albo jakimś innym tajemniczym paliwem. Widziałem takie w telewizji.

– No! I dlatego tak wygląda. Żeby konkurencja myślała, że to rupiec.

– To może on nie jest angielski, tylko japoński?

– Albo amerykański. Sprawdzają na naszych wybojach jego wytrzymałość.

– A ten kierowca w patrzalkach wygląda mi na konstruktora!



Stłumiłem śmiech i dumnie, odprowadzany pełnymi uznania spojrzeniami niedorostków, wsiałem do wehikułu i pojechałem drogą za kościołem. Zaraz też zobaczyłem spory budynek z nieco krzywym napisem wymalowanym akrylową farbą: „Dom Kultury”.

W pustej sali panował półmrok rozświetlany od czasu do czasu migotaniem barwnych żarówek, przy których majstrowali dwaj chłopcy. Zza kurtyny zasłaniającej niewielką scenę dobiegały dźwięki ostrej, czadowej – jak to się mówi – muzyki. Zajrzałem przez szczelinę w pluszu. Chyba dziesięciu młodych ludzi obojga płci tłoczyło się przy stole zarzuconym compactami, odsuwającymi na bok przez... Zośkę i Jacka! Ich krytyczne uwagi, wygłaszane to po angielsku – zresztą dobrą angielszczyzną, co trochę mnie zdziwiło – to łamaną polszczyzną, przytłaczały tubylców.

– Oh, to jest źle, bad – skrzywił się Jacek. – Jeśli disco, good disco, to inna płyta, inna kasetka. I wtedy wy macie dużo, dużo money! Ten dom wtedy zarabia, ale kiedy wy dacie najnowszy hit!

– Oh, ja znam good polish, no... wy mówicie: zespół – wtrąciła się Zosia – mnie przyjaciele w Warszawie mówili, uczyli słuchać very fine zespół: „Koszcz Mamuta”, „Sztery Nogi”, „Ryk Słownyka”, no: „Ryk Słowyka”, „Pępek Poety”...

Urwała, widząc mnie rozchylającego kotarę.

– Oh, nasz polish uncle! Ujek!

Co miałem robić? Zdemaskować i zawstydzić moją parkę? Ee, niech im tam!

– Let's go! – kiwnąłem kciukiem za siebie.

Rodzeństwo potulnie podreptało za kurtynę.

– Ale na dyskotekę przyjdziecie? – zawołał któryś z organizatorów.

– Yes – spokojnie odpowiedziała Zosia, patrząc mi lekko wyzywająco w oczy.

„Już ja ci dam »yes« bez mojej zgody!” – pomyślałem.

Bez słowa zajęliśmy miejsca w wehikule. Dopiero wtedy odezwałem się uderzając ręką w kierownicę:

– Ech, wy Anglicy od siedmiu boleści! A ja was szukam wszędzie jak idiota! Mielicie się opalać!

– Nie widzi wujek, że się zachmurzyło? – niewinnie odpowiedział Jacek. – A miejscowym fajnym ludziom chcą zamknąć Dom Kultury, bo nie ma na jego utrzymanie forsy. Źle więc zrobiliśmy doradzając, jak zarobić trochę grosza?

– Ale czemu poradziliście po angielsku?

Chłopak spuścił głowę:

– Tak jakoś wyszło... Żeby bardziej nas słuchali...

– A ty – odwróciłem się do Zosi – skąd jesteś taka pewna, że będziecie na dyskotekę? Może was nie puszczą?

– Ale ja tak lubię tańczyć! – odparła z dziwnym błyskiem w oku. – A wujek tak bardzo chciałby dowiedzieć się czegoś nowego o kradzieży diadem... bo wikary nic ciekawego, wujkowi nie powiedział...

– Taka jesteś pewna?

– A jestem – machnęła dumnie warkoczem – bo wikary już tyle razy rozmawiał z innymi mieszkańcami wsi o wszystkim, co wiedzą i o tym, czego się tylko domyślają w tej sprawie. A co mogą wiedzieć nieznanego innym poczciwi parafianie, podczas gdy sami złodzieje – mimo, jak wujek wspominał, najszczerzych chęci – nie wiedzą nic o swej pracodawczyni – znów spojrzała na mnie. – Czasem jednak prawda, poszukiwana w ukryciu i głęboko, może leżeć tak na wierzchu, tak widoczna, że nikt nie zwraca na nią uwagi...

Muszę przyznać, że dziewczyna zaimponowała mi. Po raz pierwszy nie pozowała, a była dojrzałą kobietą.

– Co wiesz?

Siostrzenica nadal bawiła się warkoczem:

– Zaraz zaraz, wujku. Dla wujka informacja, ale dla nas dyskoteka!

– No dobrze, macie ją jak w banku! – zaśmiałem się, choć zżerała mnie ciekawość, co też te małolaty mogły odkryć?!

Zosia kiwnęła na brata, który sięgnął do kieszeni i podał przez oparcie kremowy kartonik. Zgrabne litery na nim głosiły:

Hanna Mroczkowska i Joanna Złotnicka

ANTYKWARIAT

Skup i sprzedaż zabytkowych mebli

80-250 Gdańsk-Wrzeszcz, ul. Główna 18

Tel. (0-58) 47-76-77

– Skąd macie tę wizytówkę?

– Wrzeszcz to chyba niedaleko Sopotu? – uśmiechnęła się Zosia.

– Noo, niedaleko! Ale skąd ją macie?

– A wisiała sobie przyszpilona w gablocie Domu Kultury.

– A ludzie przechodzili i patrzyli na nią – dołączył do uśmiechu siostry Jacek.

Oj, złość mnie brała, ale zapytałem spokojnie:

– Pewno też wiecie, skąd ona się wzięła w Janisławicach?

– A wiemy! – odpowiedział równie spokojnie duet.

– No to już mówcie, mówcie! – poddałem się. A to – sądząc po wymianie spojrzeń – sprawiło niemałą satysfakcję tej dwójce z piekła rodem!

– Otóż sprawa jest tak prosta, że musieliśmy poświęcić połowę czasu, który darował nam wujek na kąpiel (jak widać nie tylko myśleliśmy o dyskotecce), żeby wyciągnąć z bystrej w

zglobianiu tajemnic, a gubiącej już po chwili rzeczy zwyczajne, pamięci tubylczego i rówieśniczego nam plemienia informację o tym kartelusku. Zostawiła go, oraz jeszcze parę takich samych, pewna młoda dama, najprawdopodobniej blondynka, która odwiedziła pewnego dnia – jak najbardziej jasnego dnia, a nie skrytą nocą! – Janisławice, ażeby spenetrować, czy aby miejscowa ludność nie posiada czegoś, co nazywa starociami, a co w gwarze waszej – historyków sztuki – nosi miano antyków. Udało się jej zakupić co nieco, czym wyładowała swoje audi-combi, a że pozostało we wsi jeszcze sporo interesujących ją rzeczy, których właściciele jednak nie byli skłonni wyzbyć się, zostawiła swoje wizytówki, na wypadek, gdyby któryś z posiadaczy antykwarycznych skarbów zapragnął nagle je spieniężyć.

– Kościół odwiedzała również – wtrąciła Zosia – co zresztą nikogo nie dziwiło, jako że podawała się za historyka sztuki.

– Dlaczego nikt nie powiedział o niej policji? – rozłożyłem ręce ze zdumienia.

Dziewczyna popatrzyła na mnie, jakbym to ja był małym dzieckiem, a ona osobą dorosłą:

– Oj, wujku... Bo przyjechała jawnie, z niczym się nie kryła, nie przepłacała ani nie oszukiwała na cenie. Była dla wszystkich miła, grzeczna, uprzejma. Zaraz więc o niej zapomnieli. Zresztą, takie wizyty poszukiwaczy antyków są tu dosyć częste. Gdyby nie niefrasobliwość pracowników Domu Kultury i ta wizytówka zniknęłaby dawno!

– Tak, możesz mieć rację, dla przeciętnego człowieka przestępcą musi być koniecznie odrażający typ, a nie młoda dama. A ponieważ nie mamy nic lepszego, przypatrzmy się i temu tropowi...

Rodzeństwo sapnęło z satysfakcją.

– Potańczymy dziś sobie!

Dostroiliśmy się do ich humoru – ostatecznie ta wizytówka to już coś!

– Pozwolicie jednak, szlachetni detektywi, że najpierw się zakwaterujemy?

Zajechaliśmy na pole namiotowe nad rzeką, na skraju lasu. Najładniejsze miejsca były już zajęte przez namioty i przyczepy. Musieliśmy się więc zadowolić miejscem w samym rogu. Zaraz nas zresztą stamtąd wygnano. Zjawił się osobnik w podkoszulku z bardzo luźnymi ramiączkami i tatuażami przedstawiającymi nagie damy oraz kobiece imiona na każdym ramieniu. Trzymał w ręku kwitariusz opłat za miejsca na polu namiotowym.

– Gdzie się pan tu wepchał?! – krzyknął na mnie. – Chce mi pan gości wystraszyć tym wybuchowym straszidłem? Najpierw należało zapytać o zgodę właściciela, czyli mnie, a potem dopiero pchać się na pole z tym gratem!

– Ale to ekologiczny wehikuł – poważnie odezwał się Jacek. – Jest napędzany parą.

– Parą nie parą, żadna ekologia mnie nie obchodzi! – oświadczył wytatuowany. – Ja tu decyduję. I wiem jedno: taka pokraka nie może stać na widoku! Jeśli już chcecie się tu rozbić,

to macie tam kącik za krzakami... – wskazał nam krzaki, zza których wychodził właśnie męczyzna zapinający rozporek.

– To tam jest ubikacja? – zdumiała się Zosia.

– Dopiero będzie – burknął właściciel tatuażu i pola namiotowego. – Na razie chodzi się tam po prostu w krzaki.

– I pan chce, żebyśmy tam rozbili namiot? – podniosłem głos.

– Daj spokój, wujku – przerwał mi Jacek. Rozbijemy obozowisko w sadzie właściciela „U Wójta”. Jego syn już to nam proponował. Będzie zachwycony możliwością angielskiej konwersacji.

– Uczestnicy dyskoteki również! – zaśmiałem się.

– Spoko! – odpowiedział śmiechem siostrzeniec. – Nie nawalimy!

Zaprzyjaźniony już, jak spostrzegłem, z „Anglikami” syn restauratora Rysiek otworzył nam bramę i rozstawiliśmy namiot pod ocieążą od owoców jabłonią. Piękne miejsce! Na domiar dobrego ojciec Ryśka, wdzięczny za podszkolenie syna, zaprosił nas na kolację.

Rozsiedliśmy się przed namiotem syci i nieco senni. Do dyskoteki było jeszcze trochę czasu.

– Pojedziemy, pojedziemy do Sopotu... do Wrzeszcza – zanuciła Zosia. – A tam antykwariat, a w antykwariacie blondyna!...

– I co dalej? – odśpiewałem.

– Wujek ją poderwie. Zaprosi na dyskotekę i uda zakochanego – wyrecytowała sztucznie.

– A ona wyjawi mu swe tajemnice. Przynajmniej tak dzieje się w powieściach – dokończyła normalnym głosem.

– W powieściach, ale nie w życiu – odrzekłem smutno. – Blondyna na przykład może być mężatką...

– Poflirtować każda kobieta lubi – z taką znajomością rzeczy stwierdziła Zośka, że wybuchnąłem śmiechem.

Obraziła się, ale na krótko:

– Ja wujka nauczę, jak postępować z kobietami!

Z trudem zachowałem powagę:

– Tak?

– Oczywiście. Przecież sama lubię flirtować, więc chyba się na tym znam!

I co tu było odpowiedzieć małolacie?

– Skoro nauczysz, to w drogę do Trójmiasta i blondyny!

– Zaraz zaraz, wujku – położyła mi dłoń na kolanie Zosia. – Najpierw dyskoteka! Zbieraj się, Jacek. A wujowi życzę miłych snów, by diademy spadały w nich w wuja ręce jak te jabłka. Och, z tego wszystkiego zapomniałem się przebrać! Wystarczy, że mam nie myte włosy – wskoczyła do namiotu. Po niedługim czasie ukazała się jako młodzieżowe bóstwo. O

powodzenie na dyskotecie mogła być spokojna! Po niej przebrał się skromniej, ale także szykownie Jacek.

Siostra dygnęła, brat skłonił się w pas... i poszli!

Rozłożyłem siedzenia w wehikule i rozesłałem koce. Nie mogłem gnieść się z podopiecznymi w naszym namiocie, który, choć „trójka”, ledwo wystarczał na dwie osoby, tak dziwnie był skrojony. Zresztą, nie pierwsza to noc w moim wiernym pojeździe!

Z wolna zapadał szarawy mrok lipcowej nocy. Przez otwarte okno lekki wietrzyk pachniał jabłkami, a ja starałem się dosięgnąć myślami tajemniczą antykwariuskę. Niby to wszystko było za proste, a jednak szósty zmysł podpowiadał mi, że siostrzeńcy mają rację: właśnie przez tę prostotę i jawność właścicielka czerwonego audi umknęła podejrzeniom.

Długo w noc leżałem bezsennie, pograżony w myślach, aż wreszcie wróciła moja dwójka, odprowadzana do bramy sadu przez liczne grono, z którym żegnała się długo swą śmieszoną mieszaniną języków.

– Cii...! Wujek już śpi – uciszał wciąż rozchichotaną jeszcze siostrę Jacek, gdy nadchodzili ścieżką. Zosia zamilkła i już bez słowa, no, i bez mycia! ale za to zamierzałem policzyć się z nimi nazajutrz! wpełzli do namiotu. Zgrzytnął zaciągany suwak wejścia i w sadzie zapanowała cisza. Czułem, jak ogarnia mnie senność.

Spaliśmy prawie do południa. Oni – zmęczeni tyłoma godzinami tanecznych wygibasów, ja – równie zmęczony nie prowadzącymi do nikąd myślami.

Przed wyjazdem do Sopotu, gdzie wybieraliśmy się późnym popołudniem, odbyła się krótka narada:

– Może odwiedzimy jeszcze któryś z okradzionych kościołów – zaproponował Jacek. – Warto sprawdzić, czy te miejscowości, w których się znajdują, także odwiedzała właścicielka kremowej wizytówki.

Przychylałem się do tej propozycji, ale Zosia stanowczo nie wyraziła zgody:

– Mnie teraz interesuje plaża i morze, a potem odrobina tańca – oświadczyła. – Okradzione kościoły niech wujek sobie ogląda, gdy już nas odstawi rodzicom! I tak dużo zrobiłam, bo gdyby nie moja spostrzegawczość, figę miałby wujek, a nie tę wizytówkę!

Głos Zosi zabrzmiał tak stanowczym tonem, że aż z Jackiem pochyliiliśmy głowy. Zresztą byłem przekonany, że policja już dawno zainteresowała się naszą blondyną. A że nie dostrzegłem śladu sprawdzania jej w aktach, które przeglądałem, to chyba najlepszy dowód jej niewinności...

„Ej, Tomaszu” – usłyszałem wewnętrzny podszept – „przecież twoje przecucie mówiło ci dziś w nocy coś innego! Nie lekceważ go... dotychczas cię nie zawiodło!”

Tak więc późny wieczór zastał nas błakających się w poszukiwaniu wolnego miejsca na polach namiotowych Trójmiasta.

Jak na złość wszędzie komplety! Trzeba było rozejrzeć się za tanim hotelem lub pensjonatem...

Wreszcie, tuż obok Sopotu, trafiliśmy na skromnie wyglądający hotel „Bałtyk”. I gdy cena za pokój z trzema łózkami, telefonem i łazienką okazała się niewygórowana, wynająłem go i odstawiłem wehikuł na hotelowy – ku miłemu zdumieniu strzeżony – parking. Przegryźliśmy na sucho po bułce z kiełbasą, przygotowanej przez Zosię, wykąпалиśmy się i walnęliśmy się w pościel!

## ROZDZIAŁ CZWARTY

### PODEJRZANY ANTYKWARIAT • KRÓTKI WYKŁAD O HISTORII MEBLI • ZDEMASKOWANO MNIE! • SPOTKANIE Z PIĘKNĄ BLONDYNĄ • UWAGA, PSEUDONIM KOLEKCJONER!

Wstaliśmy wcześniej, bo mimo że okno naszego pokoju nie wychodziło na morze, zbudził nas łoskot fal, bijących o pobliską plażę. W pokoju czuło się też zapach morza – słonawy, trochę gorzki, z odrobiną woni gnijących wodorostów. Przez szyby świeciło ostro lipcowe słońce. Donośny szum fal zapowiadał silny wiatr. Cała nasza trójka pragnęła jak najszybciej znaleźć się na piaszczystej plaży, wpatrzeć się w zielonkawą, zdobną pianą wodę rozlaną aż po horyzont.

Szybko umyłem się, ogoliłem i przebrałem w białe płócienne spodnie, żółtawą koszulkę z maltańskim krzyżem na kieszonce i płócienne pantofle na grubej podeszwie. Zaraz też umyli się Zosia i Jacek. Dziewczyna chciała od razu przebierać się w kostium kąpielowy i biec na plażę, jednak jej brat był nieubłagany:

- Coś mi się zdaje, że zapomniałaś o tajemniczej damie, czekającej na nas we Wrzeszczu.
- Tak – poparłem chłopaka – najpierw winniśmy wizytę antykwariatowi i jego pani.

Przypomnienie tajemnicy ożywiło Zosię. Szybko przebrała się w powiewną, ciemnoczerwoną sukienkę i rozpuściła włosy, które pięknie kontrastowały z pąsem materiału.

Jacek wcisnął się w mocno sprane dżinsy i marynarski podkoszulek.

Jeszcze przez pewien czas rozważaliśmy, czy nie poszukać tańszego lokum niż nasz hotelik, jednak po sprawdzeniu stanu książeczki oszczędnościowej doszedłem do wniosku, że na tydzień takiego „szaleństwa” możemy sobie pozwolić.

– Poza tym pole namiotowe odpada, ponieważ przez cały czas któreś z nas musiałyby pilnować jak nie namiotu, to samochodu – zamknąłem dyskusję ku ogólnej radości.

Jako że postanowiliśmy żyć oszczędnie, nie zeszliśmy na śniadanie do hotelowej restauracji, tylko wyruszyliśmy w poszukiwaniu najbliższej budki z zapiekankami.

Popijając kęs zapiekanki lemoniadą Zosia powiedziała:

– A tak w ogóle, to niech wujek szuka sobie tego głównego złodzieja czy raczej złodziejki do woli. My w tym czasie będziemy grzecznie opalać się na plaży. Owszem, zgadzam się dziś odwiedzić tajemniczą antykwariuszkę, ale to chyba już wszystko, co mogę zrobić dla sprawy...

Ja też bardzo chętnie poleniwiłbym się na morskim brzegu i pokołysał beztróska na falach, ale to Jacek skwitował wypowiedź siostry jednym słowem:

– Głupiaś!

Nie chciałbym obrażać mojej siostrzenicy, ale trochę dziwne u niej te przeskoki od dorosłości do dziecinady!

Dogryzając zapiekanki poszliśmy ku centrum Sopotu. Pomimo dość wczesnej pory deptak Bohaterów Monte Cassino pełen był ludzi, a przed „Grand Hotel” zajeżdżały eleganckie limuzyny.

– Mam nadzieję, że wujek nie będzie tu afiszował się ze swoim wehikułem? – zauważyła Zosia wpatrzona w połyskliwe, opływowe karoserie.

– Ona myśli, że jeśli ktoś ją zobaczy wysiadającą lub wsiadającą do wuja wehikułu, to już całe Trójmiasto będzie się z niej nabijało, no i oczywiście prysną marzenia o „osobistym narzeczonym” – złośliwie zaśmiał się Jacek.

Zoska pogardliwie wzruszyła ramionami, ja zaś zauważyłem:

– Sądzę, że właśnie osoba wysiadająca z mego wehikułu może zwrócić powszechną uwagę. Ładnych dziewczyn jest tutaj na pęczki, a mój samochód – jeden! Nie myśl też, drogie dziecko (specjalnie użyłem słowa „dziecko”), że ci tu pozwolę na łatwe znajomości.

Odpowiedziało mi parsknięcie, a po chwili padło:

– Wujek mówi jak rodzice! Myślałam, że wujek będzie bardziej nowoczesny!

– Tak? – udałem zdziwienie. – Przecież sama mówiłaś o mnie jako o antyku...

Zosia milczała zajęta niby poprawianiem włosów, tak by najpiękniej otaczały jej ramiona i spod oka zerkała, czy widzą to przechodzący obok mężczyźni. Uśmiechnąłem się, ale żal mi się zrobiło dziewczyny, bo czekało ją trudne zadanie, jeśli chciała zaimponować tutaj swoją urodą.

Tak samo myślał i Jacek, bo po chwili szepnął:

– Patrz, Zocha, jakie laski!

Na deptaku aż roilo się od modnie ubranych i pięknie opalonych urodziwych dziewczyn i kobiet. Zosia udawała, że tego nie dostrzega. Ale również przystojni i eleganccy mężczyźni jakoś nie dostrzegali mojej siostrzenicy. Postanowiłem więc oderwać ją od smutnych myśli i wyciągnąłem z portfela wizytówkę tajemniczej blondynki.

– Hanna Mroczkowska i Joanna Złotnicka – przeczytałem. – Ciekawe, która z nich była w Janisławicach?

– O ile ten antykwariat w ogóle istnieje – wtrącił Jacek.

– A może jest tylko przykrywką dla podejrzanym interesów?



– Ciekawe, jak wujek zamierza się zachować, gdy stanie oko w oko z tymi paniami – Zosia najwidoczniej zapomniała już o „osobistym narzeczonym”.

– Nie wiem – wzruszyłem ramionami – prawdopodobnie będę udawał klienta zainteresowanego nabyciem jakiegoś zabytkowego mebla czy drobiazgu.

– Nikt nie uwierzy, gdy zajedziemy pod antykwariat samochodem wujka. Od razu podpadniemy i nie pomoże najgoręcej okazywana chęć kupna antyków. Przecież najpierw kupuje się dobry samochód, a dopiero potem myśli o zabytkowych a zbytkowych przedmiotach!

No, no, znów przez Zosię przemówiła dorosła kobieta!

– Masz rację. Pojadę kolejką elektryczną. A wy idźcie sobie na plażę, skoro wam do niej tak tęskno.

– Mnie nie – obruszył się Jacek.

A Zosia zawołała:

– O nie! Tym razem daruję sobie uroki plażowania. Bardzo jestem ciekawa owej blondynki z Janisławic. Zresztą, wujek nie ma wprawy w rozmowach z kobietami i trzeba będzie wujkowi pomóc!

– Nie ma wprawy? – wziął mnie w obronę Jacek. – A zapomniałaś o zdjęciach w jego mieszkaniu?

– No właśnie – Zosia nie ustępowała – żadna z tych czułych dedykacji do niczego nie doprowadziła!

Na stacyjce we Wrzeszczu pierwszy napotkany człowiek poinformował nas lekko kpiącym głosem, że ulica Główna – jak sama nazwa wskazuje – znajduje się w centrum.

– Szkoda, że pod antykwariat nie zajedziemy pięknym wozem – westchnęła Zosia. – Każdy wzięłby nas za bogatych ludzi, którzy chcą upłynnić trochę zbywającej im gotówki.

– A może właśnie przed antykwariatem nie wolno parkować? – jeszcze raz stanął po mojej stronie Jacek. Nie ma to jak męska solidarność!

– Jeśli nie wolno tam parkować, to wujek może trzymać w ręku kluczyki od swego wehikułu. Kto pozna, od jakiego są auta? – znalazła wyjście Zosia.

Niestety nie chciałem się na merdanie kluczykami zgodzić, co przyjęła z wielkim żalem, a nawet po raz czwarty tego dnia obraziła się na dobrą minutę.

Numer osiemnasty ulicy Główniej we Wrzeszczu okazała się długą willą mieszczącą na parterze antykwariat i zakład jubilerski, przedzielone stromym zjazdem na zaplecze lub też może do garaży. Duże okna antykwariatu ukazywały misternie rozstawione zabytkowe meble i gabloty z równie cennymi drobiazgami.

Dzwonek, który zabrzmiał, gdy otworzyłem drzwi, wywołał z zaplecza dwie panie. Jedna, szczupła i wysoka, z włosami przeplecionymi nie maskowaną siwizną, musiała liczyć około sześćdziesiątki. Elegancka garsonka świetnie pasowała do jej pełnych dystynkcji

ruchów. Twarz o ciemnej karnacji wciąż jeszcze zachowywała ślady wielkiej, choć surowej urody.

Druga zaś mogła liczyć lat około trzydziestu. Przepysznie pełne kształty podkreślała biała bluzka z żabotem i czarna, dopasowana spódnica. Złociste włosy spinał w wysoki kok srebrny grzebień. Kąciki delikatnie zarysowanych warg lekko kierowały się w dół, jakby od niedawnego smutku.

Wiedziałem już, kto był w Janisławicach...

– To ona – wionął mi w ucho gorący oddech Jacka.

– Słucham państwa? – podeszła do nas starsza z pań.

– Chodzi mi... – głowę miałem zaprzątniętą urodą blondynki – widzi pani... myślę o jakimś zabytkowym meblu...

– Czy chodzi panu o naprawdę zabytkowy? Pytam, bo to się równa naprawdę dużej cenie – patrzyła ponad moją głowę.

„Nie da się nabrać!” – pomyślałem.

Na pomoc pośpieszyła mi Zosia:

– O, mój wujek jest bardzo bogatym człowiekiem. Ma dyskotekę na Woli i dwie smażalnie placków, a... jeszcze fabryczkę chipsów! A że się na tym tu nie zna? Jak już kupi pierwszy mebel, to z drugim pójdzie inaczej. A teraz to chyba pani może nam dopomóc? Albo może pani koleżanka?

Spojrzałem w bok i napotkałem wzrok blondynki. Bardzo uważny, jakim chyba nie patrzy się na byle klienta. No, ale na kogo wyglądałem w spółce z małolatami? Na wujka, owszem! Ale na nikogo więcej. Blondynka przeszła zaraz na zaplecze. Może mi się wydawało, ale chyba usłyszałem stamtąd wystukiwanie numeru na telefonie, ale już starsza pani prowadziła mnie ku meblom wypełniającym dwa duże salony. Z jednego z nich biegly ku piętru kręcone schody.

– Proszę się rozejrzeć – pani zatoczyła łuk dłonią. – Mamy meble gdańskie, sporo renesansu i trochę rokoka. Są i meble Chipendale, i krzesła gotyckie, a nawet jedno romańskie.

– A co pani radzi? – zapytał Jacek.

Starsza pani uśmiechnęła się z politowaniem.

– Drogi chłopcze. Styl to człowiek! Wuj sam musi wybrać. Jeśli nawet się na meblach nie zna, to niech kieruje się tym, co mu się podoba. Każdy styl ma swoją wartość, byle tylko nie był podrabiany. Ale skoro już mam radzić, to spojrzawszy na pana, zaproponowałabym renesansowy kabinet. O, tam stoi, pod oknem. Wydaje mi się odpowiadać pańskiemu charakterowi.

– Gabinet? Wujowi nie jest potrzebny gabinet – zawołała Zosia. – Nie jest lekarzem ani adwokatem!

Za plecami usłyszałem cichutki śmiech. Odwróciłem się. Oparta o framugę blondynka przysłaśniała dłonią usta. Starsza pani westchnęła i pokręciła głową:

– Nie miałam na myśli gabinetu, tylko mebel o nazwie „kabinet”; niegdyś zastępował sekretarzyki i biurka.

– To dobrze – kiwnęła głową Zosia – biurko wujkowi może się przydać!

Pani lekko wzruszyła ramionami:

– A więc nie musi być od razu kabinet. Dużo tańsze będzie biurko dziewiętnastowieczne; z czasów, gdy zaczęto je produkować i wyparły z domów mieszczan i szlachty sekretarzyki. Mamy tu kilka biurek i to całkiem ciekawych.

Dosyć już miałem udawania bogatego głupka:

– Pani się chyba myli – odezwałem się jak najuprzejmiej.

– O ile dobrze pamiętam lektury, to są biurka o wiele starsze, po prostu bezcenne. Produkowali je stolarze artyści, zwani we Francji ebenistami. Chyba pierwsze biurko wykonano na życzenie francuskiego króla Henryka IV Wielkiego. W drugiej połowie XVII wieku słynny ebenista Boulle podjął się wyrobu biurek z dodatkową przystawką na papiery. A co pani sądzi o biurkach wykonanych dla Ludwika XV, zdobionych markieterią i otwieranych zaluzjowo? Już XVII wiek przyniósł biurkom wielką popularność, ale fakt, że największy swój rozkwit osiągnęły w połowie XIX wieku – empirowe lub bidermeier. Posiadały szafki, boczne szuflady i rozbudowaną schodkowe cofniętą skrytkę. Taki mebel byłby jak najbardziej przydatny i dla współczesnego biznesmena.

Starsza pani cofnęła się bez słowa, natomiast śmiech za moimi plecami rozbrzmiał jeszcze głośniejszy, przechodząc miękko w ciepły głos:

– Coś mi się zdaje, że o biurkach mógłby pan rozmawiać nieskończenie!

– A tak! – zaczępnie potwierdziła Zośka. – Wujek nie tkwi tylko w księgach buchalteryjnych, ale czasem zagląda i do innych!

– Brał nawet udział w telewizyjnym quizie o biurkach! – no, tym razem chyba Jacek przesadził! Blondynka już się nie odezwała, a tylko starsza pani powiedziała zimno:

– No cóż, skoro jest pan takim znawcą, to proszę łaskawie samemu rozejrzeć się po naszych zbiorach.

Co było robić? Zaczęliśmy przegląd antykwariatu od drugiego pomieszczenia. Było tam kilka ładnych sekretarzyków, zwanych ongiś sekreterami. Ich styl wskazywał na bidermeier; podejrzewałem jednak, że większość była falsyfikatami z końca XIX wieku. Mimo to niektóre z nich były bardzo ładne z tą swoją nadbudową pełną rozmaitych skrytek i szufladek. Marzyłem, żeby mieć coś takiego w swoim domu, nawet falsyfikat! Lecz i one były zbyt drogie na moją kieszeń urzędnika.

Opodal stało kilka mebli gdańskich, z których szczególną uwagę przyciągało krzesło o wysokim oparciu oraz kanapa i kufer. Krzesła Chipendale były takie sobie, natomiast krył się

między nimi prześliczny stoliczek do gry w karty, wykonany z mahoni i intarsjowany hebanem i drewnem różanym.

Zgromadzenie mebli w pierwszym salonie stanowiło dość niemiłą mieszankę stylów. Rokoko, empire, wspomniany już renesansowy kabinet, wyglądające na romańskie krzesło.

Udający wielkie zainteresowanie przegląd mebli przerwało mi wypowiedziane dość ostrym tonem pytanie starszej z pań:

– A właściwie jakiego mebla pan szuka?

– No cóż – odparłem zmieszany – jak już siostrzenica mówiła, z czym zresztą zgodziła się pani koleżanka, chciałbym się zdać raczej na urok jakiegoś mebla, niż na jego przynależność do konkretnego stylu... – i nagle, ten już tyle razy wspomniany duszek czy też chochlik zapalił mi iskierki w oczach:

– Ale przyznam się, że najbardziej odpowiada mi bidermeier. Marzyłyby mi się jakiś fotel w tym stylu. Słyszałem, że są bardzo wygodne. Chciałbym też, aby był fornirowany jasnym drewnem. Najlepiej z motywami roślinnymi. Taki pogodny mebelek pasowałby mi bardzo do jasnego salonu. Niestety, akurat takiego fotela u pań nie widzę.

– Przykro mi – skinęła głową antykwariuszka, jakby na przekór temu gestowi i słowom wzruszając ramionami. – Będzie pan musiał poszukać u konkurencji...

– Ale przecież panie mają krzesło romańskie! – nie dawałem za wygraną.

Spojrzała na mnie z wyraźną już niechęcią:

– Tam stoi, pod oknem. Jednak... – sflumiła jakieś słowa – to pański wybór!

Faktycznie, pod oknem stało krzesło wyglądające na romańskie. Mówię „wyglądające”, krzesła romańskie bowiem są wielką rzadkością. Tak naprawdę to w swoim życiu dokładnie obejrzałem tylko jedno romańskie krzesło z kościoła w Aspo.

Podszedłem do wskazanego mi mebla i wtedy usłyszałem głos blondynki:

– Coś pan kręci, drogi panie: raz bidermeier, raz gotyk. To marzy się panu wygoda fotela, to znów chce pan cierpieć męki siedzenia na romańskim krześle, równie przytulnym, jakby wykuto je z marmuru, prostopadle łącząc siedzenie z oparciem!

Błękitne, duże oczy lśniły kpiąco. Nie było sensu dalej udawać. Podjąłem walkę! Powolotku obszedłem krzesło i pstryknąłem lekceważąco w jego dumne oparcie.

– To ma być romańskie krzesło? Owszem, nie przeczę, wykonano je w tym stylu. Ale sprzedawać je jako oryginał? Proszę pani?!... – zawiesiłem złośliwie głos.

Starsza dama aż podskoczyła do mnie:

– Co też pan mówi! Nasze meble oceniają znakomici rzeczoznawcy. Zresztą, Joanna, moja córka, studiowała historię sztuki i specjalizowała się w meblarstwie!...

Zły duszek rozszalał się we mnie:

– Może i studiowała, ale czy ukończyła? – zerknąłem na blondynkę.

Odpowiedziała jasnym i – na Boga! – znów kpiącym spojrzeniem.

„Już ja cię pouczę, niedouczona studentko!” – zakrzyknąłem w duchu, a głośno, słodkim głosem, rozpocząłem pouczającą przemowę:

– Jak wiadomo, romańskie meble wykonywali cieśle, a nie stolarze. Obrabiano je więc siekierą, nie strugiem. Większość autentycznych mebli z tego okresu zachowało jeszcze ślady ostrza. Tworzono je z bali, uzupełniając ewentualnie elementami z grubych desek. Tu już na pierwszy rzut oka widzimy, że krzeselko spojone jest z cienkich beleczek i równie wątych desek. Precyzja zaś obróbki wskazuje wyraźnie, że do produkcji naszego mebla użyto współczesnych nam narzędzi. Fakt, że zachowano starannie styl epoki. Ale to jedyne, co dobrego można by o owym krześle powiedzieć. Chyba, że ucieszy nas znaczna obniżka ceny, której zapewne panie, jako szanujące się antykwariuszki, teraz dokonają.

Zosia i Jacek zachichotali radośnie, tak im się mój wykład spodobał. A jeszcze głośniejsze zaśmiali, gdy dodałem:

– Zresztą, nie ukrywajmy: to krzesło nie jest jedynym falsyfikatem, jaki tu widzę!

To... to autentyczne romańskie krzesło! – z trudem łapała powietrze pani Hanna. – Mamy na nie certyfikat!

– Równie autentyczny – brnąłem dalej w złośliwość. – Proszę spojrzeć – skinąłem ku pani Joannie i przyklęknąłem przy nieszczęsnym krześle. – Jako historyk sztuki orientuje się pani, że powinny tu być złączenia jednoczopowe typu ciesielskiego... A nie ma! Nie ma też łączników drewnianych ani nawet metalowych. To współczesna robota stolarska! – wstałem otrzepując spodnie.

Kpina w błękitnych oczach z wolna ustępowała ciekawości. A ja perorowałem dalej obchodząc salon:

– Proszę zwrócić uwagę choćby na tę szafę gdańską. Owszem, przypomina, dla niedoświadczonego oka, autentyczny mebel z XVI wieku. Wielka szkoda, że nim nie jest! Szafy gdańskie wykonywano bowiem z dębiny bądź orzecha. A tu mamy, sympatyczny zresztą, lecz już z kilku kroków demaskujący fałszerzy, buk! Co do urzeźbienia, to chyba za mało jest fryzów jak na ówczesny styl. No, a przede wszystkim brakuje silnie profilowanego łamanego gzymsu wieńczącego.

– Bo może tę szafę zrobiono nie w Gdańsku, lecz w Elblągu? Tam też wytwarzano meble zwane gdańskimi – broniła się resztką sił pani Hanna.

Skłoniłem się przed jej wiedzą:

– Owszem, w Elblągu wykonywano podobne. Ale niestety, proszę pani, nie znaleziono jeszcze szafy gdańskiej wytworzonej w Elblągu z drzewa bukowego!

Blondynka wpatrywała się we mnie z najwyższą uwagą. Wreszcie odezwała się, wolno cedząc słowa:

– Pan tu nie przyszedł wcale kupować...

– A jak pani myśli, po co? – zapytałem z głupia frant.

– Tego nie wiem.

– Ale ja wiem! – prawie krzyknęła pani Hanna. – Ktoś pana nasłał, aby zepsuł pan naszą reputację! Naiwna byłam; przecież wystarczy na pana spojrzeć, żeby wiedzieć, że groszem pan nie śmierdzi i gdzie tam panu do kupna antyków!

– Na takie, jak u pani, może i wystarczy mi grosza! – odciąłem się ostro, a Zosia wtrąciła:

– Mówiłam, że wujek ma cztery dyskoteki!...

– Wspomniałaś, dziecko, o jednej... – upomniała ją pani Joanna.

Zosia umilkła i poczerwieniała ze wstydu.

Ja natomiast kontynuowałem spór, udając, że nieszczęsna uwaga o dyskotekach wcale mnie nie dotknęła. Nawet starałem się mówić uprzejmie:

– Zdaję sobie sprawę, ba, wiem o tym dobrze, że ekspertyza rzeczoznawcy dużej klasy wiele kosztuje. Zapewne więc opierały się panie w swej ocenie sprzedawanych mebli na opinii pani Joanny, która podobno skończyła historię sztuki.

– Nie podobno, tylko na pewno! I to z pierwszą lokatą! – starsza pani podniosła głos w obronie córki.

Ta milczała. Ale dostrzegłem, że lekko przygryzła wargi, a jej usta były pięknie wykrojone. Spojrzałem jej w oczy. Patrzyły teraz na mnie z wrogim spokojem i pewnością siebie. Wreszcie odezwała się:

– Niech mama nie dyskutuje z tym panem – położyła pogardliwy nacisk na słowie „tym”.

– On nie przyszedł tu kupować, to już mama widzi... Ciekawe tylko, czy nasłała go konkurencja, czy też to drobny szantażysta? No cóż, drogi panie, rzeczywiście dość rzadko zasięgałyśmy opinii ekspertów, na ogół opierając się na mojej wiedzy. Ale nigdy nie sprzedałyśmy niepewnego mebla jako autentyku! Gdyby się pan pofatygował i spojrzął na metryczkę krzesła, które pan tak wnikliwie i trafnie ocenił, zobaczyłby pan przy słowach: „krzesło romańskie” maleńki znak zapytania w nawiasie.

Postanowiłem wyznać antykwariuszkom prawdę:

– Rzeczywiście nie przyszedłem do pań kupować. Gratuluję trafności oceny – skłoniłem się przed starszą – faktycznie trudno nazwać mnie choćby dobrze sytuowanym, a co tu mówić o bogactwie! Ale żeby szantaż?!

– Co więc tu pana przyniosło? – wrogość w głosie pani Złotnickiej nie ustępowała. Już przychylniej spojrzała na mnie jej matka.

I nagle Zośka zaczęła wyrzucać z siebie słowa, jakby były pociskami wystrzelonymi w młodszą antykwariuszkę:

– Pani kręciła się po Janisławicach na krótko przed kradzieżą złotego diademu z głowy Madonny w tamtejszym kościele! W wiosce jeszcze pamiętają blondynę w czerwonym audi-combi! A jeśli nie pamiętają, to sobie łatwo przypomną, bo pozostawiła tam pani wizytówki swej firmy!

– Nie mów do mnie, dziecko: „blondyna”. Mam imię i nazwisko – pani Joanna popatrzyła z góry na Zosię.

Roześmiałem się i wyjaśniłem dziewczynie:

– Nie używaj w środowisku historyków sztuki określenia „blondyna” w odniesieniu do kobiety. Albowiem tak nazywały się koronki klockowe z jedwabnej nitki, która dawała im bladożółty kolor i złocisty połysk. Produkowano je w XVII wieku we Francji i Hiszpanii. Z czasem wszystkie jedwabne koronki, nawet czarne, zaczęto nazywać blondynami.

– Zgadza, się! – skinęła mi głową pani Joanna i jakby delikatny uśmiech przemknął przez jej piękne wargi. – To stąd jesteśmy – wskazała włosy Zosi – obie blondynami. Ale wciąż jeszcze czekam na odpowiedź: po co twój wuj tu przyszedł? Czyżby naprawdę posadzał mnie o tak dziwnie rozreklamowaną wizytówkami kradzież? Zresztą znam tę sprawę...

– Ciekawe skąd? – mruknął Jacek.

– A dlaczego to nie mielibyśmy mieć podejrzeń? – piskliwie wtrąciła Zosia. – To przecież niedaleko stąd, w Sopocie, złodzieje przekazywali łup swej pracodawczyni! Blondynie! – zakończyła złośliwie.

Ale panią Joannę trudno było wytrącić z równowagi.

– Pytam o powód zjawienia się tu pana. Twoje podejrzania naprawdę mnie nie interesują, dziecko.

Zosia nie wytrzymała już tego trzeciego, i to tak podkreślonego, nazwania ją dzieckiem. Wybiegła z antykwariatu trzaskając drzwiami.

– Przepraszam za siostrzenicę – pośpieszyłem z przeprosinami. – Nie ma za co! – machnęła ręką pani Złotnicka. – Może bardziej należą się nam przeprosiny za tę inwigilację?

– A może pan jest z policji? – wtrąciła jej matka z ledwo słyszalnym drzeniem w głosie.

– Nie. Jestem pracownikiem Ministerstwa Kultury i Sztuki – podałem starszej pani legitymację służbową. Zajmuję się ochroną dóbr kultury...

Młodsza z pań zwróciła mi legitymację nie zaglądając do niej.

– A co do Janisławic, to niepotrzebnie się pan trudził w tej sprawie aż tutaj. Policja już mnie wymaglowała! A pan myślał, że tylko on wpadł na mój ślad dzięki wizytówce? Przykro mi, ale w nocy, gdy włamywacze oddawali w Sopocie swój łup, byłam akurat na drugim krańcu Polski. Nie musi pan tego sprawdzać, bo to już sprawdzono – zaśmiała się, a mnie, mimo przykrew sytuacji, w jakiej się znalazłem, bardzo się spodobał jej śmiech.

– Wiem też o ostatnich kradzieżach dwóch złotych koron. Ale w tych miejscowościach to już mnie nikt nie widział ani też nie odkryto tam moich wizytówek!

Oj, wstyd mi się zrobiło! Skoro policja uwolniła ją od podejrzeń, to co ja tu robię?

Ale mój dobry czy też zły duszek tylko czekał na moje wątpliwości: „Tomaszu, nie rezygnuj z żadnej szansy! Wiesz przecież, iż w twoim fachu bywa i tak, że czasem cień cienia rzuca światło!”

Ech, duszku! Mimo to spytałem mą piękną rozmówczynię:

– A czy nie zastanawiała się pani, kto ze środowiska handlarzy antykami lub kolekcjonerów „nadał” te skoki? Przecież to raczej pewne, że owa tajemnicza dama blond pochodzi z Trójmiasta!

– Owszem – skinęła główką pani Joanna – w czasie, gdy ciągle byłam wzywana na przesłuchania, niejedną raz myślałam, czy nie zawdzięczam tych nieprzyjemności komuś ze znajomych. Ale jakoś nikt mi nie pasował...

Urwała. Przed antykwariat zajeżdżał mercedes kabriolet 200SLK, równie piękny jak drogi. Wsiadła z niego para: on był w średnim wieku, ubrany w połyskliwą koszulkę i wąskie sztruksy, opinające okazały brzusek; ona – bardzo młoda, w podkoszulku na nagie ciało i kusych szortach.

Gość wyraźnie mi wyglądał na biznesmena-dorobkiewicza. A ona na jego... no, powiedzmy, sympatię.

Weszli do antykwariatu i stało się oczywiste, że nie ma mowy o kontynuowaniu naszej rozmowy o koronach i tajemniczej kobiecie z Sopotu.

Ukloniłem się grzecznie właścicielkom antykwariatu i już zabierałem się do wyjścia, gdy powstrzymała mnie sama pani Joanna pytając:

– Gdzie się pan zatrzymał?

– W „Bałtyku”.

– Znam ten hotel. A ponieważ chciałabym się z panem spotkać, o ile to możliwe najlepiej jeszcze dzisiaj, to może w restauracji hotelowej?

– Jeśli to pani nie sprawi różnicy, wolałbym w jakimś innym miejscu. W „Bałtyku” łatwo o kogoś, kto zna moje nazwisko i zawód, a chciałbym uniknąć, póki można, takich spotkań. Zwłaszcza, gdy mam rozmawiać z panią.

– Rozumiem. Może więc na przykład w sopockim „Złotym Ulu”? O siódmej.

– Doskonale! – ucieszyłem się, może nawet trochę zbyt mocno, na myśl o spotkaniu z piękną antykwariuszką.

Jacek patrzył na mnie spod oka i z dziwnym uśmiechem, gdy wychodziliśmy z antykwariatu dołączając do wciąż nadąsanej Zosi.

Wsiadliśmy do kolejki i za niewiele minut przemierzaliśmy już deptaki Sopotu pogryzając frytki.

– Ta babka leci na wujka – powiedziała Zosia ciskając pustą tackę do kosza na śmieci.

– Co ty mówisz? – oburzyłem się. – Nosi inne nazwisko niż matka, więc jest chyba mężatką.

Zosia skrzywiła się:

– Nie nosi obrączki, a poza tym może być rozwódką, wdową?

– No! – mruknął Jacek. – Widziałem, jak się gapiała na wujka!

– Zaimponował jej wujek znajomością staroci. My, kobiety – uśmiechnęła się skromnie – lubimy, jak się nam imponuje!



– A co byś, kobieto, powiedziała na kąpiel w morzu? – uciekłem od niewygodnego dla mnie tematu.

– Hura! Idziemy na plażę! – i nasza kobieta podskoczyła jak dziecko.

– Ale do „Złotego Uła” pójdę sam.

– O nie, wujku. Co to, to nie! Muszę się przecież wujkiem opiekować! Bo jeszcze wpadnie mi wujek w sieci tej blondyny! Co by tam ona nie opowiadała o swej niewinności potwierdzonej przez policję, to dla mnie zawsze będzie podejrzana.

Nic nie odpowiedziałem, ale przez moment pomyślałem to samo.

– Dobrze gadasz! – przytaknął siostrze Jacek. – Mama kiedyś mówiła ojcu, że wujka to już niejedna babka za nos wodziła, taką ma do nich słabość. No i zna się na starociach, a nie na charakterach pięknych kobiet!

– Ona wcale nie jest piękna – skrzywiła się ponuro Zosia.

– No dobrze – zgodziłem się z podopiecznymi. – Idziemy do „Złotego Uła” razem. To tylko kawiarnia, a nie nocny lokal, więc może tam wpuszczą parkę małolatów pod moją opieką. A co do uroku pięknych kobiet, to umówiłem się nie na randkę, lecz w sprawach służbowych.

Na plaży, opodal Łazienek Południowych, opalały się setki ludzi. Z trudem znaleźliśmy miejsce na rozłożenie koca. Obok nas smażyły się na słońcu rodziny z małymi dziećmi, które bądź obsypywały siebie, rodziców i nas piaskiem, bądź z piskiem pędziły, deptając wszystkich, na brzeg morza, by taplać się na płyciźnie. Wśród dorosłych przeważali ludzie w średnim wieku: tęgawe panie i panowie z brzuskami. Próżno Zosia rozglądała się ukradkiem za kandydatem na „osobistego narzeczonego”. Nie sądzę też, aby trafił się jej „nadziany facet”, jak zapowiadała. Średnia zamożność, to chyba maksimum, na co mogła liczyć. Bogaci polecieli na Kajmany, Seszele, Hawaje, Tahiti, Araba czy też do Tajlandii.

Rodzeństwo pobiegło pływać, a ja ułożyłem się plecami do słońca, przymknąłem oczy i pogрузyłem się w myślach:

„Tak, Sopot, jak i całe Trójmiasto, ze swoim bogatym półświatkiem, przemysłnikami, obcymi marynarzami, tajnymi kasynami, przestępcami różnego kalibru i paserami oraz wciąż napływającymi i odpływającymi przybyszami ze wszystkich stron kraju był wymarzoną miejscem dla organizowania rozmaitych przestępstw, a później łatwego pozbycia się łupów. Tu tajemnicza blondyna mogła czuć się jak ryba w wodzie. Czy też może jak pająk, który z bezpiecznego schronienia rozsnuwa nici swej sieci najdalej jak może.”

Wrócili Jacek i Zosia. Chłopak pozował nieco na kulturystę, natomiast jego siostra, jak wiele dziewcząt w tym wieku, była zbyt szczupła, o chudych nogach i rękach. Takie panienki jak ona nazywałem „panny patyczkówny”, bo przypominały mi postacie ludzkie, które w dzieciństwie tworzyłem z zapalek.

Gdy ułożyli się na kocu, aby obeschnąć, tym razem ja poszedłem wykapać się w morzu. Nie byłem w wodzie długo, bo wydała mi się zbyt zimna. Wróciłem na koc i nieco dygocąc ułożyłem się, znów przymykając oczy.

– Ciągle myślimy o blondynie? – zaczęła mnie Zosia.

– Mylisz się. Myślimy o diademie.

– Na jedno wychodzi. Powtarzam, że pani blondyna Joanna jest podejrzana.

– I znów się mylisz! – przekręciłem się na plecy. – Osoba, która tak otwarcie kręciła się po Janisławicach, która rozdawała wizytówki, a w dodatku, do licha!, ma alibi nie do podważenia, nie może być podejrzana! Chyba że dla takiego dzieciaka jak ty!

To już był czwarty „dzieciak”, którego musiała znieść biedna Zosia dzisiaj! Ale sama się napraszała...

– Tak, Zośka – zaśmiał się Jacek – gadasz tak przez zazdrość, bo twoje włosy przy jej to badyle, a i sama w porównaniu z nią jesteś chudy badyl!

– A jak mam nie być chuda, jak ciągle jestem głodna? – sprytnie wywinęła się dziewczyna. – Wujku, czy to będą wakacje nad morzem czy nadmorska głodówka?

– Jej, jak ona chce nabrać ciała! – zachichotał Jacek, ale szybko spowaźniał. – Coś mi się zdaje, wujku, że i mnie piszczy w brzuchu.

Rzeczywiście zapomniałem o potrzebach rozwijających się organizmów! No, a w dodatku o tym, że kąpiel w morzu wpływa na apetyt! Przettrzymałem ich jeszcze pół godziny, słuchając coraz głośniejszych jęków zgłodniałej Zosi.

– No, idziemy na obiad! – zakomenderowałem podrywając się z koca.

– Zaznaczam, że żadnym hot-dogiem mnie wujek nie nakarmi! – ostrzegła Zosia.

– Mój Boże – westchnąłem – że też moja siostra obdarowała mnie parką głodomorów!

Lecz i sam byłem głodny!

Znaleźliśmy w końcu – co nie było łatwe – niedrogą restaurację. Młodzi zażyczyli sobie po schabowym z podwójnymi ziemniaki i takąż kapustą oraz duże kefir. Ja poprosiłem o lekko wysmażoną wątróbkę z cebulką i pieczywem, a postanowiłem to popić morelowym kompotem.

– Mało! – stwierdziła Zosia, zgarniając resztki z talerza widelcem.

– Mało! – mlasnął Jacek.

– To może jeszcze po wątróbce? – zaśmiałem się.

A ci nienasyceńcy szybko poprosili kelnera! Szczęście, że skończyło się tylko na jednej porcji dla obojga.

– Czy powinno się tyle jeść przed spaniem? – spytałem złośliwie, gdy ociężałe wstawali od stołu.

– Przecież nie idziemy spać – mimo woli ziewnęła Zosia – tylko do „Złotego Uła”!

Spojrzałem na zegarek. Do spotkania z antykwariuszką mieliśmy jeszcze pół godziny. Wolnym krokiem podreptaliśmy więc po Bohaterów Monte Cassino, potrąceni przez coraz to

liczniejszych przechodniów. Lecz o ile rano były to głównie rodziny z dziećmi, to teraz nadchodziła pora pięknych kobiet, mocno opalonych i wydekoltowanych oraz silnych, eleganckich mężczyzn o twardym spojrzeniu. „To do nich należeć będą dzisiaj nocne kluby, kasyna i dancingi” – pomyślałem nie bez pewnego żalu.

„Złoty Ul” znajdował się na niewielkim wzgórzu naprzeciw kościoła z czerwonej cegły. Kawiarniany taras był gęsto zastawiony stolikami. Szczęściem udało się nam znaleźć wolny, tuż przy balustradzie, skąd mogliśmy spokojnie podziwiać odbywającą się na deptaku rewie mody i urody.

Podopieczni zażyczyli sobie lody, ja coctail ananasowy na wermucie. Sączyłem go wolno, w zamyśleniu.

Aż Zosia powiedziała:

- Niech wujek tyle nie marzy o blond-cudzie, bo jeszcze rozboli głowa.
- Od myśli o pani Joannie?
- A czemu nie? Mnie, jak myślę o jakimś chłopaku, to zawsze boli głowa.
- Ja wiem, boli ją często – wtrącił Jacek – bo o tylu bezskutecznie marzy.
- A właśnie, że rozmyślałam, jak się ich pozbyć! – odparowała Zosia.

Wreszcie wśród idących od dworca ujrzałem panią Złotnicką. Podobnie jak Zosia rozpuściła swe długie, połyskliwe włosy, które wieczorny wiatr rozwiewał nad jasnozieloną sukienką, mocno wciętą w tali i wydekoltowaną. W ręku trzymała malutką torebkę z wężowej skóry.

Skinęła nam ręką i wspięła się na taras. Gdy siadała obok mnie, poczułem gorzki i oszałamiający zapach nie znanych mi perfum. Błękit jej oczu ściemniał, nabrał jakby zielonkawego odcienia, tak pięknie harmonizującego z barwą sukienki.

– No i jestem – oświadczyła, jakby to nie było oczywiste i zamówiła campari z wodą sodową.

Nie lubię alkoholu, ale przypomnę, że mam inny grzech na sumieniu – od czasu do czasu palę papierosy! Zwłaszcza, gdy jestem podekscytowany. Rodzeństwo nie wiedziało o tym, toteż aż otworzyły się im usta ze zdumienia, gdy przyjąłem wąskiego, brązowego papierosa z podsuniętej mi przez panią Joannę miniaturowej złotej papierośnicy. Podałem jej ogień i sam zaciągnąłem się głęboko... I w tym momencie taras zatańczył wokół mnie, a ja zacząłem spadać, spadać prosto w śmiech kobiety.

– Och, przepraszam – usłyszałem gdzieś z oddali głos antykwariuszki – zapomniałam uprzedzić, że te afrykany są może nieco zbyt mocne dla nieprzyzwyczajonego...

Słyszałem już i stłumiony śmiech podopiecznych. Taras zatrzymał swe obroty. Uff! Zdusiłam papierosa w popielniczce.

Swoją drogą taka kobieta i takie papierosy?...

Moja sąsiadka patrzyła na mnie wesoło znad wydmuchiwanego okrągłutkiego kółka ostrego dymu.

– Wymyślił pan coś nowego czy nadal jestem główną podejrzaną?

– Ależ, proszę pani... – zająknąłem się. – Może to właśnie pani coś przyszło na myśl?

– Nic, niestety. Wiem tylko tyle, co pan: gdzie popełniono kradzież, co zginęło i że nie bardzo wiadomo, dlaczego to właśnie, bo i diadem, i korony nie są zbyt wielkiej wartości, a tu takie przemyślnie akcje! Wiadome mi też, bo doświadczyłam tego na własnej skórze, że najęci złodziejaskowie nie mają absolutnego pojęcia o tym, dla kogo pracowali. Nawet jego, przepraszam, jej, rozpoznać nie potrafią! Tajemnicza zleceniodawczyni, tajemnicze zlecenie... dobrze chociaż, że ukradzione „przy okazji” wota odzyskano prawie wszystkie, bo to będzie najprawdopodobniej jedyny sukces policji w tej sprawie!

– A kto odniesie pełny sukces?

– Oczywiście kobieta z Sopotu – wtrąciła się Zosia. – A jeśli nie z Sopotu, to z Gdyni lub Gdańska, z Wrz... – ugryzła się w język, ale na panią Złotnicką nadal spoglądała podejrzliwie.

– Może masz rację – zgodziła się pani Joanna, jakby nie dostrzegając złego spojrzenia dziewczyny. – Łupy odbierała od złodziei ta kobieta koło tak zwanego Grodowego Potoku. Dobry wybór miejsca, jest to bowiem raczej odludzie, ale dość często odwiedzane przez zakochanych. Tak więc z jednej strony duża szansa, że nikt jej nie zauważy; z drugiej – jeśli zauważy, to pomyśli, że śpieszy do ukochanego. Człowiek obcy nie wybrałby tak dobrze miejsca transakcji!

– Czy mogłaby to być, zdaniem pani, zwariowana kolekcjonerka?

Antykwariuszka uśmiechnęła się:

– Kobiety, które znam, kolekcjonują jedynie klejnoty, które mogą nosić na sobie. Może wykonywała czyjeś polecenie? Mężczyźni kolekcjonują czasem dziwne przedmioty. Na przykład mój były mąż kolekcjonuje pasterskie dzwonki. A że jest marynarzem, to zwozi je z całego świata: od Grenlandii po Tybet, od Ameryki Południowej po Australię.

„Były mąż! A więc jest rozwódką!” – nie wiem, dlaczego tak ucieszyła mnie ta informacja.

Wydobyła nowego papierosa i przypaliła go szybciej, niż zdążyłem sięgnąć po zapalniczkę.

– Ale skoro już jesteśmy przy kolekcjonerach, to może przyda się panu pewna informacja. Ostrzegam jednak, że ja sama traktuję ją raczej jako plotkę. Otóż mieszka w Trójmieście i to najprawdopodobniej w Sopocie człowiek o pseudonimie Kolekcjoner. Ale jego interesuje raczej twarda waluta. Ponoć równie twardą ręką rządzi jednym z gangów handlarzy dewizami. Macza też palce w fałszerstwach. Od tej branży dosyć chyba daleka droga do okradania kościołów z niezbyt cennych ozdób?

– A jeśli on szuka tam czegoś innego?

Wydawało mi się, że smukła dłoń trzymająca brązowy papieros drgnęła.

– Proszę pani, a czy pani nie domyśla się, kto jest owym Kolekcjonerem?

Uśmiechnęła się gorzko:

– Nawet gdybym wiedziała, nie powiedziałabym panu. Życie naprawdę jest mi miłe, tak jak i uroda, której nie mam zamiaru narażać na pochlastanie mojką.

Wiem, że to oznacza pocięcie żyletką, ale dlaczego ta elegancka kobieta użyła raptem grypsery, czyli bandyckiego slangu? Specjalnie czy poniosły ją nerwy i na sekundę odsłoniła się przede mną inna Joanna Złotnicką? Nad tym mogłem zastanawiać się później. Teraz interesowało mnie co innego:

– A gdzie mógłbym spotkać Kolekcjonera? Może chociaż to pani wie?

– Ponoć często bywa w nocnym klubie hotelu, w którym pan mieszka. Choć ta informacja nie na wiele się panu przyda. Mało jest takich, którzy widzieli jego twarz: nie sądzę więc, aby pan go rozpoznał. Policja też o tym marzy!

– Jak tu wpaść na jego trop? Jak do niego dotrzeć?

Antykwariuszka popatrzyła na mnie z troską:

– Aby tylko nie musiał pan myśleć, jak od niego uciec...

Zamyśliłem się. Wieczór powoli się pogłębiał. Zapłaciłem kelnerce i zaproponowałem pani Joannie, by chociaż tej nocy towarzyszyła mi do nocnego klubu w „Bałtyku”. Może zobaczy czyjaś twarz, która nasunie jej jakieś skojarzenia. Poza tym samotny mężczyzna w takim lokalu może wzbudzić podejrzenia, że jest agentem.

– Samotny? – poderwała się Zosia. – To znaczy, że my z wujkiem nie pójdziemy?

– A ile to masz lat, kochanie? – spytała pani Joanna.

– Mm... piętnaście... ale, wyglądam na dużo więcej!

– Może wyglądasz, ale tylko dla siebie. Tylko! – antykwariuszka była nieubłagana. – Nocny klub nie jest dla... – zawiesiła głos: dzieci! – dobiła Zosię.

– Pani woli być z wujkiem sam na sam! – próbowała odciąć się dziewczyna.

I tu pani Joanna zakłopotana się ku memu zadowoleniu:

– Po prostu chcę pomóc odnaleźć Kolekcjonera.

– A to niby dlaczego? Znacie się z wujkiem ledwo kilka godzin.

– Bo tak mi się podoba! – ucięła rozmowę kobieta.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

**ZŁODZIEJE NIE ŚPIĄ • CZYM JEST KORONA • BLONDYNA ZNÓW W AKCJI • CO JOANNA WIE O KOLEKCJONERZE • PIĘKNA BARMANKA • KTO WPUŚCI ZOSIĘ DO NOCNEGO LOKALU • NOCNE SPOTKANIE NA PLAŻY • GAZEM PO OCZACH**

W ostatnim czasie, przytłoczony nawałem zajęć, rzadko zaglądałem do gazet. Dlatego idąc z Joanną i podopiecznymi do hotelu kupiłem popołudniówkę, w której od razu rzucił mi się w oczy tytuł wybity tłustym drukiem.

„Kradzież dzieł sztuki i świętokradztwo! Co na to policja?!” Gazeta donosiła: „Obrazy »Pejzaż zimowy« pędzla Juliana Fałata, »Portret kobiety« Olgi Boznańskiej i »Ułan na koniu« Wojciecha Kossaka skradziono podczas nieobecności właściciela z mieszkania w falowcu na gdańskim Przymorzu. Sprawcy pozostają nieznani. Policja nie wpadła również na trop złodziei, którzy ubiegłej nocy włamali się do kościoła w Borkowcu i skradli złotą koronę z obrazu Matki Boskiej; zginęły również liczne wota! Śledztwo w toku, jak ujawnił dzisiaj rzecznik prasowy Komendy Wojewódzkiej Policji”.

– I znów nie podają szczegółów – zmiałem gazetę.

– Dla dobra śledztwa! – zgryźliwie zaśmiała się pani Joanna.

– Jak widać, nasz Kolekcjoner znów działa! – dopowiedział z przekąsem Jacek.

Czekałem w naszym pokoju, aż w łazience pani Joanna poprawi toaletę, gdy Zosia ni stąd ni zowąd zapytała:

– Szukamy złodziei koron i diademu, a tak naprawdę to nie mam pojęcia, po co są te korony i diademy. To znaczy wiem, że korony kładziono na głowy królom i królowym, a diademy nosiły księżniczki...

Skinąłem ku wchodzącej pani Joannie:

– To historyk sztuki z pierwszą, jak słyszeliście dziś, lokatą. Może pani wyjaśni ci tę sprawę.

Złotnicka pokręciła głową:

– Obawiam się, że zbyt wiele już zapomniałam. Mój mąż, za którego wyszłam zaraz po studiach, był oficerem marynarki. Dobrze zarabiał, więc nie musiałam pracować, a tylko bawiłam się w panią domu podczas jego krótkich pobytów w kraju. Potem on jednak znalazł sobie inną kobietę w Singapurze, a ja musiałam otworzyć, przy pomocy matki, antykwariat, aby się z czegoś utrzymać. Mama, która także kiedyś kończyła historię sztuki, zapomniała ze swych nauk jeszcze więcej niż ja. Stąd – muszę to przyznać – tak wiele w naszym antykwariacie może nie tyle falsyfikatów, co kopii...

– No to niech wujek opowie: macie jeszcze czas! – Zosia wyraźnie chciała nas zatrzymać. A czasu do otwarcia klubu faktycznie mieliśmy jeszcze sporo. Podsunąłem więc pani Joannie fotel, sam zasiadłem w drugim, a podopieczni przycupnęli na łózkach.

Splotłem palce, bo tak mi się lepiej myśli i powiodłem słuchaczy w świat koron:

– W botanice „korona” oznacza najpiękniejszą część kwiatu, najbardziej barwną. Korony te bywają jedno- i wielokwiatowe.

– O rany – przerwał mi Jacek – czy wujek nie mógłby przystąpić do rzeczy? Gotowi jesteśmy od wujka usłyszeć o koronie drzew, koronie elektrycznej, koronie jako jednostce monetarnej, koronie słonecznej, koronie południowej i koronie północnej, o których uczyłem się na lekcjach astronomii.

Chrząknąłem.

– No tak. Masz rację. Do rzeczy więc, czyli do korony jako symbolu władzy monarszej używanej od wczesnego średniowiecza. Pierwowzorem koron w starożytności były prawdopodobnie wieńce laurowe, przyozdabiające głowy cesarów, a potem diademy cesarzy rzymskich i bizantyjskich. Od czasów Karola Wielkiego, który prawdopodobnie nosił koronę żelazną, rozpowszechniły się one w Europie u monarchów różnych państw. Korona miała zwykle postać obręczy ze złota ozdobionej liliami i krzyżami, a wysadzana była drogimi kamieniami. Sądzi się, że pierwotnie koronę tak zwaną zamkniętą dwoma lub trzema, a nawet czterema obręczami i uwieńczoną krzyżem nosili cesarze, a królowie korony otwarte: tylko jedną złotą obręcz z liliami i krzyżami. Z czasem jednak i królowie zaczęli nosić to korony zamknięte, to znów otwarte. W Polsce na starych rysunkach widać, że przyjęliśmy zwyczaj niemiecki, który nakazywał, aby korona królewska miała złotą obręcz i podwójny kabłąk zakończony krzyżem. Książęta nosili korony podobne, lecz podbite gronostajem i czerwienią; natomiast dziewięciopalkową koronę miał prawo nosić hrabia, a siedmiopalkową baron. Do dziś niektórzy snobi, chcąc podkreślić swoje arystokratyczne pochodzenie, noszą na sygnetach lub mają na swych papierach listowych wyobrażenie dziewięciopalkowej lub siedmiopalkowej korony, co ma znaczyć, że pochodzą z hrabiowskiego lub baronowskiego rodu.

– A diadem? – zapytała Zosia.

– To było coś w rodzaju korony; z tym, że złota obręcz miała szlachetne ozdoby tylko z przodu. W czasach późniejszych diademy zaczęły nosić panie jako ozdoby na balach.

Diademy można i dzisiaj kupić u jubilerów, z tym, że są one rzadko kiedy ze złota i ozdobione drogocennymi kamieniami szlachetnymi. Najczęściej są jedynie pozłacane i wysadzane szkiełkami z czeskiego Jabloneksu.

– A jednak – zauważyła pani Joanna – na malowidłach i rysunkach naszych królów, począwszy od korony Władysława Łokietka – ponieważ nie wiadomo jak wyglądała korona Bolesława Chrobrego – królowie polscy noszą zazwyczaj korony otwarte, bez ozdobnych kabłąków.

– No cóż, w użyciu bywały różne korony, a właściwie trzy ich rodzaje. Wielka i bardzo ozdobna, często przechodząca z głowy jednego władcy na drugiego, zwana była koronacyjną, ponieważ używano jej podczas uroczystej koronacji. Musiała być bardzo ciężka i stanowiła drogocenną pamiątkę, toteż po koronacji na ogół kładziono ją do królewskiego skarbcza. Król zasiadając na tronie i przyjmując różnych gości nosił na ogół koronę lżejszą, właśnie otwartą. Jeszcze lżejsza była korona noszona przez króla na użytek wewnętrzny, domowy. Tak w ogóle to chyba można ją uznać za niewygodną i rzadko który król nosił ją ciągle na głowie. Niektórzy królowie zaraz po koronacji symbolem władzy dziedziczonej po przodkach albo po znamienitych królach, nakazywali sobie zrobić własne korony, wedle swego życzenia i gustu. Przecież czasy i mody zmieniały się i zmianom ulegały gusta władców i ich otoczenia. Co zaś tyczy się polskich koron...

Przerwałem wykład, bo nagle w naszym pokoju odezwał się telefon. Dzwonił dyrektor Marczak, któremu zaraz po zainstalowaniu się w Sopocie przekazałem swój adres i numer telefonu.

– Czy czytał pan, panie Tomasz, informacje w gazecie o włamaniu do kościoła w Borkowcu i kradzieży złotej korony z obrazu tamtejszej Madonny, uznanej za cudowną?

– Owszem. Właśnie przed chwilą...

Nie dał mi dokończyć.

– Prawdopodobnie inspiratorką włamania była także owa tajemnicza kobieta. Policja jeszcze nie trafiła na ślad włamywaczy, ale włamanie jest podobne jak w poprzednich trzech kościołach. Dzwonię, gdyż radzę panu nie kręcić się po nocy koło Grodowego Potoku w Sopocie, bo tam policja prawdopodobnie zastawi pułapkę na tych, co zechcą skradzioną koronę zamienić na pieniądze. A czy pan trafił może na jakiś trop?

– W Janisławicach odkryłem ślad prowadzący do antykwariatu we Wrzeszczu. Niestety, to był ślad fałszywy. Przy okazji poznałem jedną z właściolek antykwariatu, która chce pomóc w moich poszukiwaniach.

– O Boże! – zawołał dyrektor Marczak. – Wszystko, tylko nie to! Pan ma słabość do ładnych kobiet i daje się im nabierać – ściszył głos. – Ona na pewno jest podejrzana. Niech pan jej nie traci z oczu, ale i z nią nie współpracuje!

– Nie tracę. Właśnie siedzi naprzeciw mnie.

W słuchawce zapanowała długa cisza. Wreszcie zabulgotało:



– No, to już koniec świata. Pańskie śledztwo utkwi w martwym punkcie, a pan wyjdzie na dumnia! – zakończył Marczak i zanim zdążyłem mu odpowiedzieć, odłożył słuchawkę.

Podrapałem się po głowie, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć na telefon od Marczaka. Mój przełożony tak głośno krzyczał bowiem do słuchawki, że chyba wszyscy w pokoju słyszeli jego ostrzeżenia.

Pierwsza odezwała się pani Joanna:

– Coś mi się zdaje, że ktoś w Warszawie nie jest zadowolony z naszej znajomości, panie Tomaszu.

– Ja też nie jestem nią zachwycona! – podparła się pod boki Zosia. – To przecież dość dziwne, że pani chce nam pomóc. Jaki pani ma w tym interes?

– Mówiłaś, że nasz wuj podoba się pani Joannie – stwierdził Jacek. – A to chyba tłumaczy całą sprawę.

Nie wiem, dlaczego młodzi ludzie są tak mało subtelni? Niektórzy to nazywają „szczerą bezpośredniością”, ale ja mam inne zdanie na ten temat.

Pani Joanna obraziła się. Wstała z krzesła, obciągnęła sukienkę i oświadczyła:

– To ja chyba już sobie pójdę. Bardzo mi było miło poznać państwa.

Ja także zerwałem się ze swego miejsca i zagroziłem jej drogę.

– Proszę nie słuchać ani mojego zwierzchnika, ani Zosi! Ona jest głupiutkim dziewczątkiem, a dyrektor antyfeministą! Przecież to oczywiste, że nie mogę wzbudzać w pani sympatii, bo wytykając w antykwariacie kilka falsyfikatów, naraziłem na szwank dobre imię waszego sklepu. Pani naprawdę chce pomóc bezinteresownie, można się wyrazić „dla dobra sprawy”.

Pani Joanna potrząsnęła głową.

– Nie tylko dla dobra sprawy, panie Tomaszu. Powiem panu, dlaczego. W swoim czasie Kolekcjoner zaproponował mi przez swego pośrednika kupno rokokowego sekretarzyka. Ten pokazał mi kolorową fotografię sekretarzyka, który bardzo mi się spodobał. Poprosił o zaliczkę i dał mi w zamian jakieś bazgroły w formie pokwitowania. Nigdy więcej nie widziałem już tego pośrednika, ani też nie zgłosił się do mnie Kolekcjoner. Moje pieniądze przepadły. Mało tego, któregoś dnia pokazałem fotografię sekretarzyka swoim znajomym antykwariuszom i oni stwierdzili, że na mojej fotografii jest sekretarzyk należący do pewnego profesora z Politechniki Gdańskiej. Zadzwoiłam do tego pana i on poinformował mnie, że próbowano się włamać do jego mieszkania i chciano ukraść zabytkowe przedmioty, które posiada. Innymi słowy otrzymałam propozycję od włamywacza i złodzieja, dokonującego włamań na zamówienie. Ja zamówiłam sekretarzyk, a on usiłował go ukraść i dostarczyć mnie. Na szczęście profesor spłoszył włamywaczy i zaraz założył system alarmowy. Ale ja pieniędzy nie odzyskałam; czuję się oszukana i chętnie zobaczę Kolekcjonera za kratkami.

– Bardzo panią przepraszam – szepnęła Zosia.

– Ja też. Wuj rzeczywiście nie może się podobać tak pięknej kobiecie jak pani – „otwarcie i bezpośrednio” oświadczył Jacek.

– Chwileczkę, chwileczkę – uspokajająco podniosłem ręce do góry, a potem ponownie wskazałem pani Joannie fotel. – Ja pani całkowicie ufam. Pani słowa potwierdziły moje podejrzenia w zupełnie innej sprawie. Z pani słów wynika, że Kolekcjoner kradnie na zamówienie lub sam zleca włamania. Przypuszczałem, że również na jego zamówienie dokonano kradzieży złotych koron. Czyż ta hipoteza nie wydaje się teraz bardziej prawdopodobna niż dawniej?

– Owszem, jest prawdopodobna – zgodziła się pani Joanna. Zanim jednak usiadła, ostro rzekła do Zosi:

– Takim młodym panienkom jak ty podoba się każdy przystojny czy urodziwy chłystek. Pan Tomasz jest może nie nazbyt urodziwy, ale dojrzałej kobiecie imponuje w mężczyźnie nie tylko uroda, ale także inteligencja i wiedza. A tego twojemu wujowi nie brakuje.

– Ja naprawdę nie miałem nic złego na myśli – mruknęła speszona Zosia.

Należało przerwać tę kłopotliwą dyskusję. Spojrzałem na zegarek i stwierdziłem:

– Zbliży się dwudziesta pierwsza. Może więc ja z panią Joanną zejdę na dół do klubu, a wy, dzieciaki, kładźcie się spać. I błagam was, nie przysparzajcie mi kłopotów! A teraz pozwólcie mi się przebrać.

– Dobrze – pani Joanna rozsiadła się w fotelu, a to był chyba znak pokoju.

Zajrzałem do swojego worka z rzeczami i wyciągnąłem z niego trochę pomiętą białą koszulę i perłowy krawat. Miałem też ciemną marynarkę, pasującą do białych spodni.

– W takim klubie chyba trzeba elegancko wyglądać – powiedziałem, idąc do łazienki, aby się przebrać. – Myślę, że pod marynarką nikt nie spostrzeże, iż moja koszula jest nieco pomięta.

– Mnie wystarczy moja sukienka. Ma odpowiedni kolor, krój i dekolt. Przyznam, że ubrałam ją z myślą, że da się pan namówić na poszukiwanie Kolekcjonera w nocnym lokalu.

Jak na nocną zabawę było chyba jeszcze dość wcześnie. Ale minęła dwudziesta pierwsza, klub zaś – o czym informował niebieski neon w holu hotelowym – otwierano o dwudziestą. Pomyślałem, że warto zjawić się tam wkrótce po otwarciu, gdyż później wszystkie stoliki mogły być zajęte.

Ubrany w ciemny garnitur i muszkę jakiś osiłek ostrzyżony na jeża sprzedał nam bilety wstępu do klubu, bardzo drogie zresztą, aż mnie coś ścisnęło za gardło, gdy musiałem wysupłać z portfela sporą sumę pieniędzy. A przecież należało także zamówić do stolika jakiejś potrawy i napoje?

Nie bywałem w nocnych lokalach, dlatego rozejrzałem się z ciekawością, gdy ufraczony kelner wskazał nam mały stolik obok filaru wspierającego sufit ogromnej sali. Została ona przedzielona drewnianym ażurowym przepierzeniem na dwie części. Jedną przeznaczono na dyskotekową zabawę, grała tam szarpidrutowa orkiestra i migotały różnobarwne światła. W

tej zaś, gdzie zajęliśmy miejsca, panował dyskretny półmrok, na stolikach paliły się małe lampki, a oświetlono tylko znajdujący się pod ścianą półkolisty bufet z wysokimi stołkami i lustrzaną ścianą mieniącą się odbitymi w lustrze butelkami z kolorowymi napitkami, ustawionymi rzędami na półkach. Przestałem się rozglądać, bo kelner podał nam kartę dań i napojów z cenami, które wywołały na moim grzbiecie dreszcz strachu. Jeszcze bardziej przykrych uczuć doznałem, kiedy wyobraziłem sobie, że oto do nocnego klubu wkracza dyrektor Marczak, zauważa mnie, robi zdumioną miną i z dezaprobatą kręci głową, pamiętny, że tak niedawno prosiłem go o podwyżkę lub premię, twierdząc, iż chcę sobie kupić kilka drogich albumów z dziedziny malarstwa.

– Poproszę o bryzol z pieczarkami i coctail z odrobiną campari – usłyszałem głos pani Joanny, skierowany do kelnera.

Ucieszyłem się, że zamówiła najtańszą potrawę i nie nazbyt drogi napój.

– To samo dla mnie – odezwałem się spiesźnie. – Ale zamiast campari proszę o butelkę coli. To na początek – zaznaczyłem kelnerowi, który zrobił niechętną minę.

W karcie znajdowały się dania, coctails, wina i szampany w cenie tak wysokiej jak połowa mojej pensji. Kelner był przyzwyczajony, że goście, przybywający do nocnego klubu, tracili dużo pieniędzy, a on miał chyba prowizję od rachunków.

– Czy widzi pan tę brunetkę za barem, która dyryguje dwoma innymi barmanami? – zapytała mnie pani Joanna.

Dopiero teraz zwróciłem baczną uwagę na bar i jego obsługę. Za barem podawało trunki dwóch młodych mężczyzn i jedna kobieta. Była młoda i niezwykle piękna, jeśli ktoś lubi urodę cygańską. Była wysoka, miała dość bujne kształty, smagłą cerę, mocno wymalowane usta, czarne brwi niemal zrosnięte nad nosem i wielkie piwne oczy. Wspaniale prezentował się jej głęboki dekolt w białej bluzce. Czarne włosy spięte były fantazyjnie w koński ogon. Raziły mnie tylko jej klipsy – ogromne złote koła przy koniuszkach uszu. Ale one chyba jeszcze bardziej podkreślały jej cygańską urodę.

– Kto to jest?

– Ma na imię Anita. Zna ją cały półświatek Wybrzeża.

– Jakaś kobieta zachęciła wiejskich pijaczków do kradzieży koron – mruknąłem. – Jakaś kobieta odebrała od nich łup w Sopocie. Niestety, nie widzieli dokładnie czy nie pamiętają jej twarzy, nie wiadomo, czy była piękna czy brzydka.

– Jedno jest pewne: tylko poprzez nią może pan trafić do Kolekcjonera! – trochę zdziwiło mnie to naleganie towarzyszk.

– Szkoda, że nie jestem urodziwym młodzianem z wypchanym portfelem. Na pewno był ją zainteresował – westchnąłem.

– Ją raczej interesuje wypchany portfel. Uroda nie ma znaczenia – pani Joanna roześmiała się.

Tymczasem klub zappełnił się gośćmi. Niemal wszystkie stoliki zostały zajęte. Znalazły się na nich najdroższe potrawy i najkosztowniejsze trunki. Już na pierwszy rzut oka miało się świadomość, że to nie są zwykli wczasowicze, co przyjechali tu z rodzinami i dziećmi, aby opalać się na plaży i kąpać w morzu. Pomyślałem, że chyba ściągnęła tutaj „śmietanka” oszustów, złodziei i rozmaitych „biznesmenów”, robiących podejrzanе interesy. Bo bogaci biznesmeni najprawdopodobniej bawili się w lepszych niż ten lokalach, na przykład w „Grand Hotelu”.

Orkiestra grała w drugiej sali, migąły tam różnobarwne światła. W sali, gdzie siedzieliśmy, zrobiło się jeszcze bardziej mroczno od papierosowego dymu. Tak, to był z pewnością nocny klub nie najlepszej kategorii, skoro brakowało w nim wentylacji.

Zjedliśmy nasze porcje bryzolu. Pani Joanna podniosła do góry swoją szklaneczkę campari.

– Może przejdziemy na ty? – zaproponowała.

– Oczywiście. Natychmiast – podniosłem do góry swoją szklanę z coca-colą.

– Joanna...

– Tomasz...

Joanna nie miała tak wyzywającej urody jak Anita, ale moim zdaniem była równie ładna. Przynajmniej przed wszystkim rzucały się w oczy jej gęste jasne włosy, oczy równie duże jak u Anity. Lubię kobiety raczej o jasnej cerze, a taką właśnie miała Joanna. I usta – one były zdecydowanie ładniejsze niż u Anity, a także nie tak mocno wymalowane. Na dekolcie starałem się nie zwracać uwagi, pomny ostrzeżeń Marczaka, że zbyt ulegam ładnym kobietom.

– No cóż, ja pójdę działać – oświadczyłem.

– Życzę szczęścia – szepnęła Joanna.

Podniosłem się od stolika i ruszyłem do baru. Usiadłem na wolnym stolku i zwróciłem się do pięknej Anity:

– Poproszę o campari z wodą sodową – powiedziałem, bo w tym miejscu nie pijało się napojów chłodzących. Ja zresztą nie miałem zamiaru wypić tego campari, bo nienawidzę alkoholu. Po prostu zależało mi na tym, aby posiedzieć w pobliżu Anity.

Nawet nie spojrzała na mnie, tylko po chwili postawiła przede mną szklaneczkę z brązowym płynem.

– Pani Anita, prawda? – zagadnąłem ją.

Zatrzymała się przede mną po drugiej stronie lady barowej i dopiero teraz obrzuciła mnie uważnym spojrzeniem swych wielkich czarnych oczu.

– Tak, mam na imię Anita. Czy my się znamy?

– Nie. Przyjechałem z Warszawy i jeden z moich przyjaciół powiedział mi, że jeśli będę się czuł samotnie w Sopocie, to mam przyjść tu i poznać się z panią Anita.

– A niby w jakim celu? – odburknęła, ale była wyraźnie zaciekawiona moją osobą. – Nie jestem damą do towarzystwa, tylko ciężko pracującą kobietą.

– Mówiono mi, że poprzez panią mógłbym nawiązać kontakt z Kolekcjonerem.

– A kto pana o tym poinformował?

– Czy nie sądzi pani, że niektórzy nie chcą, aby wymieniać ich nazwiska? Ja też nie pytam pani o nazwisko Kolekcjonera.

– A co ma pan do zaoferowania Kolekcjonerowi? Nie znam go, ale mogę pana skontaktować z kimś, kto zbiera starocie. Czy chodzi o starą biżuterię?

– Nie. Mam coś bardziej interesującego – skłamałem.

Wzruszyła ramionami i odeszła ode mnie, aby obsługiwać innych gości siedzących przy barze. „No cóż, nie udało mi się” – pomyślałem, gdy piękna Anita zniknęła na zapleczu baru. I już miałam opuścić stół barowy, gdy piękna Anita znowu się pokazała i podeszła prosto do mnie. Zbliżyła twarz do mojej i szepnęła:

– Jakiś facet, który interesuje się starociami, chce się z panem spotkać na plaży za hotelem. Tam, gdzie na brzegu leży dnem do góry stara łódź rybacka.

– Dziękuję – kiwnąłem jej głową nie okazując radości.

Wróciłem do stolika, otworzyłem swój portfel, wyjąłem z niego legitymację Ministerstwa Kultury i Sztuki i dowód osobisty. Zatrzymałem tylko pieniądze i prawo jazdy.

– Umówiła mnie na plażę koło starej łodzi rybackiej – wyjaśniłem Joannie. – Nie chcę, aby – jeśli zechcą mnie obszukać – dowiedzieli się, gdzie pracuję. Proszę przypilnować moich dokumentów.

– Radzę panu ostrożność. Kolekcjoner to niebezpieczny człowiek. Rachunek ja zapłacę i potem wyjdę na parking koło hotelu. Tam się spotkamy – zaproponowała.

Kiwnąłem głową, że się zgadzam i skierowałem się do wyjścia. Mijając szatnię na moment stanąłem jak wryty. Oto dwóch osiłków, tak zwanych „bramkarzy”, zagradzało drogę mojej siostrzenicy, Zosi, uszmkowanej i ubranej w jakąś elegancką szmatkę!

– Spływaj mała, bo nie masz jeszcze osiemnastu lat – mówił do Zosi jeden z osiłków. – Tu nie ma miejsca dla małolatek.

– Ja chcę tylko potańczyć w dyskotecie – upierała się Zosia.

– A ja ci mówię, żebyś szła do domu! – burknął drugi osilek. – Tutaj przychodzi mnóstwo tajniaków. Jak zobaczą, że wpuszczamy małolaty, to zamkną nam budę.

– Ja mam skończone osiemnaście lat – piskliwie twierdziła Zosia.

Domyśliłem się, że osiłki w obawie przed zamknięciem lokalu nie wpuszczą Zosi i będzie musiała wrócić na górę do naszego pokoju. Spokojny więc o jej los, nie zauważony przez nikogo wymknąłem się z hotelu.

Noc była ciemna, bezksiężycowa. Gdzieś w górze zalegała chyba gruba warstwa chmur, bo z nieba zaczęło trochę pokapywać. Na hotelu żarzył się niebieskawy neon, lampy ustawione na podjeździe wokół budynku i na parkingu świeciły mdłym światłem. Przez uchylone okna z nocnego klubu dochodziły dźwięki muzyki, ale nie zdołały zagłuszyć uderzeń morskich fal z pobliskiej plaży. Ruszyłem w tym kierunku wolnym krokiem,

powątpiewając, czy w tych ciemnościach znajdę na plaży przewróconą łódź rybacką. A jednak, gdy oczy przyzwyczały się już do mroku i nogi zaczęły brnąć po nadmorskim piasku, wydało mi się, że dostrzegam jakiś ciemny kształt, chyba ową przewróconą łódź.

Odnalazłem ją i, oparłszy się plecami o próchniejące dno, zapaliłem papierosa. Wsłuchiwałem się także w ciemność, czy nie nadchodzi ów ktoś, kto miał mnie skontaktować z Kolekcjonerem. Szum fal zagłuszał jednak wszelkie szmery dookoła.

Obok przewróconej łodzi stałem chyba z dziesięć minut. Zdążyłem wypalić papierosa i już byłem zdecydowany powrócić do nocnego klubu i powiadomić Anitę, że nikt nie przybył na spotkanie ze mną, gdy nagle ostre światło halogenowej latarki oślepiło mnie. Potem usłyszałem huk pistoletu gazowego, poczułem podchodzące do gardła mdłości. Gdy padałem na piasek, powoli tracąc przytomność, zdawało mi się, że słyszę:

– Obszukajcie go i sprawdźcie, co to za jeden...

Nie wiem, jak długo leżałem nieprzytomny. Potem dowiedziałem się, że nie dłużej niż pół godziny. Ocuciło mnie chłusnięcie na twarz morskiej wody. Mimo mroku rozpoznałem, że to Joanna i Zosia próbują mnie podnieść z piasku i postawić na nogi. Już bardzo wyraźnie rozpoznawałem głosy.

– Miałeś rację, Tomaszu, że pozostawiłeś u mnie swoje dokumenty – powiedziała Joanna.

– Zaraz po twoim wyjściu nabrałam podejrzeń, że Kolekcjoner najpierw będzie się chciał dowiedzieć, co ty za jeden. Czy aby nie szpicel. Dlatego natychmiast zapłaciłam rachunek i wyszłam z klubu. Koło wejścia zauważyłam Zosię wyklócającą się z pilnującymi wejścia bramkarzami.

– Wujek poszedł sobie do nocnego klubu, a ja tak bardzo chciałam potańczyć. Przecież wujek obiecał mi pójście na dyskotekę – poskarżyła się Zosia. Nie sprawiała wrażenia winnej tego, że zamiast położyć się spać, usiłowała wejść do nocnego lokalu.

– Zabrałam Zosię – mówiła dalej Joanna – i poszłyśmy razem na plażę. Wspomniałeś coś o przewróconej łodzi rybackiej, więc skierowałyśmy się w jej kierunku. I tak oto znalazłyśmy cię nieprzytomnego.

Opanowałem uczucie mdłości, wyprostowałem się i twardo stanąłem na nogach. Obmacałem kieszenie. Nic nie zginęło, moje prawo jazdy spoczywało w tylnej kieszeni spodni. W kieszonce sportowej koszuli znalazłem zwitek pieniędzy.

– Nie obrabowali mnie. A więc to było tylko coś w rodzaju sprawdzenia mojej tożsamości – stwierdziłem.

Joanna i Zosia, trzymając mnie pod ręce, poprowadziły do hotelu. Tutaj poczułem się zupełnie dobrze, jakbym nie został potraktowany gazem obezwładniającym. Myślę, że nabój z gazem nie był zbyt mocny.

– Pozwólcie, że do pokoju pójde już bez waszej pomocy – rzekłem. – Nie chcę na siebie zwracać uwagi portiera.

Pod hotel zajeżdżała taksówka przywożąc nowych gości do nocnego klubu.

Joanna zwróciła mi dokumenty i oświadczyła:

– Skorzystam z tej taksówki i pojedę do domu. Jutro postaram się z tobą skontaktować, Tomasz.

Chciałem wiedzieć, gdzie i kiedy się spotkamy, ale Joanna już wsiadła do taksówki i odjechała.

Jadąc windą na górę do naszego pokoju powiedziałem gniewnie do Zosi:

– Poleciłem wam położyć się do łóżka, a nie włączyć po nocnych klubach. Nie wiem, jak wytłumaczyć się przed twoimi rodzicami z opieki nad wami.

Zosia wzruszyła ramionami:

– Po pierwsze: nie dostałam się do nocnego klubu. A po drugie: to wuj miał kłopoty i trzeba się nim było zaopiekować.

Po chwili dodała:

– Wujek za bardzo ufa pani Joannie. Może to ona wuja wystawiła tym zbójcom na plaży?

– Nie ona, tylko piękna Anita, barmanka – broniłem Joanny.

Zosia westchnęła z udanym ubolewaniem:

– Okazuje się, że wujek ma rzeczywiście słabość do ładnych kobiet.

Nie chciało mi się wdawać z nią w dyskusję na temat moich słabości. Nasze wejście do pokoju obudziło Jacka, który spojrzał na nas ze zdumieniem, chyba dlatego, że byłem cały w mokrym piasku.

Pozostawiłem Zosi wyjaśnienie mojej przygody, ponieważ nagle znowu dał znać o sobie gaz obezwładniający; poczułem się okropnie zmęczony i senny. Nawet nie rozbierając się runąłem na łóżko i zasnąłem.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

**„MONUMENTALNE” MOLO • TAJEMNICE KORON KRÓLÓW  
POLSKICH • ANITA W BIELI • PODOPIECZNI, NA HEL! • ŚLAD W ŚLAD  
ZA ANITĄ • DO KOGO NALEŻY WILLA NA LILIOWEJ • MARCZAK  
KAŻE MI SIĘ WYCOFAĆ • CZY POLICJA NAPRAWDĘ JEST  
NIEUDOLNA • DŁUGOWŁOSY BENIEK • ZNOWU JOANNA**

W nocy budziłem się często, tak piekły mnie oczy potraktowane gazem. Rano nałożyłem okulary, aby uchronić wzrok przed rażącymi promieniami słońca i postanowiłem, abyśmy – zamiast smażyć się na plaży – zrobili sobie wycieczkę statkiem na Hel.

Bilety kupiliśmy na sopockim molo – dumie tubylców, którzy uważają je za najdłuższe na Bałtyku, bo liczy sobie 516 metrów długości; nie wspominając o bocznej ostrodze, długiej na 132 metry. Na niższym poziomie mola wybudowano przystań dla statków spacerowych, skąd mieliśmy wyruszyć o godzinie dwunastej.

Na razie rozsiedliśmy się na ławce – wybrałem stojącą tyłem do słońca, aby w miarę możliwości chronić swe biedne oczy przed jaskrawym blaskiem lipcowego dnia – i leniwie rozglądaliśmy się to po spacerowiczach, to po kręcących się opodal mola żaglówkach. Szczególnie podobały mi się ewolucje „Optymistów” – tych maciupkich łódeczek z najmłodszymi, bo chyba liczącymi niewiele ponad dziesięć lat żeglarzami, którzy, przybrani w jaskrawe kapoki, dzielnie manewrowali swoimi jachcikami, prawie nikonącymi wśród dość sporej fali.

Od morza wiał chłodny zefirek, a pod mołem niemal bezszelestnie przelewały się zielonkawe fale.

Milczałem, dopóki Jacek nie zapytał, czemu zamiast korzystać w pełni z urlopu, tracę czas na śledztwo w sprawie skradzionych koron.

– Przecież one nie są zabytkowe – powiedział – ani też, jak to nam wyjaśniła pani Joanna, nadzwyczaj cenne.

Pokręciłem głową:



– Niektóre z tych koron na obrazach Madonny można uznać już za zabytkowe. A poza tym stanowią dużą wartość dla ludzi wierzących i choćby dlatego chcę się tą sprawą zajmować. Zresztą – z zapalem zacząłem się rozwodzić – my w Polsce nie mamy jakoś szczęścia do wszelakich koron, a przede wszystkim do koron królewskich. W Pradze można oglądać królewskie regalia, to samo w Londynie, natomiast nasze korony zaginęły w przeróżnych tajemniczych okolicznościach. Pierwszą koronę otrzymał Bolesław Chrobry w 1025 roku od cesarza Ottona III. Jak napisał jeden z historyków: „odtąd król polski nie miał już nad sobą żadnej władzy zwierzchniej i nasze państwo stało się w pełni suwerenne”. Następnie, w 1026 roku, po śmierci Bolesława Chrobrego, podobno tę samą koronę włożono na głowę Mieszka II Lamberta, jednocześnie koronowano także jego żonę Rychezę specjalnie wykonaną koroną. Była to pierwsza koronowana królowa Polski. Niestety, nikt dokładnie nie wie, jak naprawdę wyglądała korona Bolesława Chrobrego. Wedle starych rysunków prawdopodobnie składała się z sześciu lub ośmiu segmentów wykonanych ze złota i suto wysadzanych drogimi kamieniami. Ale po kilku latach panowania Mieszka II i Rychazy wybuchło w Polsce powstanie ludowe, a ponadto w lecie 1039 roku nastąpił najazd czeskiego Brzetysława na ziemie piastowskie. W tym stanie rzeczy po władzę sięgnęli lokalni książęta. Dużą rolę odgrywał przede wszystkim namiestnik Mazowsza – Mieclaw (Masław), dawny cześnik dworu Mieszka II. Mieszko musiał się salwować ucieczką do Czech, a jego żona, Rycheza, uciekła do Niemiec, uwożąc korony swoją i męża, a następnie oddała je cesarzowi Konradowi II. Ten po pewnym czasie zwrócił Rychezie jej koronę, jakie zaś były dalsze losy korony Bolesława Chrobrego, nie wiadomo. Istnieją na ten temat różne hipotezy. Kiedy w sześć stuleci później, to jest w roku 1633, otwarto grób Rychazy w jednym z kościołów w Kolonii, ujrano koronę złożoną z sześciu segmentów. Była to więc korona romańska, sześcioboczna, zbliżona do pochodzących z tamtych czasów innych koron władców europejskich. Co zaś tyczy się korony Chrobrego, to wedle miniaturzysty z Górnej Lotaryngii miała być ona wieloboczną obręczą, wysadzaną drogimi kamieniami i zwieńczoną storczykami w kształcie gałek. Niestety, ów miniaturzysta prawdopodobnie nigdy prawdziwej korony Chrobrego nie widział, stąd też jego miniatura budzi wiele zastrzeżeń. Jak z tego wynika, korona Bolesława Chrobrego przepadła. Ale w 1861 roku historyk niemiecki, Frantz Bock, wysunął hipotezę, że dziwnym trafem korona Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego pojawiła się w Niemczech właśnie w tym czasie, gdy Rycheza uciekła do Niemiec. Być może właśnie koronę Bolesława Chrobrego zaczęli używać cesarze niemieccy dla zwieńczania swoich głów, tak była wspaniała. W wiedeńskiej Schatzkammer można ją oglądać do dzisiaj. Składa się z ośmiu złotych segmentów, z których cztery są wysadzone perłami i drogimi kamieniami o szlifie kaboszonowym, a na pozostałych segmentach są przedstawione wyobrażenia Chrystusa Pantokratora, prorocstwa Izajasza, króla Dawida i króla Salomona. Najnowsze badania stwierdzają jednak, że owa korona cesarska musi być starsza od korony Chrobrego, powstała prawdopodobnie w 962 roku.

– O, widać już nadpływający statek wycieczkowy! – przerwała mi Zosia, która, zdaje się, z niewielkim zainteresowaniem słuchała mojej opowieści o koronach pierwszych królów polskich. O wiele bardziej ciekawiły ją stroje pań spacerujących po molo.

– Zanim przybije do przystani – powiedział Jacek – i opuszczą go wycieczkowicze, upłynie jeszcze sporo czasu. Niechże wuj opowiada o tych koronach! Tego nie przeczyta się w żadnym podręczniku szkolnym do historii.

– No tak – chrząknąłem z zadowoleniem, stwierdziwszy, że mam tak wiernego słuchacza. – Otóż trzecim władcą Polski, który włożył na głowę koronę był Bolesław II, zwany Śmiałym lub Szczodrym. Jakie były jego losy, to chyba wiecie. Po zabójstwie biskupa krakowskiego Stanisława Szczepanowskiego musiał uciekać z kraju. O to, co się stało z jego koroną, trwają do dziś spory wśród historyków. Wiadomo tylko, że w trzydzieści lat po wygnaniu Bolesława Śmiałego spisano inwentarz skarbcza katedry krakowskiej i wśród licznych kosztowności wymienia się tam koronę królewską złotą „wiszącą” i dwie korony srebrne, należące prawdopodobnie do króla i królowej, noszone podczas mniej ważnych uroczystości. Kontrowersje wśród historyków wzbudziło owo słowo „wisząca” korona, po łacinie „pendes”. Niektórzy uważają, że chodzi tutaj o złotą koronę z wisiorami, które zwisały z obręczy owej korony, podobnie jak w wypadku korony węgierskiego króla św. Stefana i innych koron romańskich. Podobno skarbcowi krakowskiemu darował tę koronę Władysław Herman jako coś w rodzaju wotum, przeprasząc za niecny czyn swego brata. Odtąd, jak wiemy, przez ponad dwieście lat tak zwanego II rozbitcia dzielnicowego Polski, żaden z ówczesnych potomków Bolesława Krzywoustego nie mógł lub nie odważył się włożyć na głowę korony królewskiej. Owszem, poszczególni władcy dzielnicowi koronowali się, lecz były to tylko korony książęce, zwane diademami. Do naszych czasów zachowały się dwa szczerozłote diademy niezwyklej wartości, które z czasem rozmontowano i rozpostarto na tak zwanym krzyżu Kazimierza Jagiellończyka.

– Kto był ich właścicielem? – zapytał Jacek.

– Według tradycji owe książęce korony rozpostarte na krzyżu należały do Bolesława Wstydliwego i jego żony, św. Kingi. Jedną koronę rozpięto na belce pionowej krzyża, a drugą na poziomej. Kiedy się to stało, nie wiadomo – może pod koniec XII wieku, a może właśnie w drugiej połowie XV stulecia, za czasów Kazimierza Jagiellończyka. Ta korona księcia składała się z trzynastu segmentów, na przemian większych i mniejszych, zwieńczonych kwiatonem w typie „protolilii”. Segmenty owe zostały wykonane techniką ażurową o motywach roślinnych, wśród których umieszczono postacie zwierząt i ptaków, a także rycerzy, walczących na turnieju. Środek każdego segmentu zajmuje duży szafir lub rubin osadzony w kaszcie o formie ściętego graniastosłupa, którego ścianki wypełnia ażurowy ornament w postaci fantastycznych zwierząt. W rogu każdego kasztu osadzono cztery perły, a mniejsze kamienie, przeważnie szmaragdy, topazy i chryzolity, są rozsiane pośród ażurowych dekoracji.

– Mnie najbardziej fascynują diademy... – wtrąciła Zosia.

– Co do drugiej korony rozwiniętej na krzyżu – ciągnąłem nie zważając na tę uwagę – to składa się ona z jedenastu segmentów. Jest nieco mniejsza i skromniejsza, jako że należała prawdopodobnie do księżnej, św. Kingi. Istnieje również dokładny opis trzeciej korony książęcej, a raczej książęcego diademu, który łączy się z osobą księcia Konrada I Mazowieckiego. Stała się ona ozdobą relikwiarza św. Zygmunta, ufundowanego w 1370 roku przez Kazimierza Wielkiego. Wykonano ją z pozłacanego srebra i wypełniono ażurową dekoracją pełną przeróżnych postaci, zaś zdobią ją perły, szafiry, rubiny i almandyny o szlifie kaboszonowym. Dyskutuje się o tym, kto i gdzie wykonał te korony. Jedni uważają, że gdzieś na Rusi, inni, że są one pochodzenia longobardzko-bizantyjskiego, jeszcze inni łączą je ze złotniczym ośrodkiem nad Mozą. Są tacy, którzy w ogóle uważają, że te korony należały do cesarza niemieckiego Henryka VII, choć w Żywocie św. Kingi zapisano, że księżna przekazała dwie korony dla ozdoby krzyża. Warto też dodać, że z czasem wśród książąt upowszechniło się noszenie mitry w formie czterodzielnej czapki z czerwonego aksamitu, obszytej futrem gronostajowym, ozdobionej złotem i klejnotami. Niekiedy futrzane obszycie zastępowano złotą lub srebrną obręczą, wysadzaną perłami i drogimi kamieniami. Takie mitry widzimy na nagrobkach książęcych i miniaturach w tak zwanym Kodeksie Lubińskim...

Zosia znowu mi przerwała wykład o koronach:

– Niech wujek spojrzy przed siebie! – aż chwyciła mnie za rękę. – Molem od brzegu nadchodzi bardzo elegancka i niezwykle piękna kobieta!

– Rzeczywiście, bardzo ładna – przytaknął Jacek.

Spojrzałem we wskazanym kierunku i aż zamarłem ze zdumienia. Oto wolnym spacerowym krokiem nadchodziła barmanka Anita. Była ubrana w biały kostium – o ile znam się na strojach – miała białe buty na niewysokich obcasach, a na głowie biały kapelusz z szerokim rondem, który częściowo zakrywał jej twarz. W prawej ręce niosła złożoną białą parasolkę przeciwsłoneczną. Jej śniada cera, wielkie oczy i smolistoczarne włosy wymykające się spod kapelusza pięknie kontrastowały z bielą. Promienie słoneczne raz po raz błyskały na jej klipsach, ogromnych złotych kołach.

Anita kroczyła wolno w naszym kierunku, ale zdawała się na nikogo nie patrzeć. Wzrok miała utkwiony gdzieś w przestrzeni morza. A jednak ten i ów, siedzący na ławce, kłaniał się jej, a ona odpowiadała lekkim skinieniem głowy, jak dumna i nieprzystępna dama. Ruchy jej były pełne godności i gracji, idąc lekko kołysała biodrami na podobieństwo modelek, które można oglądać w telewizji podczas pokazów mody.

Nie mogłem ochłonąć ze zdumienia, że zwykła barmanka z hotelu prezentowała się jak wielka dama. Dlatego, gdy nas mijała, nie ukloniłem się. Zresztą, czy to nie ona ponosiła winę za mój wczorajszy wypadek na plaży?

Zosia była zachwycona Anitą:

– Wujek nie zna się na kobietach, ale przecież chyba zauważył prawdziwy szyk i elegancję tej pani. Wujek powinien zwrócić uwagę na jej dyskretny makijaż. Miała usta lekko pociągnięte perłową szminką, a oczy ledwie podkreślone cieniami do powiek. Jest sto razy ładniejsza od pani Joanny. I ładniej się ubiera. Taką właśnie kobietę powinien wujek poznać i nawet ożenić się z nią. Można się z nią pokazywać nawet w najbardziej ekskluzywnych lokalach.

– Nie bywam w lokalach – burknąłem.

– Dla takiej damy można stracić głowę – przytaknął Jacek, choć nie przypuszczam, aby w jego wieku miało się jakąś wiedzę o damach.

– O tak, tak, można stracić głowę – mruknąłem.

Ani ja, ani Joanna nie wtajemniczyliśmy Zosi i Jacka w to, kto mnie skierował na plażę, gdzie oberwałem gazem, po którym oczy bolały mnie aż do tej chwili.

Piękna Anita wydawała mi się kobietą podstępą i niegodną mojej uwagi. Oszukała mnie, wyprowadziła w pole jak jakiegoś smarkacza, a nie detektywa z Ministerstwa Kultury i Sztuki. Ze wzgardą odwróciłem głowę i zamiast śledzić ją wzrokiem, wolałem patrzeć na monumentalną fasadę „Grand Hotelu”.

Tymczasem Anita doszła do główki mola i zawróciła, śledzona zachwyconymi spojrzzeniami Zosi i Jacka. Gdy znowu mijiała ławkę, na której siedzieliśmy, nagle przystanąła i usłyszałem jej głos:

– Witam pana, panie gimnazjalisto – powiedziała swoim niskim powabnym głosem. – Czy udało się panu wczorajsze spotkanie?

Zosia i Jacek aż zamarli, że zdołałem poznać tutaj tak ładną kobietę. Ba, chyba jest między nami jakaś zażyłość, skoro pieszczotliwie – ich zdaniem – nazwała mnie gimnazjalistą.

Podniosłem się z ławki, zrobiłem powitalny skłon.

– Dlaczego nazywa mnie pani gimnazjalistą? – odrobina oburzenia dała się chyba wyczuć w moim głosie.

– Nazwałam tak pana, ponieważ wczoraj tak nieśmiało pytał mnie pan o kogoś. Ja szybko oceniam ludzi. Pan zachowuje się niezręcznie, nie jak dorosły mężczyzna, ale jak gimnazjalista.

Jej pełne wargi rozchyliły się w przemiłym uśmiechu.

– Owszem, nie mam doświadczenia w obcowaniu z kobietami takimi jak pani. Do tej pory jeszcze żadna nie wysłała mnie na plażę, abym dostał po łbie. Pani mnie oszukała.

Roześmiała się:

– Pan mnie obraża, ale wybaczam gimnazjalistom. Czy rzeczywiście dostał pan po głowie?

– Sparaliżowano mnie gazem. I chyba przeszukano starannie.

– Czy coś panu zginęło? – zainteresowała się.

– Nie. I właśnie dlatego jestem pewien, że zostałem przeszukany.

Lekko wzruszyła ramionami:

– No cóż, chciał się pan spotkać z kimś niezwykłym. Być może on wolał się upewnić, czy nie jest pan osobnikiem niepożądanym, że się tak wyrażę.

Miała prawdopodobnie na myśli, że chciano się upewnić, czy nie zostałem nasłany przez policję. Jakie to szczęście, że swoją legitymację pracownika Ministerstwa Kultury i Sztuki pozostawiłem Joannie!

– Z pani powodu spotkała mnie przykrość – burknąłem ponuro.

Zbliżyła się do mnie i dłonią w białej cieniutkiej rękawiczce pogłaskała mnie delikatnie po policzku.

– Nie powinien się pan na mnie gniewać. Nie wiedziałam, że tak fatalnie skończy się pana spacer po plaży. Mam nadzieję, że nie zniechęci to pana do spotkania się z interesującym pana człowiekiem. Prawdopodobnie to już ja sama, aby czuł się pan bezpiecznie, w odpowiedniej chwili skontaktuję się z panem i razem odbędziemy upragnione przez pana spotkanie. Chciałabym jednak wiedzieć, dlaczego pragnie się pan spotkać z owym człowiekiem?

– Tylko jemu mogę to wyjawić – odparłem.

– No cóż, szanuję cudze tajemnice. Pan mieszka w naszym hotelu, prawda? Jest więc nadzieja, że znów się zobaczymy. Zresztą, ja codziennie wieczorem zaczynam pracę za barem. Czy można wiedzieć, kim jest ta dwójka młodych ludzi, którzy panu towarzyszą?

– To siostrzenica Zosia i siostrzeniec Jacek. Opiekuję się nimi podczas wizyty siostry za granicą.

– Ach, tak? To nawet ciekawy pomysł mieć przy sobie „pod opieką” dwoje młodych ludzi. Taka sytuacja wydaje się naturalna i nie budzi niczyich podejrzeń.

To mówiąc uśmiechnęła się łaskawie do Zosi i Jacka, jeszcze raz pogłaskała mnie po policzku i odeszła tym swoim lekko rozkołysanym krokiem modelki.

– O Boże! – zdumiała się Zosia. – Wujka nie można spuścić z oczu, aby wujek czegoś nie zmalował. Muszę zmienić o wujku zdanie. Wujek nie jest safandulą, ale pierwszorzędnym podrywaczem.

– I pomyśleć, że pozostawiliśmy wujka samego na tak krótko... – dodał Jacek. – Ta piękna pani coś wspomniała o plaży. Czy wujek się tam umówił na randkę?

– Nie. Na wdychanie gazu paraliżującego – burknąłem.

Obok nas, na przystani, krótko zahuczała syrena. Był to znak, że pierwszy rejs został zakończony, pasażerowie opuścili statek i nowi powinni zajmować na nim miejsca. Zosia i Jacek poderwali się z ławki.

– Płyniemy na Hel. Przyrzekam, że na statku będę na wujka uważała, aby nie zawrócił wujek w głowie jakiejś pasażerce.

Nie miałem zamiaru płynąć na Hel. Co innego mnie zaczęło interesować.

– Zostaję – oświadczyłem.

– To i my zostajemy – rzekła Zosia.

– Nie, to niemożliwe – powiedziałem. – Będziecie mi tylko przeszkadzać. Muszę pójść za piękną panią Anitą i jeszcze trochę z nią porozmawiać.

– Jak wujek sobie życzy – wzruszyła ramionami Zosia. – Ale jeśli znowu ktoś wujka potraktuje gazem, to ja już nie będę mogła pomóc.

Drugi raz zahuczała syrena statku.

– Płyńcie! – rozkazałem swym podopiecznym.

Posłusznie pobiegli na przystań, a ja wstałem z ławki i szparkim krokiem ruszyłem za Anitą. Tłum spacerowiczów już mi ją zasłonił, ale spodziewałem się, że dogonię ją u początku mola. Jej biały strój bardzo ją wyróżniał wśród innych kobiet. Powinienem ją łatwo odnaleźć. Oczywiście ani myślałem, aby z nią rozmawiać. Po prostu zdecydowałem, że jest to osoba podejrzana, którą należało śledzić, aby wiedzieć, gdzie mieszka lub gdzie bywa.

Bez trudu odkryłem jej białą postać w chwili, gdy opuszczała molo i przechodziła obok sanatorium balneologicznego. Potem skręciła na prawo w stronę biura wystaw artystycznych, przeszła ulicę i zbliżyła się do postoju taksówek. Szedłem za nią szybkim krokiem i zbliżyłem się do niej na niewielką odległość. Ona ani razu nie obejrzała się za siebie, zresztą chyba by mnie nie zauważyła, bo i tutaj kręcił się tłum wczasowiczów. Śledząc ją mogłem do woli przyglądać się jej zgrabnej figurze i podziwiać niezwykle piękną sztukę chodzenia. Zauważyłem, że od czasu do czasu ktoś jej się kłania, a ona łaskawie, delikatnie odklania się. Była to więc osoba dość znana w Sopocie. Nie wiem tylko, czy znali ją wszyscy miejscowi, czy tylko bywalcy nocnego klubu w hotelu „Bałtyk”.

Śledząc ją rozmyślałem, dlaczego nie udała, że nie dostrzegła mnie na ławce, ale jak gdyby specjalnie podeszła i zaczęła rozmawiać. Czyżby nie wiedziała o przykrej przygodzie, jaka mnie spotkała na plaży, gdy poszedłem na wskazane przez nią miejsce? A może tej przygody nie uważała za coś złego lub nie czuła się niczemu winna? Możliwe, że przed spotkaniem z Kolekcjonerem zawsze oczekiwało człowieka staranne przeszukanie i poznanie jego tożsamości. Jeszcze raz błogosławiłem się za to, że swoją legitymację służbową pozostawiłem Joannie.

O tej ostatniej myślałem z przyjemnością, rad, że poznałem taką osóbkę: i urodziwą, i chyba mądrą, skoro skierowała mnie na trop Kolekcjonera. W tej chwili nawet żałowałem, że nie ma jej przy mnie i nie możemy wspólnie śledzić Anity.

Ta właśnie podeszła do postoju taksówek i wsiadła do pierwszej w długim ich szeregu. Taksówka ruszyła z miejsca w stronę ulicy Chopina, lecz zaraz zatrzymała się przed czerwonymi światłami na przejściu dla pieszych, idących z mola i na molo. Tę chwilę wykorzystałem, aby w kilku susach przebiec ulicę i dopaść drugiej taksówki. Zadyszany zająłem w niej miejsce i młodemu kierowcy kazałem się wieźć w ślad za piękną barmanką.

– O – zdumiał się kierowca – chce pan śledzić piękną Anitę? – pokręcił ze zdumieniem głową taksówkarz. – Jest rzeczywiście bardzo ładna i każdemu może zawrócić w głowie. Ale skoro wygląda mi pan na wczasowicza, to od razu ostrzegę, że ona niełatwo zawiera znajomości. A w ogóle zainteresowanie nią nie należy do bezpiecznych.

Zapaliło się zielone światło, taksówka z Anitą ruszyła do przodu, a my tuż za nią.

– Nie chciałbym, aby zauważyła, że jadę za nią – powiedziałem do taksówkarza. – Proszę więc trzymać się w pewnej odległości.

Na chwilę odwrócił do mnie twarz i wyszczerzył zęby w radosnym uśmiechu:

– Ma pan rację. Z nią lepiej ostrożnie. Niech się pan jednak nie obawia, tak ją będę śledził, że ona tego nie zauważy. Ja też nie chcę oberwać. A z piękną Anitą... – zawiesił głos.

Zrobiłem bardzo poważną minę i oświadczyłem kierowcy:

– Proszę się nie obawiać ani o mnie, ani o siebie.

Wzruszył ramionami:

– O siebie się tak bardzo nie obawiam. Każdy taksówkarz należy do jakiegoś gangu i otrzymuje od niego ochronę. Ja płacę Łyseму, więc czemu się miałbym obawiać Kolekcjonera? Ale Kolekcjoner to zawsze Kolekcjoner... Nigdy z nim nie wiadomo...

– Kolekcjoner? – powtórzyłem zaskoczony. – Anita i on?

– Mówią, że to dziewczyna Kolekcjonera. Ale ją tego nie powiedziałem.

– Nie miałem pojęcia – stwierdziłem. – Zresztą nie wiem, kto to jest ów Kolekcjoner. Jestem tu na wczasach i ta dziewczyna wpadła mi w oko. Muszę ją poznać trochę bliżej.

– Lepiej, żeby pan zamknął to oko – zachichotał taksówkarz. – Już niejednemu podbito i to oba za to, że się dobierał do Anity. Kolekcjoner na to nie pozwoli.

– Kim jest, do licha, ten Kolekcjoner?

– A kto to wie, proszę pana? Nikt go nigdy na oczy nie widział. Wiadomo tylko, że istnieje i działa.

– A w jakiej branży? – spytałem.

Taksówkarz umilkł.

– Pan jest zbyt ciekawy – powiedział wreszcie.

A potem rzucił mi swoje pytanie:

– Czy pan jest może z policji?

– Nie. Po prostu lubię piękne kobiety – odparłem.

Nie wiem, czy mi uwierzył. Zresztą nie mieliśmy już czasu na dalszą rozmowę. Taksówka z Anitą skręciła z Chopina w prawo i ulicą Kościuszki, ominąwszy dworzec, skierowała się pod wiadukt. Przecięła ruchliwą Aleję Niepodległości, wjechała w ulicę Abrahama, a potem, wąskimi uliczkami obstawionymi willami i domkami jednorodzinnymi, zaczęła kluczyć po górnym Sopocie. Z trudem odnajdywałem nazwy ulic na rogach domów i to zajęcie tak mnie pochłonęło, że nie miałem czasu, aby dalej ciągnąć za język taksówkarza.

Wreszcie taksówka Anity zatrzymała się przed piękną willą na ulicy Liliowej. Willa była biała z Kapkowym dachem, od ulicy odgradzało ją wysokie, wykute z żelaza ogrodzenie i rząd gęstych, wysokich i przyszyżonych tui. Tutaj Anita wysiadła, skinęła głową taksówkarzowi i przycisnęła guzik domofonu przy furtce obok szerokiej, żelaznej bramy. Zatrzymaliśmy się o jakieś dwieście metrów za taksówką Anity, która zaraz zawróciła w stronę dolnego Sopotu. Przez okno naszej taksówki widziałem, jak Anita pochyła się do głośnika domofonu, mówi coś, a potem otwiera furtkę i znika za ogrodzeniem.

– Kto mieszka w tamtym domu? – zapytał taksówkarza.

– Nie mam pojęcia – odrzekł nieszczercze. – Niech pan zadzwoni i sam się dowie, ja nie lubię za dużo gadać. No co, wracamy czy jedziemy gdzieś dalej?

– Niech pan wraca, a ja rzeczywiście zadzwonię do tej willi – skłamałem, choć on chyba i tak nie uwierzył.

Zapłaciłem taksówkarzowi, on zawrócił wolno i chyba w tylnym lusterku bacznie mnie obserwował. Aby go zmylić podszedłem do bramy i udałem, że przyciskam guzik domofonu. Dopiero, gdy odjechał, skierowałem się wzdłuż ogrodzenia willi, usiłując obejrzeć ją nieco dokładniej. Niestety, wysokie i gęste tuje nie pozwalały zajrzeć poza ogrodzenie. Dopiero na styku z sąsiednią posesją odkryłem, że jedna tuja zwiędła i mogłem zerknąć na dom, w którym zniknęła Anita.

Był piętrowy, otynkowany na tak zwany „baranek”, z oknami w czarnych ramach, zasłonięty żaluzjami. Miał dwa tarasy na piętrze, pod jednym tarasem było widać szerokie drzwi do garażu. Pośrodku fasady willi znajdował się niewielki ganek z dwoma kolumnkami i drzwiami także w ciemnym kolorze. Podjazd pod ganek wysypany był białym żwirem. I mimo że willa nie była duża, jej wygląd i otoczenie tchnęło zamożnością. Szczególnie, że nieco z boku, na placu także wysypanym białym żwirem stało granatowe BMW, czarny mercedes – co najwyżej roczny, a więc ogromnej wartości – i czerwone audi-combi. Anity ani nikogo innego nie widziałem. Zapewne zdążyła znaleźć się już wewnątrz willi. Ale to audi!

To takim autem Joanna objeżdżała różne wsie i miasteczka w poszukiwaniu antyków. Przed willą, w której zniknęła piękna Anita, parkowała Joanna lub ktoś, kto dysponował jej autem!

Wyznaję, że zrobiło mi się gorąco. I zarazem bardzo przykro. Zosia – zdaje się – miała rację, ostrzegając mnie przed urodziwą blondynką, współwłaścicielką antykwariatu we Wrzeszczu. Ta kobieta tylko udawała prawdomówną! Namówiła mnie do pójścia do nocnego lokalu, doradziła rozmowę z Anitą. Sprawiała wrażenie, że jej nie zna, a przecież teraz spotkały się w tym samym domu! Nie ostrzegła mnie również, że nie powinienem pójść na plażę w pobliże starej łodzi, gdzie mnie obezwładniono i przeszukano. Pomyślałem: „Byłem głupcem, pozostawiając Joannie swoje dokumenty i mówiąc jej, kim jestem i czego szukam.



Przecież ona i Anita bardzo dobrze się znają, może razem pracują dla Kolekcjonera, a ta willa właśnie do niego należy!”

Tak, byłem głupcem! Zostałem zdemaskowany już na początku swoich poszukiwań kobiety, która „nadawała” robotę włamywaczom a potem w Sopocie kupowała od nich skradzione rzeczy. Tą kobietą była albo Joanna, albo Anita. A ja dałem się wywieść w pole!

Przeszło mi przez myśl, że może nie istniał żaden tajemniczy Kolekcjoner, ale obydwie panie same załatwiały sprawy ze skradzionymi koronami. Lecz jednak taksówkarz wspomniał o Kolekcjonerze, którego nikt nie znał osobiście, nikt go nie widział, a zbliżenie do niego groziło niebezpieczeństwem.

I gdy wyobraziłem sobie, że oto Joanna i Anita, tam, w tej białej willi, w tej chwili, może w obecności Kolekcjonera, śmieją się z kawału, jaki zrobiły detektywowi z Ministerstwa Kultury i Sztuki – ogarnęła mnie straszliwa złość. Ale czy złość należało okazać? A może czymś lepszym było udawać przed Joanną i Anitą, że niczego się nie domyślam?

Postanowiłem: „Dziś wieczorem pójde do klubu i znowu poprzez Anitę będę usiłował skontaktować się z Kolekcjonerem. Ciekawe, jak ona postąpi i jak wobec mnie zachowa się Joanna?”

Oczywiście miałem świadomość, że odtąd muszę postępować niezwykle ostrożnie, jak gdybym chodził po bardzo kruchym lodzie, bo chyba tak nazywa się podobne zachowanie. Pomyślałem z odrobiną satysfakcji, że jednak nie straciłem detektywistycznej żyłki, skoro zrezygnowałem z wycieczki na Hel i zacząłem śledzić piękną Anitę.

Szybkim krokiem pomaszerowałem do dolnego Sopotu i hotelu „Bałtyk”, ponieważ chciałem znaleźć się w naszym pokoju jeszcze przed powrotem Zosi i Jacka z wycieczki na Hel. Nie sądziłem, że należy ich wtajemniczać w moje podejrzenia w stosunku do Joanny. Zosia i tak była wobec niej wystarczająco podejrzliwa, a tak prawdę mówiąc nie miałem żadnej pewności, czy to ona znajdowała się w tym samym domu co Anita. Przecież ktoś mógł od niej pożyczyć samochód, albo w jakimś celu przyjechała tam jej matka.

Zaledwie znalazłem się w naszym pokoju, kiedy odezwał się telefon. Dzwonił dyrektor Marczak:

– Panie Tomaszu – oświadczył – jeśli rozpoczął pan jakieś działania, to proszę je przerwać. Policja już wyjaśniła całą sprawę.

– Schwytano tajemniczą kobietę?

– Jeszcze nie. Ale policja znajduje się na jej tropie. Nie mogę zbyt wiele mówić przez telefon. Musi pan jednak wiedzieć, że wyjaśnienie sprawy kradzieży koron okazało się banalnie proste. Policja, ze względu na dobro śledztwa, nie chciała mi udzielić żadnych informacji, proszono mnie tylko, aby pan przestał się zajmować tą historią. Najlepiej pan zrobi korzystając z urlopu. Życzę dużo słońca i miłej zabawy!

Pragnąłem od Marczaka wyciągnąć jakieś szczegóły historii z kradzieżą koron, ale jak to często u nas bywa, w słuchawce nagle coś zaczęło chrypieć, buczeć, a potem połączenie zostało przerwane.

Po tym, co mi powiedział Marczak, nie było sensu zamawiać do niego rozmowy. Usiadłem na łóżku i sam nie wiem, czy czułem zadowolenie, czy też było mi przykro, że raptem zostałem wyłączony ze śledztwa, choć, jak mi się zdawało, byłem na dobrej drodze do rozwikłania zagadki ukradzionych koron. Raptem wszystkie wysiłki, które do tej pory czyniłem, moje próby dotarcia do Kolekcjonera, rozmowa z Anitą, przykre wydarzenie na plaży, moje podejrzenia w stosunku do Joanny, wydały mi się głupie i zbyteczne. Policja posiadała więcej informacji niż ja. Jej łatwiej było wysledzić przestępców. Wprawdzie nie miałem wielkiego zaufania do policji, bo zawsze, gdy nic nie wiedziała, zasłaniała się dobrem śledztwa, ale przecież pracowali w niej fachowcy na pewno nie gorsi ode mnie. To chyba nie miało znaczenia, że żaden z moich znajomych, któremu ukradziono samochód, jakoś nigdy go nie odzyskał przy pomocy policjantów. Sam kiedyś byłem świadkiem, z jaką obojętnością przyjmowali od mego przyjaciela zawiadomienie o włamaniu i dopiero po dwóch dniach od zgłoszenia tego faktu zjawili się w jego mieszkaniu i oczywiście sprawców nigdy nie znaleźli. Podobnie rzecz się miała z kradzieżą roweru w letnim domku innego przyjaciela. Zameldował o kradzieży, przyjechała policja, spisała protokół i odjechała. To ja i mój przyjaciel – a było to zimą – po ich odjeździe jeszcze raz poszliśmy do komórki, skąd skradziono rower i po śladach na śniegu, pozostawionych przez złodzieja, zawędrowaliśmy do starej szopy na pobliskich bagnach i rower odnaleźliśmy, choć złodzieja schwytać się nam nie udało. To samo mogła zrobić policja, ale przecież nie zrobiła. Teraz też, jak twierdził Marczak, już byli na tropie tajemniczej kobiety, lecz szczegółów mu nie podali, zasłaniając się dobrem śledztwa. Wyznaję, że byłem podejrzliwy wobec takich słów używanych przez policję.

„No cóż – pomyślałem – nareszcie mogę spokojnie wypoczywać i powinienem się z tego cieszyć. Mojego sumienia już nie obciąża sprawa odnalezienia skradzionych koron”.

Śmiejąc się i pokrzykując na siebie weszli Zosia i Jacek. Wyglądali na bardzo zadowolonych z wycieczki na Hel i byli skorzy do żartów, ale zmroziła ich moja ponura mina.

– Czemu wujek tu siedzi jak sowa? – zawołała Zosia. – Trzeba było popłynąć z nami albo pójść na plażę.

– Wujek wybrał piękną Anitę i ta pewnie dała wujowi kosza – rzekł Jacek, choć bez złośliwości.

– Tak właśnie było – kiwnąłem głową. – A teraz zejdziemy na dół do restauracji. Dyrektor Marczak zadzwonił, że sprawa kradzieży koron została wyjaśniona przez policję. Jestem teraz wolny jak ptak i możemy to uczcić dobrym obiadem.

Podczas obiadu opowiadali mi, że gdy wysiedli na przystani helskiej podszedł do nich „długowłosy Heniek” – jak go nazwał Jacek – i zawarł z nimi znajomość.

- Zosia mu się bardzo spodobała – rzekł Jacek.
- On mnie także przypadł do gustu. Ma jasne, długie włosy, nosi piękne zielone spodnie welwetowe i czarną koszulę.
- Ile ma lat?
- Pewnie ze dwadzieścia, ale wygląda na osiemnastolatka.
- I jest bardzo nieśmiały. Powiedział, że płynął na Hel tym samym statkiem co my, nie śmiał jednak zawrzeć z nami znajomości i tylko obserwował nas z daleka.
- Z rufy. Bo my siedzieliśmy na dziobie – fachowo stwierdził Jacek.
- Odważył się podejść do nas i zagadać dopiero na przystani, bo zrozumiał, że to dla niego ostatnia szansa na zawarcie znajomości.
- A skąd jest i czym się zajmuje? – spytałem.
- Ależ z wuja staroświecki człowiek! Od razu podczas pierwszej rozmowy nie wypada pytać o takie sprawy – odparł Jacek.

Zosia dodała radośnie:

- Najważniejsze, że zaprosił nas na dyskotekę. Bo trzeba wujowi wiedzieć, że tutaj są dyskoteki dla młodzieży. W kawiarni „Mewa” w górnym Sopocie. Dyskoteki trwają od siedemnastej do dwudziestej i nie wolno tam pić alkoholu. Mam nadzieję, że wujek nas puści na drobny dans?
- Czemu nie? – wzruszyłem ramionami. – Między siedemnastą a dwudziestą macie czas dla siebie. Ale jeśli się zjawicie w hotelu minutę po dwudziestej, to będzie to wasz ostatni dans na długo.
- Podmaluję sobie brwi, bo mam za jasne – oświadczyła Zosia.
- Nie wiem, czy to wypada – mruknąłem. – Masz dopiero piętnaście lat i już chcesz się malować?

Zosia popatrzyła na mnie jak gdybym był dinozaurem:

- Ależ z wuja starożytny człowiek! Teraz malują się już nawet trzynastoletnie dziewczyny!

Pomyślałem, że od dawna nie miałem kontaktu z młodzieżą i być może trochę cofnąłem się w czasie. Machnąłem więc ręką i spojrzałem na zegarek.

Była czternasta. Zdecydowałem, że pójdę na plażę przy hotelu, a Zosia i Jacek postanowili wypożyczyć żelazko i odprasować swoje stroje, które zapewne pogniotły się w walizkach.

- Muszę wyglądać szalowo! – obiecywała sobie Zosia.

Rozstaliśmy się. Ja zabrałem kąpielówki, a Zosia i Jacek poszli do pokojowej, aby pożyczyć żelazko.

Ległem na plaży tuż obok hotelu. Piasek był gorący, szumiało morze, jakoś nie raziły wrzaski kąpiącej się dzieciarni. Irytował mnie tylko zapach kiepskich olejków do opalania, którymi wysmarowane były tęgie panie, leżące obok mnie na kocach.

Położyłem się na brzuch i zatkawszy dłońmi nos, usiłowałem zasnąć.

Nagle czyjś cień odgrodził mnie od słońca. Myślałem, że to znowu jakaś mamusia usiłuje rozłożyć koc w pobliżu mnie, ale cień nie znikał, tylko ciągle osłaniał moje plecy i ramiona.

Podniosłem głowę i ujrzałem stojącą nade mną Joannę. Patrzyła na mnie z promiennym uśmiechem, a jej błękitne oczy wyrażały radość, że zdołała mnie odnaleźć wśród tylu nagusów na hotelowej plaży.

„Żmija” – pomyślałem.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

### JOANNA ZAPRASZA NA KOLACJĘ • DŁUGOWŁOSY BENIEK CZY ROMAN • PO CO PRYSZCZATEMU SPIS SANKTUARIÓW MARYJNYCH? • ZOSIA I SZARY MERCEDES

– Joanno, czy ja już dzisiaj nie widziałem cię jadącą przez Sopot? – zapytałem, na wszelki wypadek nie chcąc ujawnić, że jej samochód stał przed domem, w którym zniknęła Anita.

– Owszem – skinęła głową i usiadła na kocu obok mnie. – Byłam w domu znajomego jubilera, aby dyskretnie wywiedzieć się, czy ktoś nie oferuje do sprzedaży połamanych kawałków jakichś złotych przedmiotów albo drogich kamieni.

– I co?

– Nie trafiłam na żaden ślad w interesującej cię sprawie. Poinformowano mnie, że w środowisku jubilerów i złotników panuje nawet posucha na srebrny i złoty złom oraz szlachetne kamienie. Jeśli ów Kolekcjoner wszedł w posiadanie aż trzech koron, to nie ujawnia tego, a w każdym razie nie spieszy się ze sprzedażą.

– Może chce sprzedać ten towar komuś z zagranicy?

– Może – skinęła głową.

Ziewnąłem i powiedziałem z udaną obojętnością.

– Mnie ta sprawa już nie interesuje.

– Dlaczego?

– Mój zwierzchnik po prostu zabronił mi interesowania się tą historią. Podobno policja wpadła już na ślad przestępców.

– Nie wierzę – pokręciła głową. – Kolekcjoner to nie jest człowiek, którego łatwo złapać. Tutejsza policja zastawiała na niego wiele pułapek i nigdy ryba w sieć nie wpadła. Zresztą, troszkę poznałam cię i nie wydaje mi się, abyś chciał taką sprawę pozostawić policji. Ona jest nieudolna.

– A jednak, Joanno, od teraz będę tylko wypoczywał i jeśli zechcesz dotrzymać mi towarzystwa...

– Nie mam wiele wolnego czasu. Przecież prowadzę z matką antykwariat i kto wie, czy nie będę musiała wkrótce wyruszyć w podróż po Polsce, aby szukać starych mebli.

„No tak – pomyślałem – gdy ja przestałem okazywać zainteresowanie dla Kolekcjonera, to i ona straciła je dla mnie”.

I mimo że przestała budzić moje zaufanie i udawałem, iż nawet na nią nie patrzę, to przecież wciąż wydawała mi się bardzo ładna i pociągająca.

– Nie rozbierzesz się? Nie masz ochoty na opalanie? – zapytałem.

– Wydaje mi się, że jest już za późno na wylegiwanie się na plaży. Myślę raczej o dobrym obiedzie. We dwoje – zaznaczyła.

– Chciałaś powiedzieć: o kolacji. Bo obiad to już jadłem z moimi podopiecznymi.

– A propos, gdzie oni są? Nie opalają się na plaży?

– Idą dziś na dyskotekę i chyba Zosia robi się, jak to mówią, na bóstwo.

– Nareszcie we dwoje! Bo muszę ci wyznać, że nie przepadam za tymi małolatami. Chłopak jeszcze jest do przyjęcia, ale dziewczyna wydaje mi się nieznośna. Uważa się za piękność, a poza tym jest zazdrosna o ciebie.

– Jestem jej wujkiem.

– Nie znasz takich podlotków! Są zazdrosne o każdego, kto zaczyna zwracać uwagę na inną kobietę. Nawet jeśli to jest jej wujek. Po prostu nieustannie chcą być punktem zainteresowania wszystkich.

– Być może – zgodziłem się z nią.

Jeszcze raz zerknąłem na Joannę i wydała mi się naprawdę prześliczna w krótkiej spódniczce i białej bluzeczce. Jasne włosy wicherzył jej wiatr od morza. Duże błękitne oczy patrzyły tak łagodnie. Miała dla mnie miły uśmiech swoich pełnych warg.

„Wszystkie ładne kobiety są przewrotne” – ostrzegał mnie kiedyś mój przyjaciel, również stary kawaler.

– Zosia podejrzewa mnie także, że staram się ciebie poderwać, żeby utrudnić ci poszukiwanie Kolekcjonera.

– To dziecinada – odrzekłem, choć wcale nie byłem pewien, czy Zosia nie ma racji.

– Na kolację zaproszę cię do restauracji „Żagiel”, najlepszej w całym Sopocie. Szczególnie smaczne są tam smażone łososie i pstrągi.

– Myślałem, że w Bałtyku łowi się zupełnie inne ryby...

Wzruszyła ramionami:

– Wiesz, jak to jest. W leśnych restauracjach, zamiast borowików i koźlaków, podają pieczarki. W Zakopanem, gdzie dużo owiec, za żadne skarby nie zjesz szaszłyku z baraniny.

– W takim razie pozwolisz, że pójdę do hotelu i przebiorę się w jakiś bardziej stosowny strój – zdecydowałem.

Podniosłem się z piasku i ruszyliśmy razem w stronę hotelu. Oświadczyła, że poczeka na mnie w holu, a ja pojechałem windą na piętro, gdzie znajdował się nasz pokój.

Zostałem tam Jacka i Zosię, która suszyła dopiero co umyte włosy, by jak najładniej wyglądać na dyskotecę.

W fotelu rozpierał się drągalowaty młodzieniec ze śladami po młodzieńczych krostach i o bardzo długich włosach, chyba dawno nie mytych. Miał na sobie marynarski podkoszulek, dzinsy i białe adidas.

– Roman jestem – przedstawił mi się. – To ja zabieram ich na dyskotekę. Poznaliśmy się na przystani.

Po chwili dodał, aby mi zaimponować:

– Widział pan przed hotelem granatowe BMW? To mój wozik.

– Bogaty z pana człowiek – zauważyłem.

– Nie powiem, źle mi się nie powodzi. Ten wozik nie jest tak w pełni mój, ale wkrótce na niego zapracuję.

– A nie zna pan jakiejś pracy dla mnie, abym i ja mógł zarobić na taki samochód?

Zarechotał:

– Podobno pan ma już jakiś wehikuł...

– Owszem. Nie narzekam na niego. Ale skoro już pan tu jest i zaprosił na dyskotekę moich podopiecznych, to bardzo proszę, aby odwiózł ich pan przed ósmą. A najlepiej, jeśli mi pan pozostawi swój adres.

– Kumam – rzekł.

– Co pan robi? – zdumiałem się.

– No, kumam pana.

Nie wiedziałem, czy powinienem się obrazić, bo cóż to znaczyło, że on mnie „kuma”?

– Roman chciał powiedzieć w naszym języku – wyjaśnił mi Jacek – że wujka rozumie. Kumać, to znaczy rozumieć.

– Teraz i ja kumam – odparłem.

– Na wszelki wypadek zostawię panu swój telefon we Wrzeszczu – zaofiarował się młodzieniec.

Chciałem mu podać swój notes, ale gdzieś mi się zawieruszył, więc on wyciągnął z kieszeni jakąś pomietą kartkę i napisał numer swego telefonu.

Zosi wyschły już włosy i poszła do łazienki, by uczesać się starannie. Poszedłem za nią, zamknąłem drzwi i szepnąłem:

– Mam nadzieję, że nie zdradziliście mu, kim jestem.

Zosia wzruszyła ramionami:

– Też pomysłał? Powiedzieć takiemu chłopakowi, że wujek jest od starożytności? Powiedzieliśmy, że wujek ma wielką wytwórnię lodów. I to wszystko produkuje na eksport.

– A wehikuł? Czy też samochód mnie nie zdradził?

– Przecież żadne z nas mu nie pokazało wujkowego szkaradzieństwa. Po co tracić takiego fajnego chłopaka? Daliśmy mu do zrozumienia, że wujka wehikuł to coś naprawdę ekstra. Jakiś jeep, nissan terenowy lub coś w tym rodzaju.

Gdy wróciłem do pokoju, chłopak wyciągnął z kieszeni spodni posrebrzaną piersiówkę.

– A może łyknijemy sobie po małym drinku? – zaproponował.

– Czy pan nie za młody na drinki?

– Mam dwadzieścia lat – wyprężył się dumnie.

– A samochód będzie pan prowadził po małym drinku?

– No tak. Racja – zgodził się ze mną i schował buteleczkę do kieszeni.

Pomyślałem, że chyba tylko ze względu na mnie tak postąpił. Prawdopodobnie prowadził samochód nie tylko po jednym, ale nawet po kilku drinkach.

Nie podobał mi się ten chłopak. Ale przecież to nie ja go wymyśliłem, tylko Zosia i Jacek wynaleźli na przystani. Zresztą, Zosia jeszcze podczas podróży oświadczyła, że poderwie jakiegoś nadzianego faceta, aby mogła z Jackiem bawić się, nie naruszając moich skromnych funduszy.

– Pośpieszcie się, bo ktoś na mnie czeka w holu – popędzałem Zosię i Jacka.

Zosia śmiesznie wykrzywiła usta:

– Może znowu ta blond Wenus od mebli?

Nic nie powiedziałem. Zresztą ich to chyba nie interesowało. Zosia uczesała włosy, podmałowała się, włożyła sukienkę z gołymi ramionami i jak najbardziej kusą. Jacek zaś przywdział nową niebieską koszulę i zdecydował się pójść w dzinsach z łatami na kolanach.

– No to, nieustające zdrówenko – podał mi rękę podziurawiony na twarzy młodzian.

Na chwilę go zatrzymałem.

– A dlaczego zainteresował się pan właśnie Zosią i Jackiem? – zapytałem.

– No wie, wujek! Co za pytanie? – oburzyła się Zosia. – Każdy zwraca na mnie uwagę.

– To prawda, proszę pana – skinął głową młodzian.

A Jacek dodał:

– Teraz nie jest jak za wujka młodości. Znajomość zawiera się szybko i rusza na dyskotekę.

Wobec takiej argumentacji byłem bezradny. Gdy tylko opuścili pokój, zacząłem się po nim miotać, aby włożyć na siebie coś eleganckiego. Niestety, nic takiego nie miałem, a to co mogło się wydać eleganckie, źle ułożyłem w walizce i okazało się pomięte. A czarna marynarka była wyplamiona po przygodzie na plaży.

„Przywdziałem się w com ta miał” – jak mówił Chochoł w Weselu Wyspiańskiego, czyli najmniej wygniecione spodnie, białą koszulę i lekkie płócienne wdzianko. Schwyciłem ze stołu kartkę z zapisanym numerem telefonu dziurawego młodzieńca i skierowałem się do windy.



Po drodze coś mnie tknęło i dokładniej przyjrzałem się kartce z numerem telefonu. Po drugiej stronie odkryłem coś, co, jak się mówi, aż krew mi w żyłach zmroziło. A był to ni mniej, ni więcej tylko spis kościołów-sanktuariów z koronowanymi Madonnami i podaniem daty ich koronacji, co zapewne miało świadczyć o większej lub mniejszej zabytkowości korony!

Oto ów spis:

Częstochowa	1717	Przemyśl	1766
Kraków (Sokal)	1723	Gdańsk (Bolszowice)	1777
Wrocław (Podkamień)	1727	Przemyśl	1777
Gdańsk (Lwów)	1751	Lublin (Latyczów)	1778
Nowe Miasto Lubawskie	1752	Szydłów	1786
Leżajsk	1752	Kalisz	1796
Chełmno Pomorskie	1754	Stara Wieś	1877
Jarosław	1755	Kalwaria Paławska	1882
Skepe	1755	Kraków (na piasku)	1882
Rzeszów	1763	Kalwaria Zebrzydowska	1887
Chełm	1765	Tarnobrzeg	1904
Tuchów	1904	Piekary Śląskie	1925
Tuligłowy	1909	Przeczyca	1925
Sulisławice	1913	Tarnowiec	1925
Zawada	1920	Gostyń	1928
Gilde	1923	Warszawa (Żółkiew)	1929
Staniątki	1924	Borek Wielkopolski	1931

Spis był bardzo długi i dokładny. Poniżej zanotowano jeszcze miejscowości: Racibórz, Hyżne, Bochnia, Gdańsk (Stanisławów), Odporyszów, Swarzewo, Charlupia Mała, Szymanów (Jazłowiec), Piotrkowice Chmielnickie, Poznań, Okulice, Nowy Sącz, Ludźmierz, Leśna Podlaska, Górka Klasztorna, Markowice, Krasnobród, Rychwałt, Żegocin, Bydgoszcz, Bardo Śląskie, Byszewo, Wiślica, Górka Duchowna, Skalmierzyce, Sianowo, Limanowa, Leśmiów, Licheń, Pieranie, Gietrzwałd, Toruń, Dąbrowa Górnicza, Święta Lipka, Studziana, Tursko, Jekoszów, Piaseczno, Dąbrówka Kościelna, Lubawa, Myślenice, Golina, Czerwińsk, Szamotuły, Wieluń, Lutynia, Smardzowice, Rywałt Królewski, Warszawa, Wysokie Koło, Kawnice, Jodłówka, Lewiczyn, Sejny, Głogowiec, Obory, Biechowo, Błotnica, Przasnysz, Wąwolnica, Maków Podhalański, Osieczna, Tulce, Przów, Wambierzyce, Lipinki.

Kilka miejscowości z koronowanymi Madonnami podkreślono czerwonym ołówkiem. Nie były to jakieś wielkie miasta, ale wioski. Nietrudno się domyślić, czemu miały służyć owe podkreślenia. W dużych miastach kościoły miały zainstalowany system alarmowy, kraść korony było najłatwiej w małych miejscowościach. Innymi słowy owe podkreślone ośrodki miały zostać wkrótce okradzione z koron na obrazach kościelnych. Szczególnie zaniepokoiły mnie dwa kościoły, które lubiłem odwiedzać: Gietrzwałd na Warmii i Święta Lipka, także w tamtych stronach, ale już na Mazurach.

„Muszę tam pojechać i sprawdzić, czy ktoś nie interesuje się zbytnio zabezpieczeniem koronowanych obrazów!” – pomyślałem.

Kartkę starannie schowałem do portfela. Jednocześnie uświadomiłem sobie, że ów młodzian, który poznał na przystani Zosię i Jacka, należał chyba do szajki złodziei koron. I – co gorsza – może to poznanie się nie było wcale przypadkowe. Może piękna Anita, gdy ujrzała moich podopiecznych, wskazała ich młodzianowi, a ten uczynił wszystko, aby się z nimi zaznajomić. Ba, nawet zaprosił ich na dyskotekę.

Uświadomiłem sobie jeszcze, że nie podkreślono wyłącznie miejscowości z najdawniej koronowanymi obrazami, ale przede wszystkim takie, do których ciągnęło mnóstwo pielgrzymów. Koronacji obrazu Matki Boskiej w Gietrzwałdzie dokonano w 1967 roku, ale była to miejscowość uznawana za niemal najświętsze miejsce na Warmii. W tym samym roku odbyła się koronacja obrazu w Świętej Lipce, cieszącej się ogromnym zainteresowaniem pielgrzymów. Wynikało z tego niezbitie, że złodziejom nie chodziło o starożytności, ale liczyli na korony najbardziej drogie, bo uwielbiane przez miejscową ludność, która zapewne nie żałowała pieniędzy, aby koronę wspaniale wyposażyć.

Pomyślałem: „Młodzian tak się spieszył na dyskotekę, że na pierwszej wyjętej z kieszeni kartce zanotował numer swego telefonu. Czy – jeśli zorientuje się, że po drugiej stronie kartki znajduje się spis miejscowości z koronowanymi obrazami Madonn – zechce mi tę kartkę odebrać i to nawet w brutalny sposób? Jedyne nadzieje, że nie będzie pamiętał, gdzie podział tę kartkę... Podział?... Czy tak ważne notatki nosi się w kieszeni spodni wraz z piersiówką? A jeśli komuś zależało, żebym tę kartkę znalazł? Ale komu i dlaczego? Kolekcjonerowi?” – krzyknąłem prawie, bo właśnie w tej chwili przypomniałem sobie, gdzie już dziś widziałem granatowe BMW: na podjeździe willi na Liliowej! Co robić? Co robić?

Jedno było pewne: należało być czujnym i ukryć tę sprawę przed Zosią i Jackiem, a szczególnie przed Joanną, która dziwnym trafem w tym samym czasie znajdowała się w jednym miejscu z piękną Anitą, a przynajmniej jej audi stało wówczas w tym samym miejscu co granatowe BMW. O Zosię i Jacka nie należało się chyba martwić. Przecież poszli na dyskotekę między wielu ludzi, a nie w jakieś zakamarki. Zresztą, jak mnie poinformował Marczak, policja już niemal miała w rękach przestępców.

Otarłem czoło, bo pod wrażeniem lektury kartki aż pot mi na nie wystąpił. Uspokoilem szybko bijące serce i, jak gdyby nic się nie stało, podszedłem do oczekującej mnie w holu Joanny.

– No, nareszcie się zjawiłeś! – powitała mnie z wyrzutem w głosie.

– Musiałem najpierw wyprawić na dyskotekę moich podopiecznych.

– Widziałam ich, gdy z Długowłosym Beńkiem wychodzili z hotelu – oświadczyła. – Ciekawe, skąd oni go znają? To ponoć chłopak z bandy Kolekcjonera.

– Co takiego? – udałem zdumienie, ponieważ od chwili, gdy odkryłem zapiski na drugiej stronie pozostawionej przez niego kartki, byłem pewien, że mam do czynienia z kimś od Kolekcjonera. – Udali się w trójkę na dyskotekę do kawiarni „Mewa”.

– A my pojedziemy do „Żagla”. To jest restauracja naprzeciw „Mewy” i będziesz miał baczenie na swoich podopiecznych.

– Pojedziemy?

– A tak. Mam przed hotelem moje audi. Do „Żagla” jest spory kawałek drogi.

W drodze do restauracji wyjawiałem Joannie swoje skryte marzenia. Nie muszę wyjaśniać, że kłamałem.

– Mieszkasz we Wrzeszczu i obracasz się w różnym towarzystwie. Słyszałem, że w Sopocie są tajne salony gry. Chciałbym spróbować szczęścia.

– Naprawdę? – zdziwiła się. – Nie wyglądasz na hazardzistę.

– A ty, Joanno, nie wyglądasz na sprzedawczynię starych mebli.

– No cóż, chyba masz rację. Co do mnie, to nie lubię gier hazardowych, ale mój były mąż, marynarz, uwielbiał tracić swoje zarobki w podobnych miejscach. W co grywasz?

– W pokera.

Wzruszyła ramionami:

– Nie wierzę ci. Myślę, że po prostu chcesz się natknąć na kogoś, kto naprowadzi cię na ślad Kolekcjonera!

– Tajemniczy Kolekcjoner, Joanno, to już przeszłość! Otrzymałem telefon z Warszawy, że mam porzucić tę sprawę, bo policja jest już na jego tropie.

– To świetnie. Będziemy mieli czas dla siebie. To znaczy – poprawiła się – może zechcesz mi pomóc w wycenie niektórych mebli, jakie ostatnio ktoś przywiózł do mnie z jakiegoś starego dworu, zamienionego na Ośrodek Zdrowia.

Zajechaliśmy pod restaurację „Żagiel”. Mimo że jeszcze nie zapadł zmrok, ten duży lokal był już mocno oświetlony neonami, propagującymi coca-colę i martini. Po drugiej stronie pobłyskiwała światłami dyskoteka „Mewa”, skąd buchał jazgot bardzo głośnej muzyki.

W restauracji zajętych było tylko kilka stolików. Usiedliśmy pod oknem, mając widok na „Mewę” to był mój pomysł i zamówiliśmy pstrągi z rusztu. Jak zwykle Joanna poprosiła o coctail z campari, a ja o coca-colę.

Z początku prowadziliśmy rozmowę o najróżniejszych sprawach, nawet nie pamiętam o czym, aż wreszcie Joanna zapytała:

– Pasjonujesz się koronami obrazów i świętych figur. A co z prawdziwymi królewskimi koronami. Czy nikt nimi nie handluje?

– O polskich regaliach chyba uczyłaś się na historii sztuki.

– Niewiele z tego pamiętam.

– Dobrze, w takim razie chcę ci wyjaśnić, że polskie regalia, a szczególnie korony królewskie, już nie istnieją. W przeciwieństwie do innych krajów, choćby takich jak Anglia, polskie korony królewskie zaginęły w XVIII wieku wraz z ostatnim rozbiorem Polski. Te, które nosili nasi królowie, znamy tylko z ilustracji, a przede wszystkim z malowideł Marcello Bacciarellego, który prawdopodobnie jeszcze kilka z nich widział, a także posługiwał się informacjami kronikarzy. Rzecz całą komplikuje jeszcze fakt, że każdy król miał kilka koron. Przede wszystkim więc istniała tak zwana „corona privilegiata”, czyli koronacyjna, zazwyczaj zrobiona ze złota i wysadzana drogimi kamieniami. Ten drogocenny klejnot oglądano na głowie króla tylko w chwili uroczystej koronacji. Jeśli przewożono ją w inne miejsce, jak na przykład na koronację w Warszawie Stanisława Augusta Poniatowskiego – ostatniego króla Polski, odbierała honory wojskowe, a orszakowi wiozącemu koronę w specjalnej skrzyni na wozie przykrytym czerwonym suknem, towarzyszyła gwardia konna koronna, podskarbi wielki koronny i senatorowie delegowani przez sejm. Do innych mniej doniosłych obrzędów, jak na przykład przyjmowanie hołdów lennych służyła inna, nieco skromniejsza, zwana „homagialną”. A podczas rozmaitych ceremonii dworskich królowie używali zazwyczaj koron prywatnych, które z czasem nosiły nazwę: „węgierskiej”, „szwedzkiej”, „moskiewskiej”.

– Znamy jednak wizerunki dawnych władców... – wtrąciła Joanna. – Nie wiadomo, w jakiej koronie uwieńczyli portrety królów polskich starodawni ilustratorzy albo opis jakich koron dali dawni kronikarze. Ważne jest jednak, że do uroczystej koronacji miano używać tak zwanej korony Władysława Łokietka, a jej autentyczność także dawniej budziła zastrzeżenia. Jedno jest pewne: korony Bolesława Chrobrego i Mieszka II zaginęły bezpowrotnie jeszcze w XI wieku.

Jak wyglądały, można się tylko domyślać. Trzecim władcą polskim, który włożył na głowę królewską koronę był Bolesław II Śmiały (Szczodry). Na następną koronację trzeba było czekać ponad dwieście lat.

– Aż do ponownego zjednoczenia rozbitych na dzielnice ziem polskich – słusznie zauważyła moja piękna rozmówczyni.

– Wprawdzie mówi się, że papież Bonifacy VIII przyznał koronę królewską księciu wielkopolskiemu Przemysłowi II i to podobno koroną Bolesława Śmiałego ozdobił jego głowę w 1295 roku arcybiskup Jakub Świnka, ale starodawna ilustracja przedstawia ją jako dość prymitywnie wyobrażoną koronę, będącą w powszechnym użyciu na dworach

królewskich. Najwierniejszy jej obraz przedstawia chyba pieczęć Przemysła II. Ma ona na niej formę obręczy zwieńczonej czterema kwiatonami o kształcie stylizowanej lilii. Wątpliwe, aby taką właśnie koronę nosił Bolesław Śmiały. Zresztą rok po uroczystościach koronacyjnych Przemysł II został podstępnie zamordowany przez Brandenburczyków, a Wielkopolską zawładnął Henryk II głogowski, którego wkrótce zbrojnie wyparł Wacław II czeski. W katedrze gnieźnieńskiej koronował go także Jakub Świnka, ale zezwolenie na koronację dał już nie papież, lecz cesarz Albrecht I Habsburg, uznając Polskę za lenno Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego, co czyniło Polskę królestwem uzależnionym, a nie w pełni niepodległym. Tak więc korony Bolesława Chrobrego i Mieszka II najprawdopodobniej zawędrowały do Niemiec, a korona Bolesława Śmiałego – jeśli uznać, że to nią koronowali się Przemysł II i Wacław II – powędrowała do Czech i tam ślad po niej zaginął. Być może koronowano nią w Pradze w 1303 roku królową Ryksę Elżbietę, córkę Przemysła II i żonę Wacława II. Została ona królową Polski i Czech. A że korona polska znajdowała się w Pradze, to dawało władczyni pewność, że jej dzieci będą dziedziczyć prawo do tronu polskiego. Czy wystarczy już tego wykładu?

– Nie. Przecież mamy dużo czasu – zachęciła mnie Joanna. – Chcę wiedzieć jak najwięcej o polskich koronach. Lubię zresztą słuchać o złotych przedmiotach wysadzanych rubinami, szmaragdami, perłami...

– Podsumujmy, co wiemy o koronach królów polskich. Tak więc Bacciarelli za Stanisława Augusta Poniatowskiego podjął się namalowania całego pocztu królów polskich. W tym czasie w skarbcu koronnym znajdowało się pięć koron królewskich; na pozostałych zaś postaciach królów Bacciarelli domalował korony posługując się najprawdopodobniej starymi litografiami. W całej serii królów Polski przedstawił Bacciarelli tylko pięciu panujących bez korony, co świadczy, że orientował się, który z władców był koronowany, a który nie. Dlatego obrazy Bacciarellego należy chyba uznać się niedocenianą przez fachowców wspaniałą dokumentację. Ostatnim z przedstawionych na jego obrazach był rzecz jasna Stanisław August Poniatowski. Był to władca raczej próżny. Dawna tradycja utrzymuje, że do portretu Bolesława Chrobrego pozował sam Stanisław August, a koronę na jego głowie odtworzono wedle starych wizerunków. Warto nadmienić, że Stanisław August przewiezione z Krakowa do Warszawy stare korony kazał wyreperować, ozdabiając je po nowemu i nieco zmieniając ich kształt. Portrety Bacciarellego mogą dawać podstawy do wyobrażenia o koronach różnych królów polskich, w przeciwieństwie do koron znajdujących w sarkofagach królewskich czy książęcych; zazwyczaj prawdziwą koronę oddawano do skarbcu, a dla nieboszczyka robiono tak zwaną koronę grobową, znacznie skromniejszą od prawdziwej. Podobnie nie mamy pojęcia, czy figury królów na sarkofagach przedstawiają najpiękniejsze korony, tak zwane koronacyjne lub homagialne, czy tylko korony prywatne.

– Jaką więc koroną tak naprawdę ozdabiano głowy polskich władców?

– Mówi się, że była to korona Władysława Łokietka, choć niektórzy mniemają, że władca ten założył na głowę koronę Bolesława Chrobrego i Mieszka II, lecz – jak mi wiadomo – tamte korony zaginęły bezpowrotnie. Niektórzy naukowcy sądzą, że Władysław Łokietek i jego syn, Kazimierz Wielki, posłużyli się koroną przypisaną Bolesławowi Wstydliwemu. Według mnie jednak trzecia korona, tak zwana koronacyjna, została zrobiona dla Władysława Łokietka. Jest dla mnie oczywiste, że Władysław Łokietek odnawiając Królestwo Polskie, a nie mogąc posłużyć się własnością Bolesława Chrobrego i Mieszka II, kazał wykonać dla siebie nową koronę i to była trzecia polska korona koronacyjna.

– Jak wyglądała? – zainteresowała się Joanna.

– Wykonana była w całości ze złota i zdobiły ją drogocenne kamienie: szmaragdy, rubiny, szafiry oraz perły. Korona składała się z dziewięciu segmentów, czyli porcji, jak je nazywano. Te segmenty można było zabierać, jeśli głowa króla była mniejsza, ba, istniał nawet maleńki dziesiąty segment, zapewne dla jakiejś większej głowy monarszej. Segmenty te łączono za pomocą złotych zawiasów i sztyftów. Każdy segment był wycięty ze złotej blachy, lekko rozszerzał się od dołu i następnie przechodził w motyw stylizowanej lilii heraldycznej. Od góry zamykały koronę dwa gładkie złote obłaki z osadzonym na ich skrzyżowaniu globem zwieńczonym krzyżykiem. Znaczący sztuki powiadają, że była to najpiękniejsza znana nam korona gotycka i chyba najcenniejsza, bo na każdym segmencie znajdowało się aż jedenaście drogocennych kamieni i jedenaście pereł.

– To znaczy, że po otwarciu grobu Kazimierza Wielkiego, syna Łokietka, nie odnaleziono prawdziwej korony królewskiej?

– Oczywiście, że nie. Korona, o której mówimy, należała do takich, które władca wraz z władzą królewską przekazywał swemu następcy. Istnieje prawdopodobieństwo, że pierwotnie korona Łokietka była otwarta, bez owych obłąków. W XII wieku panował zwyczaj, że otwarte korony nosili samodzielni królowie, a te z obłąkami i zwieńczone krzyżykiem tylko cesarze. Być może do otwartej korony Łokietka dorobiono później owe obłaki, prawdopodobnie z okazji koronacji Anny Jagiellonki. Jedno pozostaje pewne: zaginęła w XVIII wieku, wraz z upadkiem I Rzeczypospolitej.

– Czy do naszych czasów w ogóle przetrwały jakieś korony królewskie?

– Trudno dać jednoznaczną odpowiedź. W 1869 roku otwarto grób Kazimierza Wielkiego i znaleziono tam koronę, berło i jabłko, oznaki władzy królewskiej. Nie jest to jednak korona koronacyjna, a na pewno grobowa; ba, prawdopodobnie wykonana w 1371 roku po śmierci króla i włożona do jego grobu. Wykuta została z jednej blachy, a nie złożona z segmentów. Składa się z pięciu smukłych lilii, oddzielonych od siebie zębami zakończonymi gałką. Zdobia ją półszlachetne kamienie, tak zwane dublety. Z korony tej zrobiono wiele kopii, a oryginał włożono z powrotem do grobu. Również w naszych czasach otworzono grób Kazimierza Wielkiego i znaleziono tę samą skromną koronę. Niestety i ta sprawa budzi wątpliwości. Okazuje się bowiem, że do grobowca Kazimierza Wielkiego dobierano się

znacznie wcześniej. Następca Kazimierza, Ludwik Węgierski, spotkał się z niechęcią panów polskich, a przede wszystkim podkanclerzego Królestwa i kronikarza Janka z Czarnkowa, który chciał uczynić królem Polski Władysława Białego, jednego z książąt piastowskich i błędnego rycerza. Janko z Czarnkowa ponoć samowolnie otworzył grobowiec Kazimierza Wielkiego i koronę ukradł. Janka jednak schwytano i osadzono w wieży, a koronę włożono z powrotem do grobowca. Czy jednak nie dokonano podmiany i zamiast korony grobowej nie włożono korony domowej, bardzo skromnej, wykonanej ze złoczonej miedzi i półszlachetnych kamieni? Tego nigdy się nie dowiemy. Prawdopodobnie tylko atrapą jest korona grobowa Kazimierza Jagiellończyka, znaleziona podczas otwarcia jego grobu w katedrze wawelskiej w 1973 roku. Wykonana jest ze skóry, ze śladami złocień; składa się z czterech lilii o bardzo uproszczonym rysunku. Ktoś więc może podmienił oryginalną koronę. A może po prostu ogromne kłopoty finansowe Kazimierza Jagiellończyka zmusiły go do sprzedaży jego korony domowej czy homagialnej albo przetopienia jej na złom, który sprzedał, a do grobu włożono mu koronę skórzaną?

– A co wiemy o koronach kolejnych władców?

– Naprawdę, nie mamy się czym chwalić. Na przykład król Jan Kazimierz, oprócz koron zwanych „szwedzką” i „moskiewską”, miał jeszcze inne, nieco mniej kosztowne. Po swojej abdykacji wywiózł do Francji aż cztery korony: dwie wielkie, zamknięte, i dwie inne, zwane „małymi”. Oprócz tego wywiózł także insygnia królewskie, które w końcu znalazły się w opactwie Saint-Germain-des-Pres, a w czasie Wielkiej Rewolucji Francuskiej przetopiono je na złoty złom. Ową koronę „moskiewską” miał ponoć podarować Zygmuntowi III Wazie słynny Dymitr Samozwaniec, albo też wykonano ją w Polsce około 1605 roku, po wyborze na tron moskiewski królewicza Władysława Zygmunta, który jednak nigdy na tronie moskiewskim nie zasiadł. Jedno jest pewne: koronę „moskiewską” Władysław IV przekazał Rzeczypospolitej, ale przywłaszczył ją sobie Jan Kazimierz, który dość dużo zarobił rozbierając ją na części i sprzedając drogie kamienie.

– Ciekawe, ile była warta? – zapytała Joanna, która jak większość kobiet miała jednak słabość do klejnotów.

– Wtedy ponoć 1500 dukatów węgierskich. Pozostał z niej jedynie kamień ozdobnie rzeźbiony, który król Jan Kazimierz darował rodowi Krasieńskich. Po latach generał Wincenty Krasieński dał go w prezencie carowi Mikołajowi I, który wystawił ów klejnot z odpowiednią adnotacją w tak zwanej orużennoj pałacie w Moskwie. Podobny skandal był związany z koroną zwaną „szwedzką”. Najpewniej król Zygmunt III po swej uroczystej koronacji w szwedzkiej Uppsali przywiózł ją do Polski. Ale liczni badacze twierdzą, że pozostała jednak w Szwecji. Powiadają, że tak zwana korona „szwedzka” była prywatną własnością Zygmunta Augusta, a po jego śmierci Anna Jagiellonka zastawiła ją w Gdańsku u bankiera Jana Tudesco. Prawdopodobnie odkupiono ją później za 20 tysięcy złotych polskich. Tak więc kupczono władzą, kupczono koronami, wywożono je z kraju i sprzedawano na złom.

Skandalem też było, że po śmierci Jana III Sobieskiego, w 1696 roku, słynna Maria Kazimiera ani myślała włożyć koronę na głowę leżącego na katafalku małżonka, o co toczyła spór z synem – Jakubem Sobieskim. Bohaterskiego króla ubrano w końcu w hełm rycerski i tak wystawiono na widok publiczny.

– To rzeczywiście niezbyt budujące – stwierdziła Joanna.

– Najnowsze czasy też nie były dla ostatnich koron polskich władców łaskawe. W 1938 roku władze sowieckie przekazały Polsce trumnę ze zwłokami Stanisława Augusta. Były ponoć przy niej insygnia królewskie, w tym korona z pozłacanej miedzi. Ponieważ uważano króla za zdrajcę, odmówiono mu pochówku na Wawelu, a szczątki monarchy złożono ukradkiem w kościele w Wołczynie, jego rodzimym majątku. Przy zwłokach miała się znajdować ponoć korona z pozłacanej miedzi... No a potem Wołczyn znalazł się na terytorium ZSRR, kościół z kryptą grobową króla Stasia zamieniono na magazyn... Ale to już inna historia...

– Proszę, opowiedz, to takie pasjonujące!

– Dobrze, tylko zacznę jeszcze raz od początku...

– To się stało stosunkowo nie tak dawno. Dziwne, że ty, słynny detektyw od odzyskiwania zabytków, nie wszcząłeś śledztwa...

– Skąd wiesz, że jestem „słynnym detektywem od odzyskiwania zabytków”?

Joanna zmieszła się.

– Mówił mi o tym Jacek, a może Zosia...

„Ciekawe, kiedy to ona z nimi rozmawiała?” – pomyślałem. Udałem jednak, że uwierzyłem jej słowom:

– Byłem wtedy tylko skromnym pracownikiem jednego z naszych muzeów prowincjonalnych. Ale żyłkę detektywistyczną miałem chyba od bardzo dawna. Dlatego zwróciłem się do Ministerstwa Kultury i Sztuki z propozycją, że zajmę się poszukiwaniem insygniów i korony Stanisława Augusta Poniatowskiego. Otrzymałem krótką odpowiedź, którą zachowałem do dziś: „Nas ta sprawa nie interesuje”. Polscy historycy uważali króla Stasia za zdrajcę i nie pasjonowała ich jego osoba. Mimo to zacząłem prowadzić sprawę na własną rękę. Ustaliłem, że wiosną 1938 roku konsul Rzeczypospolitej, Grzybowski, został oficjalnie powiadomiony przez władze radzieckie, że kościół Św. Katarzyny w Leningradzie, gdzie przez sto czterdzieści lat spoczywały zwłoki króla Stasia, został zakwalifikowany do rozbiórki... Dlatego władze radzieckie uważały za stosowne przekazać trumnę króla Stasia Polakom. W dniu 15 lipca 1938 roku do stacji granicznej Stołpce przybył przyczepiony do zwykłego pociągu towarowego jeden zaplombowany wagon... Odstawiono go na boczny tor, gdzie stał dość długo jako nikomu niepotrzebny. Wreszcie celnicy zdecydowali się zerwać plomby i zobaczyli trumnę króla Stasia. Otwarto wieko i znaleziono w niej nie tylko szczątki króla, ale i jego złotą koronę, berło i resztki purpurowego płaszcza. Po długich i tajnych debatach władze II Rzeczypospolitej ustaliły, że król Staś nie może leżeć na Wawelu, bo był



„zdrajcą”. W dwa dni później, nie wiadomo z czyjego polecenia, trumnę ze szczątkami króla przewieziono do miejsca jego urodzenia, do kościoła w Wołczynie, maleńkiej miejscowości leżącej w pobliżu Bugu, niezbyt daleko od Brześcia. Uczyniono to w wielkiej tajemnicy, nocą, jak się to mówi „przy drzwiach zamkniętych”, nie dopuszczając dziennikarzy czy ciekawskich. Polska Agencja Telegraficzna ograniczyła się 29 lipca 1938 roku do krótkiej wzmianki o przekazaniu zwłok króla Stasia do Polski. Zwłoki króla, korona, berło i resztki purpurowego płaszcza znajdowały się już w krypcie kościoła w Wołczynie.

– Chyba król Staś nie zasłużył jednak na takie potraktowanie...

– Gdy zwróciłem się do Ministerstwa Kultury i Sztuki, była jeszcze szansa na odnalezienie krypty i szczątków króla. Niestety, ów kościół zamieniono wkrótce na magazyn miejscowego kołchozu, a przedtem dokładnie obrabowano.

– I co było dalej?

– Władze III Rzeczypospolitej postanowiły wskrzesić obchody trzeciomajowe, czyli rocznicę uchwalenia Konstytucji 3 maja 1791 roku. Król Staś brał czynny udział w tych pracach. Zaczęto więc przypominać to i podnosić jego wielkie zasługi dla kultury polskiej. Następnie zdecydowano przenieść trumnę króla Stasia na Wawel albo w jakieś inne godne miejsce. Zaproponowałem swoje usługi w odnalezieniu trumny królewskiej. Nie zgodzono się na to i znowu kilku panów w wielkiej tajemnicy wyruszyło do Wołczyna, gdzie zobaczyli obrabowany kościół z pustymi kryptami. Odkryli jakieś szczątki, rzekomo królewskie, ale oczywiście nie natrafili na ślad korony czy berła. W triumfie przywieźli owe rzekome resztki króla do Polski, a ja po ich obejrzeniu stwierdziłem, że z osobą króla Stasia nie miały one nic wspólnego.

Urwałem. Powoli zapadał zmrok, była więc najwyższa pora, żeby Zosia i Jacek wraz z dziurawym młodzieńcem zaczęli myśleć o powrocie do hotelu. Dlatego po zjedzeniu kolacji z Joanną pilnie patrzyłem na drzwi dyskoteki znajdującej się po drugiej stronie ulicy.

I wreszcie zobaczyłem Zosię. Opuszczała dyskotekę z jakimś młodym, eleganckim mężczyzną. Zajechał szary mercedes i obydwójce wsiedli do niego.

„Gdzie jest Jacek? Gdzie jest dziurawy młodzieniec? Dokąd odjeżdża Zosia?” – przemknęło mi przez głowę.

Rzuciłem na stół zwitek pieniędzy za kolację i rozkazałem Joannie:

– Masz samochód przed restauracją. Jedziemy w ślad za tym mercedesem, który właśnie odjeżdża sprzed dyskoteki!

Ruszyliśmy, nie spuszczać z oka mercedesa.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

**POŚCIG ZA MERCEDESEM • W POLICYJNEJ PUŁAPCE • PODEJRZENIA  
I PRZESŁUCHANIA • ŁATWOWIERNOŚĆ ZOSI • ODZYWA SIĘ  
WALDEMAR BATURA • A WIĘC CHODZI TYLKO O OKUP! •  
WYBAWIENIE Z OPRESJI • NIEOFICJALNE BŁOGOSŁAWIENSTWO  
MARCZAKA**

– Nie bardzo pojmuję, czemu się tak niepokoisz o tę swoją Zosię – powiedziała Joanna. – To przecież już duża dziewczyna! Może tylko dla zabawy chce przejechać się mercedesem? Niektórzy chłopcy lubią dziewczynom zaimponować samochodami, które im kupili rodzice i biorą dziewczyny na krótkie przejażdżki.

– Chłopak, który zabrał na dyskotekę moich podopiecznych, przyjechał BMW. I miał ich odwieźć właśnie o tej porze – spojrzałem na zegarek. – Dlatego, bardzo proszę, przyciśnij na gaz! Zresztą ten w mercedesie to nie żaden młodzik, a dojrzały mężczyzna!

Pożałowałem, że nie siedzę w swoim wehikule. Joanna jechała niezwykle ostrożnie i bardzo wolno. Tył mercedesa był ledwo widoczny w oddali, tym bardziej że samochód raz po raz skręcał w różne uliczki, zanim wreszcie wydostał się na Chopina, a później skręcił w Grunwaldzką.

– Błagam! Szybciej! – prosiłem Joannę.

Niestety, nie miałem szczęścia. Mercedes dojechał Grunwaldzką aż do wejścia na molo, przemknął przez przejście dla pieszych na zielonych światłach, nam zaś zapaliło się najpierw żółte, a potem czerwone. Staliśmy bezradnie tuż przy białych pasach, a on mknął dalej ulicą Powstańców Warszawy, naprzeciw „Grand Hotelu”. Gdy wreszcie mieliśmy wolny przejazd, jego tylne czerwone światła stopu raptem rozbłysły tuż przy skřęćie z Powstańców Warszawy w Jakuba Goyki. Stąd można było dostać się na Aleję Niepodległości i zawrócić do miejsca, gdzie odbywała się dyskoteka i gdzie na Zosię czekał Jacek. Przez sekundę pomyślałem, że Joanna ma rację: jakiś facet poznany na dyskotece zaproponował Zosi przejażdżkę swoim wspaniałym samochodem, a ja niepotrzebnie wszcząłem alarm. Jednak wzdłuż Parku

Północnego w perspektywie Powstańców Warszawy zauważyłem, że mercedes z Zosią stanął obok otoczonego drzewami małego parkingu. Gdy zbliżyliśmy się do tego miejsca, oświetliliśmy je długimi światłami reflektorów. Zobaczyłem, że Zosia wysiada z mercedesa i zbliża się do dużego żółtego pojemnika na śmieci. Zaświeciła latarkę i zajrzała w jego lewy róg. W ręku miała jakąś niedużą paczkę; włożyła ją w lewy róg śmietnika, a potem świecąc sobie latarką zaczęła czegoś szukać w śmieciach.

Raptem w wyasfaltowanych alejkach parku zabłysły światła samochodów. Mężczyzna w mercedesie nacisnął na gaz i ruszył tak szybko, że aż zapiszczały opony jego wozu. Zza drzew wybiegło kilku funkcjonariuszy policji i z alejek wyjechały trzy policyjne samochody.

– Stój, stój, policja! – rozległy się okrzyki.

Zosia stała jak sparaliżowana, nic z tego wszystkiego nie rozumiejąc. Wykorzystali to policjanci; ręce Zosi skuli kajdankami, dwa wozy policyjne ruszyły szybko w ślad za mercedesem, który zdążył już uciec daleko. A potem policjanci zaczęli grzebać w żółtym pojemniku na śmieci i wyjęli z niego jakieś dwie paczki.

Joanna zatrzymała wóz tuż przy małym parkingu. Wyskoczyłem z samochodu i pobiegłem Zosi na pomoc.

– Panowie! Panowie, co wy robicie? To moja siostrzenica!

Nim otrzymałem jakąkolwiek odpowiedź, także miałem ręce skute i zostałem dość brutalnie wepchnięty na tylne siedzenie radiowozu. Dwaj policjanci podbiegli także do wozu Joanny, kazali jej się przesiąść na tylne siedzenie. Jeden zasiadł za kierownicą jej audi i po krótkiej chwili ruszyli do Komendy Wojewódzkiej w Alei Niepodległości.

Starłem się dowiedzieć, co się takiego stało na małym parkingu, czemu zostaliśmy skuci kajdankami i jedziemy do Komendy Wojewódzkiej, ale moje pytania zbywano słowami: „Wszystkiego się pan dowie w odpowiednim miejscu i w odpowiednim czasie”.

– Wy nie wiecie, kim ja jestem? – wołałem rozgniewany. – Pracuję w Ministerstwie Kultury i Sztuki jako detektyw, człowiek do specjalnych poruczeń. A ta dziewczynka to moja siostrzenica.

Dwaj policjanci, między którymi mnie posadzono, odpowiadali kpiąco:

– Ładny z pana detektyw. Pan nie pracuje w Ministerstwie Kultury i Sztuki, ale jest poszukiwanym przez nas Kolekcjonerem. Nareszcie pana złapaliśmy. I to na gorącym uczynku!

To powiedziawszy jeden z policjantów rozwinął paczkę, którą Zosia wyjęła z pojemnika na śmieci i oczom moim ukazała się przepiękna połówka korony: złota, błyszcząca drogimi kamieniami.

Wyznaję, że tak mnie ten widok zdumiał, że na długi czas zaniemówiłem. Bo tak naprawdę, co miałem powiedzieć?

– Czy to korona z Janisławic? – zapytałem, gdy już odzyskałem głos.

– Nie, proszę szanownego pana. To korona z obrazu Madonny w Borkach Kościelnych koło Lublina. Mamy nadzieję, że odzyskamy także i tę z Janisławic. Jak słyhać, zna się pan na rzeczy i aresztowanie pana to nasz duży sukces.

Wiedziałem, że prędzej czy później zdołam się wytłumaczyć i cała sprawa zostanie wyjaśniona. Martwiłem się tylko o Jacka pozostawionego w dyskotecie. Co on będzie przeżywał, gdy nie doczeka się powrotu Zosi, a po przyjeździe do hotelu nie zastanie ani mnie, ani jej?

– Panowie – powiedziałem błagalnie – w dyskotecie „Mewa” przebywa mój siostrzeniec – podałem im jego imię i nazwisko. – Muszę go poinformować o moim i Zosi aresztowaniu.

– A więc jest i trzeci współnik – burknął jeden z policjantów.

Następnie wziął do ręki słuchawkę radiotelefonu i polecił komuś, aby natychmiast udał się do dyskoteki w kawiarni „Mewa” i ustalił, czy jest tam chłopak o imieniu Jacek i wymienionym przeze mnie nazwisku. Kazał go aresztować i przywieźć na Komendę!

– Panowie się mylą – tłumaczyłem policjantom. – Ani moja siostrzenica, ani siostrzeniec, ani ja, ani wreszcie pani Joanna, którą mnie podwiozła na parking, nie mamy nic wspólnego z tą koroną. Szukajcie szarego mercedesa, który prawdopodobnie należy do Kolekcjonera.

– Zgadza się. On przywiózł tę dziewczynę, kazał jej włożyć koronę do pojemnika na śmieci i wyjąć stamtąd forszę. A wy mieliście tę pannę i łup zabrać ze sobą. Ten w mercedesie i wy jesteście współnikami. Zresztą i tak mówimy wam za dużo. Poczekajmy do przesłuchania w Komendzie!

Nic się nie odezwałem. Dalszą dyskusję uznałem za bezcelową. Policjanci po prostu wykonywali swoje zadanie. Na parkingu zastawili pułapkę na Kolekcjonera. I oto, w ich wyobrażeniu, wieźli go teraz w kajdankach. Ba, odzyskali koronę z kościoła w Borkach Kościelnych. Musiała więc ich rozpierać duma z dobrze spełnionego obowiązku.

Tak byli z siebie zadowoleni, że nie wsadzono nas do cel, tylko po zabraniu mego dowodu osobistego i przeszukania kieszeni, każdego z nas – bo i Jacka już dowieziono – zaprowadzono do osobnych pokoi, gdzie czekali już na nas śledczy. Co do mnie, znalazłem się przed biurkiem oficera wyższej rangi, zdaje się nadinspektora. Obok niego, przy małym stoliku, siedział młodzik w mundurze i skrzętnie wystukiwał na elektrycznej maszynie każde moje słowo.

Zanotowano więc imię, nazwisko, zawód – tu nadinspektor zaśmiał się ironicznie – adres domowy i adres, pod którym zatrzymałem się w Sopocie. Dość długo więc trwało, zanim mogłem mówić na temat straszliwego dla mej siostrzenicy nieporozumienia, przez które tu trafiliśmy.

– To ja poszukuję Kolekcjonera i skradzionych koron! Nie jestem żadnym Kolekcjonerem! – prawie krzyczałem. – Zastawiliście pułapkę, jak zwykle, nieudolnie!

– No, no! – skarcił mnie nadinspektor. – Tylko bez krzyków! Już my wiemy, co z pana za ptaszek!

Udając, że go nie słyszę powiedziałem:

– Pozwólcie mi przynajmniej obejrzeć tę koronę. Znam się na tym, a w paczce może był tylko falsyfikat!

– A ja sądzę, że ciekawszą dla pana paczką byłaby ta druga – zakpił nadinspektor. – Bo przecież pana nie interesują żadne tam świętości, tylko forsa! Szmal. Jasne?

– Nie bardzo...

– Kazał pan złożyć okup w lewym rogu pojemnika na śmieci. Przygotowaliśmy więc odpowiednią paczuszkę: kilka banknotów na wierzch, a pod spód papierki. Proboszcz parafii w Borkach był bowiem na tyle rozsądny, że powiadomił nas o pana żądaniu okupu za ukradzioną koronę. A pan w swym zadufaniu nie wziął tego pod uwagę i dlatego teraz tu siedzi – ku mojej, przyznam się, radości. Sądzę też, że odetchną i proboszczowie, i wierni w innych sanktuariach w kraju.

– Aha! Okup!... To tak miało wyglądać... – pomyślałem głośno.

– Niech pan nie udaje nic nie wiedzącego! Czasem trzeba przyznać się do błędu, skoro jego dowody, że tak powiem, leżą na stole – uśmiechnął się zjadliwie przesłuchujący.

Ze złości zacisnąłem dłonie w pięści. Ten Kolekcjoner okazał się o wiele sprytniejszy ode mnie! Po prostu wodził mnie za nos, wykorzystując przy tym naiwność moich podopiecznych. I to od chwili mojego przybycia do Sopotu! To chyba Joanna nadała mu pierwszy cynk o mnie, potem Anita, no i wysłał dziobatego, a Zosia... „I ty, Tomaszu...” – raptem wtrącił się mój duszek, czym do reszty zepsuł mi humor.

Tymczasem śledczy przyglądał mi się uważnie:

– Przyznam, że nie spodziewałem się, że tak wygląda sławny Kolekcjoner...

– A kogo się pan spodziewał? Arnolda Schwarzeneggera? Rogera Moore'a?

– No nie. Ale człowiek, który wymykał się nam z tyłu zasadzek musi być kimś nieprzeciętnym! A tymczasem... Widzę raczej księgowego czy inkasenta!

– Dziękuję za komplement – skłoniłem się.

– Liczba kościołów, które ostatnio obrabowano na pańskie, hm, życzenie, wzrosła do czterech... Jakie miał pan dalsze plany?

– Zamierzałem schwytać Kolekcjonera – odpowiedziałem ponuro. – Tam leży moja legitymacja, gdzie czarno na białym wypisano, że jestem pracownikiem Ministerstwa Kultury i Sztuki.

– Legitymacja? Falszywka. A co do dalszych pana planów, to tak się składa, że wiemy, gdzie to miał pan zamiar dokonać skoków. O, przepraszam, nie pan osobiście, a pańscy najemnicy!

To mówiąc rozłożył przede mną kartkę pozostawioną mi w hotelu przez dziobatego, a znaną teraz w moim portfelu przez policję.

– To nie ja pisałem! Łatwo sprawdzicie.

– Nie upieram się, że pan to pisał, ale że ta karteczka spoczywała w pańskim portfelu. A teraz jest poważnym dowodem na to, że mam przyjemność rozmawiać z Kolekcjonerem!

– Jeśli będziecie opierać się na takich dowodach, to Kolekcjonera czekają długie i szczęśliwe lata na wolności – odgryzłem się. – To kartka dziobatego, który zostawił mi na niej numer swojego telefonu, gdy przyszedł zabrać moich podopiecznych na dyskotekę. Sprawdziliście ten numer?

– A jakże! – zachichotał nadinspektor. – Mieści się tam zakład pogrzebowy.

– No to, chociaż już późna noc, może sprawdzicie i ten numer – podałem im numer domowy Jana Marcza i wyjaśniłem, kto to taki.

Śledczy wyszedł z pokoju i nie było go długo. Ale – widocznie sprawdzana policyjnymi kanałami – moja informacja dotarła, gdzie trzeba, bo gdy tylko wrócił, zadzwonił telefon na biurku i śledczy podał mi słuchawkę bez słowa, a z ponurą miną, która mnie ucieszyła.

– Panie Tomaszu, w co się pan wpakował!? – usłyszałem głos Marcza. – Przecież prosiłem, by dał pan temu wszystkiemu spokój. Mówiłem, że policja jest już na tropie Kolekcjonera. A pan, nie dość, że nic nie wykrył, to jeszcze popsuł im robotę. No trudno, co się stało, to się nie odstanie. Wsiadłem w samochód i jadę do pana. Boże mój! – westchnął Marczak – dlaczego akurat mój podwładny chce zostać najlepszym detektywem na świecie?...

Po rozmowie z Marczałem zaczęto mnie traktować nieco uprzejmiej. Zwrócono mi dowód osobisty, portfel i inne drobiazgi. Poczestowano nawet szklanką czarnej kawy i bułką z kiełbasą. Wreszcie zaprowadzono do dużego pokoju, gdzie za biurkiem siedział jakiś dygnitarz policyjny po cywilnemu i spotkałem tam Zosię, a także Jacka. Cała dwójka wyglądała na zmęczoną czy też zmaltretowaną psychicznie.

– Zosiu, na Boga, co ty narobiłaś? – zawołałem do swojej siostrzenicy. – Opowiedz mi wszystko dokładnie, bo ja nic z tego nie rozumiem! Cieszę się tylko, że odzyskano koronę z kościoła w Borkach.

– I to właśnie ja się do tego przyczyniłam! – z dumą odparła Zosia.

– Bezwiednie, proszę panienki. Zupełnie bezwiednie i nieświadomie – skarcił ją mężczyzna po cywilnemu. – Być może to przez panienkę nie udała się nam zasadzka na prawdziwego złodzieja.

Do sali weszło jeszcze kilku mundurowych i jedna pani. Zaczęli wypytywać Zosię i po jej wyjaśnieniach zrozumiałem, co się wydarzyło.

Dziurawy – jak go nazywałem – który Zosię i Jacka poznał na przystani i zaprosił na dyskotekę w kawiarni „Mewa”, bardzo długo tańczył z Zosią, a Jacek poznał jakąś ładną rudą dziewczynę i też się świetnie bawił. W pewnej chwili do tańczącej Zosi i Dziurawego podszedł jakiś znajomy młodzieńca, pan w moim wieku z wąsami i czarną bujną czupryną.

– Te wąsy były na pewno przyklejone, a na głowie miał czarną perukę – dodała Zosia.

– To się okaże – burknął pan w cywilu.

Ten z wąsami i gęstą czupryną poprosił Dziurawego i Zosię do małego stolika na zapleczu dyskoteki, poczęstował ich coca-colą i powiedział, że ma córkę, Mariolę, w wieku Zosi. Niestety, rozwiódł się przed kilkoma laty, a że żona była adwokatem, tak to jakoś załatwiła w sądzie, że jemu nie wolno spotykać się z córką. Ale ponieważ córka bardzo go kocha i chce z nim utrzymywać kontakt, a on jest wystarczająco zamożny, aby jej sprawiać rozmaite prezenty, obydwójce z córką umówili się, że będą sobie zostawiać rozmaite podarunki w pojemniku na śmieci na parkingu koło zakrętu ulicy Powstańców Warszawy.

– Moja była żona nie pozwala mi nawet dawać jej bezpośrednio lub przysłać do domu żadnych prezentów. Natychmiast odsyła je na mój adres. Tak więc ów pojemnik na śmieci to jedyna skrzynka kontaktowa z córką – tak powiedział do Zosi.

– Bardzo sprytne. Niezwykle sprytne – ironicznie pokiwał głową pan za biurkiem.

Zosia wzruszyła się historią nieszczęśliwej dziewczyny i jej ojca. Dlatego, gdy zaproponował jej, aby małą paczkę z prezentami dla córki włożyła do pojemnika na parking, dziewczyna natychmiast się zgodziła. Zaprosił ją do swojego szarego mercedesa, który stał nieopodal dyskoteki. Mieli tylko na kilkanaście minut skoczyć na parking i wrzucić do pojemnika paczuszkę z prezentem dla córki.

– Ona to odbierze jeszcze tej nocy, tylko musi się wymknąć z domu, bo matka ją dobrze pilnuje – powiedział ów mężczyzna i na oczach Zosi zawinął niezwykle drogie ciuchy i wykwinął bieliznę w szary papier i obwiązał sznurkiem.

– Myślę, że tę paczkę zamienił na inną, podobną, ale ja nie zwróciłam na to uwagi – wyjaśniła Zosia. – On obiecał, że za tą drobną przysługę ofiaruje mi oryginalne levi-strausy.

Przerwał jej pan za biurkiem:

– A czy nie przyszło pani na myśl, że ów pan mógł zanieść osobiście prezent dla córki w umówione miejsce?

– Zapytałam go o to! Wyjaśnił, że jego żona ma wszędzie swoich ludzi, którzy najprawdopodobniej wiedzą, gdzie jest umówiony schowek i może nawet wieczorami penetrują okolice tego małego parkingu.

– I cóż ci jeszcze, dziecko, wyjaśnił ów tajemniczy jegomość? – zapytał cywil.

Tym razem Zosia nie obraziła się za nazwanie jej dzieckiem:

– Powiedział, że jutro są jego imieniny i gdy włożę paczkę, którą mi dał do pojemnika na śmieci, to być może w lewym rogu znajdę paczkę od jego córki dla niego. I tak chciałam zrobić, ale przeszkodziła mi policja...

– A w czym to przeszkodziła? W wysługiwaniu się przestępcy? – mruknął jeden z mundurowych.

Cywil uderzył ręką w biurko:

– No i nadal mamy Kolekcjonera na wolności! Dobrze, że chociaż ta korona wpadła nam w ręce...

– Następnym razem już go dorwiemy! – zacisnął pięść jeden z policjantów.

Ten zza biurka wzruszył ramionami:

– Ten cwaniak znów posłuży się kimś podstawionym i nie wiedzącym, co jest grane!

– A szukaliście chociaż tego dziobatego w „Mewie”, kiedy z taką ochotą zwijaliście mego siostrzeńca? – spytałem. – To przecież on wplątał Zosię i Jacka w tą sprawę, co – przyznaję – nie było trudne. A potem zapoznał naiwną dziewczynę z tym miłującym córkę tatusiem, w którym wy, raczej zbyt pochopnie, dopatrujecie się Kolekcjonera. Od kiedy to szefowie gangów jadą na wymianę fantów?

Jeden z funkcjonariuszy lekceważąco machnął ręką, ale coś mi się wydało, że wstydzi się za tę akcję przy śmietniku.

– Dziobatych jest wielu – mruknął. – Trzeba by portret pamięciowy...

– Jeździł granatowym BMW.

– Przecież nie jest do niego przywiązany – odciął się drugi. – Beemek jest w Trójmieście wiele. A pan, panie detektywie, nawet nie raczył zejść z dziobatym i podopiecznymi na dół, aby zapamiętać czy spisać numery wozu. Nie ma co, dobry z pana opiekun!

– A panowie raptem wierzą, że numery były autentyczne?

Zamilkli. To był punkt dla mnie!

Wreszcie jeden się odezwał:

– Pani Złotnicka ma antykwariat, a pan, drogi panie, zajmuje się antykami, prawda?

I dorzucił, jakby od rzeczy:

– A Kolekcjoner jest podobno w pana wieku i niezwykle przystojny...

Innymi słowy dawał do zrozumienia, że rola Joanny w tej sprawie nie jest tak zupełnie jasna i nie ogranicza się do śledzenia szarego mercedesa na moją prośbę. Ta niejasność mąciła i moje myśli! Ale że we mnie wciąż jeszcze dopatrywano się Kolekcjonera?! Chociaż muszę przyznać, że wzmianka o tym, że jestem niezwykle przystojny, była bardzo miła.

– A gdzie jest pani Joanna? – spytałem niespokojny.

– W domu. Spisaliśmy tylko jej zeznania. Przecież zajechała pod śmietnik na pana polecenie, prawda?

– Prawda. A mercedes?

– Dwie przecznice dalej stał pusty. Dziś po południu skradziono go w Gdyni...

Do salki, w której przebywaliśmy wraz z policjantami oraz Zosią i Jackiem, nagle wkroczył jakiś mundurowy i położył na biurku kopertę.

– Ktoś, jakiś młody chłopak, przyszedł przed chwilą do dyżurnego i kazał ten list doręczyć aresztantowi. Temu starszemu.

To mówiąc wskazał na mnie palcem.

– To nie jest aresztant, ale osobnik zatrzymany – skarcił go cywil.

Nadinspektor rzucił się na ów list jak sęp na ciało ofiary, otworzył go i aż poczerwieniał ze złości:

– To są przecież jakieś bezgroły! – zawołał.



Cywil odebrał mu list, obejrzał, potem kolejno oglądali go wszyscy policjanci w salce. Ja także wyciągnąłem rękę, ale omal nie dostałem po łapach od jednego z mundurowych.

– To przecież list do mnie – zauważyłem.

– Owszem. Ale w tym stanie śledztwa ktoś może się z panem porozumiewać. Może nie jest pan taki niewinny, jak to pan twierdzi. Nie ulega wątpliwości, że ktoś z miasta przekazał panu jakąś wiadomość. Czy domyśla się pan, kto to taki?

– Nie.

Cywil jeszcze raz dokładnie obejrzał list, aby znowu stwierdzić:

– To są jakieś bazgroły. Równie dobrze jednak może to być wasz tajny szyfr, który nasi specjaliści odczytają.

– Czy mógłbym choćby z daleka zerknąć na ów list? – zapytałem. – Bardzo pana proszę.

Cywil zawahał się, uległ jednak mojej prośbie i z pewnej odległości pokazał mi kartkę, która była w przesłanej mi kopercie.

– O Boże! – mruknąłem. – Przecież ten list został napisany pismem runicznym. Proszę mi go dać, a ja go głośno odczytam.

Cywil szybko zabrał list.

– Nasi specjaliści zrobią to za pana. Pan sobie nie wyobraża, jakich wspaniałych specjalistów zatrudniamy. Od różnych spraw: grafologii, analizy Unii papilarnych, medycyny sądowej... Dla nich ten list to fraszka.

Wzruszyłem ramionami.

– Bardzo wątpię. Chyba w Warszawie albo w Krakowie zdołają wam przekazać treść listu. To są runy.

– A co to są runy? – zapytał nadinspektor.

Znowu wzruszyłem ramionami:

– To bardzo stare pismo Wikingów i w ogóle mieszkańców dawnej Północy.

– A więc ten list pisał ktoś dobrze obeznany z takimi sprawami. Nasi specjaliści...

Po raz trzeci wzruszyłem ramionami:

– Poszukiwanie specjalistów zajmie wam dużo czasu, a list można przeczytać od razu. Proszę sobie uświadomić, że istnieją aż cztery średniowieczne alfabety runiczne: dwa alfabety z Dalekarlii, alfabet ze Skanii i alfabet z kamienia runicznego z Kensingtonu.

– Zaczyna się pan wymądrzać – stwierdził cywil.

Po raz czwarty wzruszyłem ramionami.

– Coś mi się zdaje, że już wiem, kim jest tajemniczy i nieuchwytny Kolekcjoner – oświadczyłem. – To niemal genialny facet, niezwykle wykształcony i niezwykle sprytny. Był ze mną na jednym roku i niekiedy zabawialiśmy się, pisząc do siebie kartki pismem runicznym. Najczęściej posługiwaliśmy się pierwszym alfabetem z Dalekarlii.

– Kto to taki? – niemal wrzasnął na mnie nadinspektor. – Proszę podać jego dane personalne: imię, nazwisko, adres.

Piąty raz wzruszyłem ramionami:

– Chętnie to uczynię, lecz najpierw proszę mi pokazać ten list i dać go do przeczytania. Mogę to zrobić głośno, aby nikt nie sądził, że coś ukrywam.

Opuścili salkę, aby się naradzić. Oczywiście list zabrali ze sobą.

Wkrótce wrócili i cywil podał mi list, zaznaczając:

– Proszę czytać wolno, aby żadnego słowa nie ukrył pan przed nami. Zresztą my i tak później ten list sprawdzimy u naszych fachowców.

List wyglądał jak kupa bezgrołów. Ja jednak dobrze wiedziałem, co one oznaczają.

Przeczytałem:

*Tomaszu!*

*Od pierwszej chwili, gdy przybyłeś do Trójmiasta, wiedziałem o Tobie i znałem każdy Twój krok. Radzę Ci wycofać się ze sprawy koron, ponieważ nie mam zamiaru ich zniszczyć. Kocham sztukę tak jak Ty. Po prostu potrzebuję pieniędzy, a za zwrot koron chcę okupu, który ofiarują mi parafianie. Specjalnie wrobiłem w tę sprawę Twoją siostrzenicę, aby dać Ci nauczkę na przyszłość. Wprawdzie straciłem jedną koronę, ale mam jeszcze dwie, a wkrótce będę miał kilka innych. Powiedz policji, że jeśli mi utrudni odbieranie okupu, to nigdy koron nie oddam.*

*Twój przyjaciel Waldek B.*

– On zna pana imię! – ktoś zawołał.

– Tak. I nie tylko. Zna mnie osobiście. Wątpię, czy bez mojej pomocy zdołacie schwytać tego człowieka – oświadczyłem.

– Dlaczego? – zapytał nadinspektor.

– To niemal geniusz w sprawach związanych z kradzieżami dzieł sztuki. Odznacza się niezwykłym sprytem i nieprzeciętną inteligencją. Studiowałem z nim historię sztuki, przyjaźniliśmy się i wspólnie udało się nam rozwiązać kilka zagadkowych spraw, na przykład fałszerstw obrazów. Później jednak nie chciał za niewysokie wynagrodzenie pracować w prowincjonalnych muzeach, tak jak ja. Pragnął być bogaty, mieć piękne samochody i kobiety. Nasze drogi nie tylko rozeszły się, ale kilka razy – jak to się mówi – „skrzyżowaliśmy szpady” i miał przeze mnie kłopoty. Dziwię się, że od razu nie przyszło mi do głowy, że w tej sprawie kradzieży koron to właśnie on maczał palce. Byłbym spokojniejszy o los tych koron. On ich nie zniszczy, tylko weźmie za nie okup.

– Już wziął trzydzieści tysięcy złotych – mruknął cywil – od rady parafialnej w Ludwikowie na Zamojszczyźnie, skąd skradł bezcenny koronowany obraz. Wysłał list z żądaniem okupu, ostrzegając parafian i proboszcza, że jeśli zawiadomią o tym policję, on zniszczy dzieło. A że ten kościół jest odwiedzany przez licznych pielgrzymów, parafianie –

nawet bez zgody proboszcza – zebrali tę sumę i dali mu ją w zamian za koronę i obraz. Zamiana pieniędzy na łup nastąpiła w jakiejś uliczce w Zamościu, a dopiero potem zawiadomiono nas o tym fakcie. Podobnie stało się w Borkach Kościelnych. Zażądał okupu za koronę, ale tym razem proboszcz nas o tym zawiadomił, mimo że parafianie zebrali żadaną sumę. Kazał im włożyć paczkę z pieniędzmi w lewy róg pojemnika na śmieci na parkingu w Sopocie, a w prawym pozostawił koronę. Zastawiliśmy pułapkę i niestety, zamiast niego, schwytaliśmy pańską siostrzenicę i pana.

– Domyślił się, że zastawiliście pułapkę – powiedziałem. – Pozostawił w pojemniku koronę i tak to wszystko zorganizował, żeby mnie ośmieszyć, postawić w głupiej sytuacji. To osobnik z dużą fantazją i poczuciem humoru. Poświęcił dla żartu jedną koronę, lecz przecież ma jeszcze dwie i diadem z Janisławic. Nie wykluczone, że dokona włamania do innych kościołów i tym razem już na serio odbierze okup.

– Właśnie rada parafialna w Janisławicach otrzymała w tych dniach list, w którym złodziej oferuje zwrot diadem z figury Madonny za pięćdziesiąt tysięcy złotych. Rada parafialna już przystąpiła do zbierania pieniędzy na okup, ale na szczęście proboszcz zawiadomił nas o tym.

– Dzięki mnie i mojej siostrzenicy odzyskaliście koronę – rzekłem.

– A na czym polegała pańska zasługa? – zakpił któryś z mundurowych.

Odpowiedziałem:

– Odzyskaliście ją tylko dlatego, że złodziej gotów był stracić koronę za cenę zakpienia sobie ze mnie. Taki właśnie on jest!

– Niby kto?

– Nazywa się Waldemar Batura. Ale od czasu naszej przyjaźni tyle razy zmieniał nazwisko, że z całą pewnością teraz używa innego. Jedno wiemy: ma ksywę Kolekcjoner i działa z Sopotu. Choć przyznam się, że nie bardzo rozumiem, skąd u niego chęć do współpracy z bandytami i cinkciarzami. Ale widocznie ludzie się zmieniają...

Nadinspektor wzruszył ramionami:

– Roześlemy w tej sprawie informację do wszystkich komend i posterunków w kraju, ale przecież nie stać nas na to, aby przy każdym kościele postawić policjanta w dzień i w nocy!

I tak to sobie rozmawialiśmy aż do rana, gdy wreszcie przyjechał Marczak. Na mój widok załamał ręce:

– A tak pana prosiłem, żeby pan dał spokój sprawie skradzionych koron.

– Nie powiedział mi pan jednak, że złodzieje żądają okupu. Nie wiedziałem, w czym rzecz i dlatego działałem dalej. Choć prawdę mówiąc wcale nie działałem. To Batura wciągnął mnie w pułapkę.

– Batura? Waldemar Batura? – przeraził się Marczak. – Jeśli to on, sprawa może się okazać znacznie trudniejsza do rozwikłania, niż to się nam z początku wydawało. Panowie –

zwrócił się do policjantów – niestety, nie widzę możliwości schwytania Batury bez udziału pana Tomasza!

– To niemożliwe – stwierdził nadinspektor. – Nie współpracujemy z prywatnymi detektywami.

– On nie jest prywatnym detektywem. To pracownik Ministerstwa Kultury i Sztuki – oburzył się Marczak. – Jeśli nie chcecie mu pomóc, to przynajmniej mu nie przeszkadzajcie!

– Jak na razie to on nam przeszkadza. Na parkingu zastawiliśmy pułapkę na tego Baturę. I pański człowiek nam przeszkodził, bo się tam właśnie przyplątał; zresztą większa w tym wina jego siostrzenicy.

Marczak machnął ręką:

– Gdyby on się tam nie zjawił, to również i Batury nie złapalibyście. On chciał zrobić dobry kawał. Ani myślał pojawić się po okup. Zapewne domyślał się, że i tak zamiast pieniędzy podłożyliście skrawki papieru.

Wszyscy już byli bardzo zmęczeni wieczornymi przeżyciami i nocnymi rozmowami. Policjanci wypuścili nas i służbową lanią Marczaka natychmiast pojechaliśmy do naszego hotelu. Tam Marczak wynajął pokój, aby odpocząć po podróży. My również położyliśmy się spać.

Zasypiając mruknałem do Zosi:

– Mam nadzieję, że przekonałaś się, jaka to z ciebie mądrała. Masz tak przewrócone w głowie na temat swej urody, że każdy wyprowadzi cię w pole, byle ci tylko trochę schlebił.

Nic się nie odezwała.

Spaliśmy aż do południa.

Marczak musiał niestety wracać do Warszawy. Przed odjazdem zafundował nam jednak dobry obiad w eleganckiej restauracji. Żegnając mnie oświadczył:

– Oficjalnie zakazuję panu dalszego śledztwa, panie Tomaszu. Nieoficjalnie zaś uważam, że tylko pan zdoła schwycić Waldemara Baturę, z którym to kilka razy mieliśmy przyjemność powalczyć.

Po rozstaniu z nim Jacek rzekł:

– No, no, no. I kto by pomyślał, że z wujka jest prawdziwy detektyw, a nie muzealny urzędas.

– A ja będę już posłuszna i bardzo ostrożna – zapewniła mnie Zosia. – Ostrzegam jednak wujka przed panią Joanną. Ona tylko udaje, że jest w wujku zakochana.

– Myślę, że nawet nie udaje. Po prostu lubi przebywać w moim towarzystwie.

– I podoba się wujkowi?

– Tak.

– I ta Anita też się podoba?

– Tak.

– W takim razie ten Batura znowu nas wykiwa – westchnęła Zosia. – Jacek, chodźmy na plażę, dopóki jest piękna pogoda. A wujek niech sobie robi, co chce...

Właśnie o to mi chodziło. Żebym mógł nareszcie robić to, co chcę.

I gdy tylko rozstałem się ze swoimi podopiecznymi, natychmiast pojechałem kolejką do Wrzeszcza, do antykwariatu Joanny.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

**BOGACTWO JOANNY • BENIEK GROZI • CZY BATURA TO  
KOLEKCJONER • MARCZAK ZAMYKA ŚLEDZTWO • TAJEMNICA  
BUDUARU • GDZIE MEDYKUSY REPERUJĄ SERCA • BATURA DAJE  
CYNK • ŚLEDZĘ CZARNEGO JAGUARA • HONDA I SPRĘŻYNOWIEC •  
ZAGADKOWY WŁAŚCICIEL BENTLEYA**

W antykwariacie należącym do Joanny jak zwykle nie było amatorów starych mebli. Na mój dzwonek przy drzwiach wyszła matka Joanny, pani Mroczkowska. Obrzuciła mnie niechętnym spojrzeniem:

– Ach, to znowu pan?

– Tak, to ja – skinąłem głową. – Chciałbym porozmawiać z Joanną.

– To niemożliwe. Nie podobało mi się, że spotyka się z panem, ale pomyślałam, że po rozwodzie biedaczka może w ten sposób szuka nowego męża. Przydałby się nam zresztą człowiek, który potrafi rozróżniać falsyfikaty od autentyków i wyceniać zabytkowe meble. Niestety po tym, co się stało minionej nocy, kazałam jej zerwać z panem. Jak można było wciągać moją córkę w takie brudne sprawy? Biedaczka została zatrzymana przez policję i kilka godzin przesiedziała w areszcie. Puścili ją, lecz do tej pory odsypia minioną noc i przeżywa straszne wrażenia z aresztowania.

– Nie trzymali jej długo – powiedziałem. – Myślę więc, że nie śpi i chętnie ze mną porozmawia.

– Wątpię. Jest zmęczona nocnymi wrażeniami.

– Niestety, muszę z nią porozmawiać – podniosłem głos. – A co do pani córki, to owszem, bardzo mi się podoba. Nie jestem jednak pewny, czy nadaje się na męża.

Właśnie wtedy gdzieś z góry usłyszeliśmy głos Joanny.

– Mamo, niech mama wpuści do mnie Tomasza. Nie jestem aż tak zmęczona, aby z nim nie rozmawiać.

Pani Hanna skinęła głową:

– No dobrze, niech pan idzie na górę. Tylko proszę córki nie zadrećcać!

Nie wiem, na czym miało polegać to zadrećcanie Joanny, bo jak do tej pory obydwójce spędzaliśmy czas raczej mile w różnego rodzaju lokalach gastronomicznych.

Wspiąłem się po schodach na piętro, gdzie w pięknie urządzonej bujardni, na kanapie – myślę, że autentycznej – typu a la confidente, siedziała w szlafrocisku Joanna. Szlafrocisk był kusy i odsłaniał jej piękne długie nogi, ale o wiele bardziej zachwylił mnie rokokowy stolik z lustrami wyrobu florenckiego. Stały na nim flakoniki perfum i kobiece przybory do makijażu. Zapewne tutaj, przed lustrami, siedząc na taboreciku tureckim, Joanna czesała się i upiększała swoją urodę. W pokoju było także kilka innych sprzętów: dwa krzesła typu wiedeńskiego i biurczko, bardzo piękne, szesnastowiecznej szkoły weneckiej, chyba mistrza Gionne. Za wyposażenie tego pokoju można by było chyba kupić ze dwa drogie samochody. Musiałem przyznać się przed sobą, że Joanna znała się jednak na meblach i o ile w sklepie na dole miała kilka falsyfikatów, to tutaj były autentyki! Ale przecież nie w sprawie mebli przyszedłem do Joanny.

– Proszę, usiądź – posunęła się na kanapie, robiąc mi miejsce obok siebie. – Napijesz się kawy? A może drinka?

– Wiesz, że nie piję. Za kawę też dziękuję. Przyszedłem, aby poważnie porozmawiać.

Ale to powiedziawszy zawiesiłem wzrok tuż obok jej długich nóg, bo zachwylił mnie przepiękny maciupęski stoliczek składany typu francuskiego, na którym stał wazon z żonkilami. Zapewne na tym wspaniałym mebelku chciała mnie poczęstować kawą jego piękna właścicielka.

Joanna nagle wybuchnęła śmiechem:

– Mój Boże, Tomaszu. Czemu jesteś taki poważny? Widzę nawet na twojej twarzy wyraz napięcia. Co się stało? Czy chcesz się mi oświadczyć? A może jednak ładniejsza wydała ci się barmanka Anita? – dorzuciła kpiąco.

– Być może, być może... – oświadczyłem zagadkowo i zająłem miejsce na kanapie obok Joanny. – To prawda, że nawet Marczak zarzuca mi słabość do pięknych kobiet. Niestety, nie dam się dalej wodzić za nos.

– Tak? – zdziwiła się. – A kto to cię wodzi za nos?

Udałem, że nie widzę, jak szlafrocisk Joanny lekko się rozchyła, tak że mogłem widzieć skrawek jej opalonego uda.

– Czy możesz mi zdradzić tajemnicę, któż to taki wybrał dla ciebie te przepiękne meble do pokoju. Myślę, że podobnie drogocenne meble znajdę w innych częściach twojego mieszkania. Co ciekawe, te na dole, do sprzedaży, udają autentyki, a te tutaj są naprawdę autentyczne i bezcenne.

– Przecież wiesz, że skończyłam historię sztuki – zakpiła. – A poza tym – spojrzała na mnie spod oka, a w jej głosie zabrzmiała pretensja – meble w moim antykwariacie niczego nie udają. Autentyki są sprzedawane jako autentyki, kopie jako kopie. Może dziwić cię, że

tych ostatnich jest dużo więcej, ale to wina zubożenia naszego społeczeństwa. Wielu stać na kopie, a tylko nielicznych na prawdziwy antyk. Umarłabym z głodu licząc tylko na takich kupców.

– A ty przypadkiem nie zaliczasz się do nich? – jeszcze raz rozejrzałem się po pokoju z przyjemnością i – co tu ukrywać – z zazdrością. – Toż te cacka warte są fortunę! Nigdy bym nie pomyślał, że mały antykwariat jest takim dochodowym interesem!

Joanna wybuchnęła śmiechem i spojrzała mi wyzywająco w oczy:

– A jeśli w gromadzeniu tych mebelków dopomogli i dopomagają mi nadal przyjaciele... – potrząsnęła dumnie głową – a nawet jeśli nie przyjaciele, tylko przyjaciel... to co na to powiesz?

Z trudem stłumiłem skrzywienie warg. Joanna wydała mi się nagle brzydsza, a piękne meble jej buduaru skurczyły się i zmatowiały.

Ale cóż, każdy ma swoją drogę i sposób na życie! A ja jestem tylko historykiem sztuki, a nie psychologiem czy psychiatrą. Mam szukać zaginionych dzieł sztuki, a nie zagubionych duszyczek, choćby należały do tak pięknych kobiet jak Joanna.

Uśmiechnąłem się z przymusem:

– Tak, chyba trzeba ci tylko pogratulować owocnej w cenne podarunki przyjaźni.

– Cenne?... – Joanna lekko uniosła się z kanapy i pociągnęła mnie za rękę ku oknu. – A co powiesz na to?...

Z otwartych drzwi garażu wystawała charakterystyczna maska jaguara.

Nie wiem dlaczego, ale zrobiło mi się bardzo smutno. W milczeniu odwróciłem się od okna.

Pani domu ponownie wyciągnęła ku mnie smukłą dłoń:

– A teraz wybac, ale będę musiała cię pożegnać. Muszę przygotować się na spotkanie z bardzo ważnym klientem.

Byłem już za progiem, gdy jakieś licho podkusiło mnie i zatrzymałem się wpatrzony w ogromne błękitne oczy.

– Wspominałaś o przyjacielu, któremu tak wiele zawdzięczasz – mimowolnie położyłem nacisk na ostatnim słowie.

Długie powieki nie drgnęły, tylko pięknie wykrojone usta wykrzywiły się lekko:

– Czy widzisz coś złego w tej przyjaźni? – teraz Joanna zaakcentowała ostatnie słowo.

– Ależ skąd! – zachnąłem się. – Tylko przyszło mi na myśl, że skoro masz tak wielu przyjaciół, i to znaczących, wśród miłośników sztuki i jej historii, to może mówi ci coś – przełknąłem ślinę – nazwisko Batura, Waldemar Batura.

Może wydało mi się, ale błękit oczu ściemniał na sekundę.

– Batura? A kto to taki?

Zaczerpnąłem powietrza:

– Złodziej.



Rzeźbione drzwi zatrzasnęły mi się przed nosem.

Odruchowo wyciągnąłem rękę do dzwonka, ale zatrzymałem ją w pół drogi. Zamyślony, ciężkim krokiem zszedłem ze schodków i ruszyłem przed siebie.

Wstydziłem się przyznać przed sobą samym, ale w tej chwili wiele bym dał, aby Joanna nie miała drogich mebli i jaguara, aby też nigdy nie poznała Batury. Po stokroć rację miał dyrektor Marczak, wytykający mi ukrywaną słabość do pięknych kobiet! A Joanna zaprawdę była piękna! Lecz czy miała coś wspólnego z dokonanymi i planowanymi przez Baturę kradzieżami koron?

Nogi chyba same zaniósły mnie nad brzeg morza. I tak szedłem skrajem ubitego przez wodę piasku, nie czując, że drobne fale zalewają mi buty.

Próbowałem w myśli dopasować odnalezienie czy też podrzucenie korony, list Batury, wizyty Joanny w miejscowościach, w których miały być dokonane kradzieże, wreszcie napad na mnie i kartkę, którą dał mi niechcący czy też podrzucił Roman alias długowłosa Beniek.

Im dłużej myślałem nad tym wszystkim, tym mniej części „koronnej” łamigłówek pasowały do siebie.

„Batura kradnie trzy korony – myślałem – i oddaje jedną. Jedną trzecią łupu! Dlaczego?!” Musiałem chyba krzyknąć, bo stado siedzących nie opodal mew poderwało się ze skwirem do lotu. „Czemu Joanna przyjeżdża do miejscowości, gdzie będzie dokonane włamanie do kościoła i rozdaje swoje wizytówki? A jeśli to nie ona, tylko jakaś podszywająca się pod nią kobieta? Może nawet nie kobieta, tylko mężczyzna? Byle charakteryzاتور filmowy czy teatralny potrafi dokonać takiej przemiany!

A kartka Beńka?... Nie, to wszystko było tak beczelne, że mogło równie dobrze służyć do odwrócenia uwagi policji, no i mojej, od zupełnie innego działania, którego celem jest... no właśnie: co?!”

Otrząsnąłem się ze złością. W przemoczonych butach chlupotała woda. Dochodziłem do Oliwy.

Autobusem, nie zwracając uwagi na zdziwione i rozbawione spojrzenia pasażerów patrzących na moje mokre buty i nogawki spodni, dojechałem do hotelu.

O dziwo, Zosia i Jacek byli w pokoju! O dziwo, byli naprawdę zatroskani o mnie!

– Gdzie to się wujek tak włóczył?! – krzyknął Jacek.

– Czyżby ktoś próbował wujka wykapać? – zatroskała się Zosia.

Milcząc przebrałem się w dresy i adidas. Dopiero wtedy popatrzyłem uważnie na swoich podopiecznych, szacując ich dorosłość. Nie będę ukrywał, że mimo drobnych potknięć, sprawiali – jak dotychczas – wrażenie bardziej dorosłych, niż byli w istocie. „Można im powiedzieć czy nie można?... Zresztą wiedzieli już tyle o historii zrabowanych koron i diademem...”

– Słuchajcie – rozparłem się wygodnie w fotelu, choć w duszy czułem się raczej zwinięty w kłębek i obolały. – Słuchajcie... – i opowiedziałem im przebieg mojej wizyty u Joanny, aż po trzaśnięcie drzwiami na dźwięk nazwiska Batura.

– Wiedziałam! – parsknęła Zosia. – Tak to jest z tymi ślicznymi lalami!

– Jaguar – w zamyśleniu mruknął Jacek, a oczy zapaliły mu się pożądliwie – to dopiero wozik!... Ale, ale – pomachał ręką, jakby odpędzając myśli o luksusowym samochodzie – przecież zawsze ją widziano w czerwonym audi!

– No więc – uderzyłem dłońmi w poręcze fotela – jak sądzicie? Pani Joanna należy do szajki Batury czy nie?

Zosia kiwnęła potakująco głową. Jacek wzruszył ramionami:

– Chyba nie...

– Dwa do jednego, Zosiu – uśmiechnąłem się do dziewczyny.

– Mecz jeszcze nie skończony. Trwać będzie do ostatniej korony – wyrecytowała i dygnęła.

Odkłoniłem się uprzejmie.

– A teraz, młodzi detektywi, ruszajcie na spacer. Gdyby wam przedobiedni głód doskwierał, to spróbujcie ukoić go lodami – przesunąłem po stoliku kilka monet. – A ja w tym czasie...

– ...a w tym czasie stary detektyw zagłębi się w tajemnicę kradzieży koron – wtrącił Jacek. – Szkoda, że wujek nie pali fajki, byłby z wujka prawdziwy Sherlock Holmes – dokończyło udane rodzeństwo chórem, szybko zamykając drzwi, w kierunku których leciał mój mokry but.

Po chwili wstałem z fotela i, przechodząc do łazienki, zerknąłem przez okno.

Zosia z Jackiem trzymając się za ręce roztańczonym krokiem odchodzili bulwarem... I wtedy zobaczyłem to auto! Może nie zwróciłbym na nie uwagi, gdyby nie rzadko spotykany u tej marki kolor. Granatowy. Przed hotelem stało granatowe BMW! Właśnie otworzyły się jego drzwiczki i wysiadł z nich długowłosa mężczyzna. Przeciągnął się, odczekał chwilę i leniwym krokiem ruszył za rodzeństwem. Beniek czy też, jak kazał się nazywać, Roman!

W pierwszym odruchu chciałem wołać przez okno do Zosi i Jacka, ale byli już daleko. W popołudniowym gwarze deptaku nie usłyszeliby mojego głosu.

Wybiegłem z pokoju potrącając gości hotelowych i potykając się o ich bagaże... Wypadłem z holu i popędziłem na przelaj przez trawnik. Wskoczyłem na jezdnię... tuż obok zapiszczały hamulce jakiegoś auta. Kierowca klął za mną na cały głos. Nie zważałem na nic, wypatrując w tłumie przygarbionej sylwetki o długich tłustych włosach!

Jeszcze kilka kroków i... jest!!!

Niedaleko mignęła mi też w tłumie czerwona bluzka Zosi.

Doskoczyłem do Beńka i szarpnięciem obróciłem go ku sobie. Tuż przed oczyma miałem pobladałą twarz ze śladami po krostach. Strach rozwierał szeroko małe oczka.

– Aa, to pan – oczka zwęziły się. Oswobodził ramię z mojego uścisku. – Co się pan tak szarpie?

– Ty, słuchaj – jeszcze dyszałem po biegu i, nie ma co ukrywać, ze zdenerwowania – czego chcesz od tych dzieci?

– Jakich dzieci? Czy od tych? – kpiącym gestem wskazał bawiące się za klombem berbecie.

– Nie zgrywaj się. Dobrze wiesz, o kim mówię! Może nie znasz tamtej dwójki? – znów chwyciłem go za ramię i obróciłem w stronę, gdzie przez jezdnię przechodzili Zosia i Jacek.

– Aaa... to o nich panu chodzi! – Beniek udał zdumienie. – Nie takie to znów dzieci. Zwłaszcza dziewczyna, fajna laska...

Zamachnąłem się. Odskoczył zasłaniając się ręką:

– No już w porządku, przepraszam, tak mi się powiedziało... No, byłem z nimi na dyskotecę i tyle tej znajomości. Takich, „jednorazówek” nie przechowuję w swym sercu – uderzył się pięścią w chudą pierś.

– To dlaczego ich śledzisz?

– Co pan – cmoknął – od razu: „śledzisz”!? Po prostu spaceruję, rozkoszując się pięknem Sopotu. Czy to jest zabronione? A że nasze drogi się skrzyżowały? Przypadek – nic więcej! Ale skoro już miałem przyjemność spotkać się z panem, to pozwoli pan – oczka Beńka zwęziły się jeszcze bardziej i zaśniły twardym blaskiem – że udzielę mu dobrej rady. Otóż spacer po Sopocie nie dla wszystkich są zdrowe. Czasem spacerowiczowi może się przydarzyć coś niespodziewanego i nieprzyjemnego. Zwłaszcza, gdy ten spaceruje po nie swoich ścieżkach. Sądzę, że jest to sprawa do przemyślenia, takie spacer, zwłaszcza dla tego, kto ma pod swoją opieką czyjeś pociechy. Wypadki nie są, niestety, zarezerwowane tylko dla dorosłych...

Aż zrobiło mi się ciemno przed oczyma z wściekłości:

– Co, grozisz?... Ty... ja cię zaraz... policja...

– Oj, niech pan nie przesadza z policją! – zachichotał dziobaty. – O co chce mnie pan oskarżyć? O dobroć? Że ostrzegłem pana przed niebezpieczeństwami tego dość groźnego miasteczka? Toż policja powie panu to samo! Zresztą, czy ktoś słyszał naszą pogawędkę? Ma pan świadków naszego czułego tete-a-tete?

Opuściłem bezradnie ręce.

Beniek, jakby przyznając rację temu gestowi rezygnacji, pokiwał zdobną strąkami włosów głową.

Obok zamruczał miękko silnik i zwolna podtoczyło się granatowe BMW. Przez ciemne szyby nie było widać, kto je prowadzi.

– Jeszcze raz pana ostrzegam! – Beniek podniósł palec do góry i pogroził nim. Wślizgnął się na tylne siedzenie auta i beemka ostro skoczyła do przodu.

Odwrociłem się za nią, chcąc zapamiętać numery rejestracyjne, ale tylko wzruszyłem ramionami.

– Akurat będą jeździć na autentycznych!

Zawróciłem do hotelu, martwiąc się o podopiecznych. Na szczęście do zapadnięcia ciemności było jeszcze kilka godzin, a nie sądziłem, by rodzeństwo zapuściło się w jakieś podejrzanym zakamarki.

– Ale żeby już wreszcie wrócili!

Wchodząc na nasze piętro zobaczyłem, że wybiegając za Beńkiem zostawiłem otwarte drzwi pokoju. Na szczęście jednak nasze skromne manatki leżały na swoich miejscach. Widocznie i złodzieje mają poobiednią przerwę w pracy!

Skuliłem się w fotelu, jak to nieraz robiłem jeszcze w dzieciństwie, gdy opadały mnie przykre myśli.

„Tak. Beniek ma rację. Kto próbuje deptać przestępcom po odciskach, musi się liczyć z niebezpieczeństwem grożącym nie tylko jemu, ale i jego najbliższym. Dotychczas działałem sam, a przestępców, których zwalczałem, można by zaliczyć do tak zwanych „eleganckich”. A teraz? Jeśli już chcę rozwikłać tajemnicę kradzieży koron... Ba, sięgnąć do tego, co, jak przeczuwam, stoi za tym wszystkim, to muszę poczekać aż do powrotu siostry, aby oddać jej pociechy całe i zdrowe. Do tej chwili nie mogę spuszczać oka z Zosi i Jacka ani na moment. A już na pewno powinienem wynieść się z Sopotu!

Detektyw z dwójką niedorostków na karku! Nie, tego nie grali w żadnym filmie! Batura musi pokładać się ze śmiechu! Zaraz, zaraz... nie tak bardzo pokładać. Przecież nieraz w przeszłości moi młodzi pomocnicy ułatwili pokrzyżowanie planów tego znamienitego złodzieja dzieł sztuki!

A skoro już jesteśmy przy Baturze, to trzy rzeczy niezbyt do niego pasują w tej sprawie. Pierwsza – to kradzież dla okupu. Taki fachowiec jak on doskonale zdaje sobie sprawę, ile ryzyka kryje w sobie moment odbioru okupu, który zresztą jest zawsze niższy niż prawdziwa wartość skradzionego przedmiotu. Druga – to oszołomienie mnie gazem na plaży. Przecież on i jego ludzie doskonale wiedzą, kim jestem, po co więc sprawdzać moje dokumenty?! Trzecia – groźby przyszczonego Beńka. Batura i skrzywdzenie moich siostrzeńców? Różnie w życiu myślałem o moim koledze ze studiów a dzisiejszym przeciwniku, ale żeby posądzać go o coś takiego?!

Chyba, żeby...

No właśnie, chyba żeby ktoś tu celowo gmatwał ślady... Bo jest jeszcze i list wysłany przez Baturę do mnie, w którym tak bezczelnie zdradza swoje plany, zbyt bezczelnie. Kto się

więc za tym kryje i czego chce? A może mimo wszystko to sam Batura, który chce mnie zniechęcić i przestraszyć, abym porzucił trop...

Ale, na Boga, na żadnym tropie nie jestem! Chyba, że jestem, tylko sam o tym nie wiem! A Batura czy tajemniczy jegomość to wie, domyśla się lub tylko przeczuwa!

Ale co robić?! Dopóki Zosia i Jacek są ze mną, mam ręce związane... Ale do czasu! Jeszcze spotkamy się na śladzie! Swoją drogą ciekawe, dokąd lub do czego on prowadzi. Nie może tu przecież chodzić o jedną czy drugą wotywną koronę! A przecież złodzieje szukają czegoś w koronach, nie ich samych, bo dla zakpienia łatwo pozbywają się jednej. Szukają na ślepo, bo ukradzionych i wytypowanych do kradzieży koron nic nie łączy. Może to wszystko jest tylko pozorantwem mającym odwrócić uwagę od... no, Tomaszu, od czego?"

Gdy rodzeństwo wróciło do hotelu, oznajmiłem jak mogłem najradośniej:

– Kochani, dosyć tego wylegiwania się nad morzem. Wyraźnie słyszę wołający nas głos Roztocza. W drogę!

– Już, zaraz? – posmutniała Zosia.

Jacek skrzywił się:

– A korony? A pani Joanna? Pani Anita?

Machnąłem lekceważąco ręką:

– Nimi niech zajmie się policja. Za to jej płacą.

Rodzeństwo jednocześnie pokręciło głowami:

– Czyżby wujek zmienił zdanie? – spojrzał na mnie chłopak.

– Ostatecznie wujek tu rządzi – wyduła usteczka jego siostra. Żal mi się ich zrobiło:

– A tak, rządzę. I dlatego zarządzam wyjazd dopiero za trzy dni. Ale do tego czasu żadnych samotnych wyjść. A jeżeli zostanieie sami w pokoju, to zamykajcie się na klucz i nikogo, pod żadnym pozorem, nie wpuszczajcie.

– Dlaczego? – oczy Zosi zaokrągliła ciekawość.

– Coś nam grozi! – radośnie wrzasnął Jacek.

Nic nie odpowiedziałem, tylko zrobiłem, wielce tajemniczą minę. Ona tym bardziej powinna utrzymać ich w posłuchu.

Pomimo to jeszcze wiele razy usiłowali tego dnia wydobyć ze mnie tajemnicę zagrożenia, ale że milczałem jak grób, doprowadziło to w końcu Jacka do pytania, czy do łazienki też musi iść z obstawą. Zarobił za to pstryczka w ucho i tak przykry dla mnie dzień zakończył się ogólnym śmiechem.

Następnego dnia wybieraliśmy się właśnie na plażę, gdy zadzwonił telefon.

Podszedłem do aparatu.

– Tak, słucham...

– A, witam, panie Tomaszu! Marczak się kłania – zadudniło w słuchawce.

– Dzień dobry, panie dyrektorze! Czemu zawdzięczam pański telefon?

– A temu, panie Tomaszu, że po nim zrezygnuje pan definitywnie z prywatnego śledztwa w sprawie koron!

– Ale przecież pan sam...

– Odwołuję, panie Tomaszu, odwołuję!

– Cóż, właśnie miałem sam na jakiś czas zaprzestać...

– Nie na jakiś czas, tylko na zawsze! Policja daje sobie doskonale radę bez pana. A poza tym – Marczak sapnął z satysfakcją – był pan, panie Tomaszu na mylnym tropie. Pańska główna podejrzana, nie licząc oczywiście Batury, niejaka Joanna Złotnicka jest niewinna! – znów sapnięcie.

– Zdaniem pana czy policji? – pozwoliłem sobie na uszczypliwość.

– Panie Tomaszu! – zaperzył się dyrektor. – To policja ustaliła ponad wszelką wątpliwość alibi Złotnickiej na dwa dni z trzech, w których złodzieje przekazywali okup paserce! Poza tym podczas konfrontacji złodziejaszkanie nie rozpoznali jej wśród dziewięciu innych kobiet!

– Tak więc... – usiłowałem wtrącić, ale Marczak nie dał mi dojść do słowa.

– Tak więc proszę uważać moje ostatnie polecenie za wiążące! Wycofujemy się ze sprawy koron, a pan niech sobie odpoczywa, opala się, kąpie, co pan chce, byle tylko pan nikogo nie tropił! – w głosie Marczała usłyszałem prawdziwą prośbę. Ale co zrobić, gdy właśnie taki głos dyrektora już tyle razy zamiast zniechęcić, właśnie pobudzał mnie do działania.

– Jednak, panie dyrektorze...

– Do widzenia, panie Tomaszu, do widzenia... – głos dyrektora Marczała aż ociekał słodyczą. Stuknęła odkładana słuchawka.

Rodzeństwo wpatrywało się we mnie w milczeniu. Marczak mówił tak głośno, że oboje słyszeli pewnie każde słowo.

– A więc po naszej sprawie, wujku – odezwał się zbuntowanym głosem Jacek, a Zosia ze złością potrząsnęła grzywką.

Zrobiło mi się ciepło na sercu. Choć tacy młodzi, to wiedziałem, że w potrzebie mógłbym na nich polegać. „Oby tylko nie było trzeba” – pomyślałem przypominając sobie groźby długowłosego. Uśmiechnąłem się, nieco z przymusem, i zdjąłem kurtkę z wieszaka:

– Wy zostajecie. Na razie! – podniosłem w górę kciuk gestem zwycięstwa.

– A wujek dokąd? – poderwała się Zosia.

– Do pani Joanny.

– Do... po co? – zająknął się Jacek.

– Przepraszam za podejrzenia – rzuciłem od drzwi.

– Ile róż pan sobie życzył – spytała sprzedawczyni w kwaciarni na rogu.

– Siedem – odpowiedziałem machinalnie, przyglądając się purpurowym płatkom w kroplach rosy. – Nie, przepraszam, pięć! I proszę o różowe.

Nie wiem, dlaczego wybrałem tę liczbę, ale właśnie siedem czerwonych róż zawsze kojarzyło mi się z zakochanymi. A ja nawet nie byłem pewien w stu procentach, czy idę przeproszać rzeczywiście niewinnie posądzoną piękną kobietę. Może podświadomie szukałem tego tajemniczego tropu, który wbrew groźbom wszystkich długowłosych, wbrew wszystkim dyrektorom Marczakom, wbrew niechętnym mi policjantom miał doprowadzić mnie do wielkiego, oszałamiającego odkrycia.

Tak pograżyłem się w rozmyślaniach, że zbyt mocno zacisnąłem palce na łądkach kwiatów i nagle poczułem ukłucie kolca. Otrząsnąłem się. Tramwaj dojeżdżał do Wrzeszcza.

Możecie zapytać, dlaczego nie jechałem swym wehikułem. Odpowiedź jest prosta: jego nader charakterystyczna budowa zbyt rzuca się w oczy i wszem i wobec głosi: „Tu jest Pan Samochodzik”. A dyskretne sprawy wymagają dyskrecji. Nie darmo wietnamskie przysłowie głosi: „Tylko głupiec idąc na tygrysa wali w bęben”. Aczkolwiek Joanna na pewno nie jest tygrysem, jednak historia i doświadczenie pouczają, że piękna kobieta bywa groźna jak ów drapieżny kot.

Nawet wtedy, gdy pewni dyrektorzy pewnych departamentów niektórych ministerstw zapewniają o jej niewinności, a my sami tak chętnie w tę niewinność wierzymy...

Gdy zadzwieczał dzwoneczek nad otwieranymi przeze mnie drzwiami antykwariatu, Joanna opuściła powoli unoszone w dłoniach wieko gabloty.

– Ach, to ty – powiedziała cicho.

Może mi się wydawało, a może naprawdę miała zaczerwienione oczy.

Jej matka ukłoniła mi się chłodno z głębi antykwariatu.

Na widok kwiatów uśmiech przemknął po pełnych wargach Joanny.

– Chodźmy! – poprowadziła mnie po schodach do mieszkania. Posadziła, jak poprzednim razem, na kanapie i zaczęła starannie układać róże w kryształowym wazonie.

I wtedy na dole zadzwonił dzwoneczek i zaraz potem matka Joanny poprosiła ją na dół. Wróciła jeszcze na chwilę, by mnie przeprosić, że jej nieobecność przeciągnie się trochę.

Zostałem sam w buduarze. Przyglądałem się po kolei każdemu mebelkowi, sycąc oko i serce ich pięknem, starannością doboru, ustawienia i przyozdobienia cennymi bibelotami. Dziwne, ale w tej chwili nie myślałem, że znalazły się one tutaj za sprawą tajemniczego przyjaciela gospodyni.

Dłużej zatrzymałem wzrok na szesnastowiecznym biurczku weneckiej szkoły. Ciekawe, ile to miłosnych liścików na nim napisano? Ile łez je skropiło? Stały na nim flakoniki z eliksirem miłosnym czy buteleczki z trucizną? Było świadectwem zaklęć miłosnych czy przekleństw bezsilnej rozpacz? A co też kryło w swoich tajemnych schowkach, z których sływały weneckie meble?

Znajacemu ich tajemnice wystarczyło tylko pokręcić którymś z filarków czy też obrócić jedną z rzeźb. Ot, choćby tę lwia główkę...

Cichy trzask i lwia główka odskoczyła, pociągając za sobą listewkę. Odsłoniła się wąska szczelina, w której widać było krawędzie złożonego papieru...

Wstrzymałem oddech i nasłuchiwałem głosów z dołu. Joanna monotonicznie objaśniała po angielsku zalety zabytkowej toaletki. Pani Mroczkowska od czasu do czasu wtrącała jakieś zdanie. Klient pomrukiwał niezbyt zrozumiale, lecz z aprobatą. Do końca targu było jeszcze daleko.

Wyciągnąłem papier ze szczeliny. Była to pożółkła kartka z zeszytu w kratkę. Blaknący już atrament wciąż jeszcze wyraźnie ukazywał słowa:

*Drogi mój!*

*Piszę do Ciebie bez wielkiej nadziei, że list Cię odnajdzie. Ale, dziej się wola Boża! Tyś jeden mi pozostał pośród żywych i, mam nadzieję, wolnych. Ja mogę tylko wybierać między wpadnięciem w łapy Ruskich lub Niemców.*

*Com miał, utraciłem. Wszystko, oprócz Skarbu, który koronuje nasze nadzieje. Nosilem go na piersi, ale sam wiesz dobrze, że w tych czasach marny i niewygodny to schowek.*

*Długom myślał, gdzie go ukryć, aż wreszcie dziś nasza mnie myśl szczęśliwa. Otóż Korona tam jest, gdzie tylekroć chodziliśmy się modlić wtedy, gdy medykusy reperowały nasze serca, między jedną ucieczką do Lublina a drugą.*

*Jeśli Bóg pozwoli Ci przetrwać szczęśliwie całą tę zawieruchę, szukaj Korony w tamtym miejscu, nad głową Tej, Której słusznie się należy.*

*Zostaję z myślą, że jednak się kiedyś spotkamy i pozdrawiam Cię serdecznie*

*Twój Jerzy*

*21.09.1939 w drodze z Lublina*

Wyśmiewany przez wielu znajomych nawyk noszenia przy sobie notesiku z ołówkiem jakże się teraz przydał! Chwila i już miałem przepisana treść kartki.

Otarłem pot z czoła. Uff, głosy w antykwariacie nie cichły. Mogłem jeszcze raz dokładnie obejrzeć znaną kartkę. Leżała tak spokojnie od trzydziestego dziewiątego roku czy też ktoś do niej się dostał?

Niestety, na pożółkłym papierze widać było świeże ślady zgięć. Tak to ich liniami odsłonił się przede mną nowy trop, a jednocześnie przysłoniła niewinność Joanny – tu muszę dodać, że ku memu wielkiemu żalowi. Popatrzyłem na pięć moich róż i zrobiło mi się najzwyczajniej w świecie głupio. Chyba nawet zapiekły mnie koniuszki uszu.



Zatrzasnąłem skrytkę i to w samą porę, bo znów usłyszałem dzwonek, a po chwili lekkie kroki Joanny wbiegającej po schodach.

– Coś taki zmieszany? – spojrzała na mnie nieufnie.

– To tęsknota za tobą i zazdrość mieszają się we mnie – próbowałem obrócić wszystko w żart. Ale Joanna wydawała się doskonale wiedzieć, po co przyszedłem. Odrzuciła dumnie głowę i powiedziała wyzywająco:

– Jestem więc niewinna?

– A czyżbym to ja cię podejrzewał? – pokręciłem się niespokojnie na kanapie.

– To czego tu szukałeś jako właściciel wytwórni lodów? – chwyciła jedną z róż i cisnęła nią we mnie.

Ostrożnie ująłem kwiat i włożyłem go na powrót do wazonu. Wtem jakiś przekorny duszek kazał mi powiedzieć:

– Często widuje się ciebie w czerwonym audi-combi, a ty masz przecież jaguara metallic...  
Zachnęła się:

– Od czasu do czasu pożyczam audi od przyjaciółki. Jak się poluje w terenie na antyki, to dobrze mieć wóz, do którego można zapakować to jakiś stojący zegar, to coś z mebelków lub obrazów; często już następnego dnia może być za późno – konkurencja nie śpi!

Przekorny duszek dalej podszeptował:

– Od przyjaciółki, powiadasz?... – zawiesiłem głos, jakbym doskonale wiedział, o kogo chodzi, a jednocześnie powątpiewał w szczerą przyjaźń.

Joanna westchnęła z rezygnacją:

– No, od Anity, barmanki.

– Ona jest twoją przyjaciółką? – wątpiłem jeszcze bardziej.

– Oj, chodziłyśmy kiedyś do tej samej klasy! – zmięła jeszcze jedną różę. – Ale, do diabła, kto mi zabroni pożyczać auto od kogo zechcę!?

– Jeśli ten samochód ma dziwny zwyczaj pojawiania się w miejscach, gdzie wkrótce dokonane zostanie przestępstwo, to raczej przesiadłbym się do innego wozu...

– Dajże spokój! – Joanna wydała się nagle bardzo zmęczona i starsza niż w istocie.

– Tak – podniosłem się z kanapy. – Pójdę już. Ale wierz mi, że mało kto cieszy się jak ja z twojej niewinności. Oboje padliśmy ofiarą oszustów i złodziei.

Joanna milczała, słycać było tylko jej szybki oddech.

Schodziłem już ze schodów, gdy usłyszałem z góry ciche:

– Żegnaj, Tomaszu.

I zaraz powtórzono z naciskiem:

– Żegnaj!

Matka Joanny nawet nie odwróciła się, gdy wychodziłem z antykwariatu. I dobrze, bo nie widziała, że twarz mam zbyt spokojną, jak na tak dramatyczne pożegnanie.

Cóż, taki już jestem. Zawsze bardzo przeżywam, gdy ktoś w kogo wierzę zawodzi moje zaufanie. Żal mi też wiele tych, których sprytniejsi wplątują w sieć przestępstw i oszustw. Ale gdy ktoś z zimną krwią próbuje mnie oszukać czy wykorzystać, to – jakby powiedział staromodny poeta – „moje serce zamyka się przed nim”, choćby ten ktoś był tak piękną kobietą jak Joanna.

Uśmiechnąłem się więc, choć po prawdzie był to uśmiech, który co wrażliwsi nazwaliby uśmiechem przez łzy.

– Nic, tylko wujek oświadczył się pani Joannie! – zawołała na widok mojej miny Zosia.

– I co gorsza, został przyjęty – wtórował jej brat.

– Zamiast głupio żartować, lepiej przeczytajcie sobie to – położyłem na stole otwarty notesik. Już w drodze z Wrzeszcza postanowiłem wtajemniczyć w swe dalsze plany podopiecznych. Groźby Beńka wydały mi się strachami na wróble. Jeśli nie ustąpię, to oni się cofną. Ostatecznie od okradania wiejskich kościółków do napadów na dzieci droga daleka. A już jeśli za tym wszystkim naprawdę kryje się Batura, to nic Zosi i Jackowi nie grozi!

Przez chwilę w pokoju panowała cisza. Wreszcie przerwało ją gwizdnięcie Jacka:

– Fiuuu! Znowu mamy koronę!

– A gdzie wujek znalazł ten list? – wierciła się na krześle Zosia.

– U pani Joanny – odpowiedziałem cicho, bo nagle zrobiło mi się niewymownie przykro. Była przeciwniczką, ale gdzieś tam na dnie starokawalerskiego serca... eech, zamilczmy o tym!

– U niewinnej pani Joanny! – prychnął radośnie Jacek.

Zosia zachichotała.

– Dajcie spokój! – ciężko osunąłem się na fotel. – Lepiej pomyślmy, gdzie ta korona czy to co się pod tą nazwą kryje, może się znajdować.

Popatrzyłem na rodzeństwo z nadzieją. Przecież bardzo często tak wiele zawdzięczałem młodemu pomocnikowi!

– Ba! – westchnął Jacek. – Polska jest długa i szeroka!

– A trzeba dodać jeszcze ziemie, które należały do niej w trzydziestym dziewiątym roku – zatroskała się Zosia.

– Nie trzeba. Patrzcie – wskazałem palcem na stroniczkę notesu – tu jest napisane „w drodze z Lublina”, a także o zagrożeniu ze strony Rosjan i Niemców. Rosjanie są na pierwszym miejscu. Poczekajcie... – sięgnąłem do nesesera i z pliku map, które wożę zawsze ze sobą – nawyk to jeszcze z harcerskich czasów – wygrzebałem mapę południowo-wschodniej Polski i rozpostarłem ją na stole.

– A teraz szukajmy miejsca, gdzie „medykusy reperują serca”.

Pochyliliśmy się nad mapą. Przeglądaliśmy ją kwadrat po kwadracie, aż nagle twarzyczka Zosi pojaśniała radością!

– Mam! Jaka ja jestem głupia, a i ty Jacusiu również! Szukamy Bóg wie czego, a to na pewno chodzi o Nałęczów!

– Jesteś tego pewna? – chwyciłem dziewczynę za rękę.

– Jasne! Toż ciocia Jadzia jeździ tam prawie co roku leczyć serce, choć myślę, że porządne odchudzanie lepiej by jej zrobiło!

Wyglądziłem mapę:

– Założmy, że to Nałęczów... patrzcie, przez to miasteczko prowadzi szosa z Lublina na zachód. Tędy więc autor listu mógł uciekać przed Armią Czerwoną...

– Ale gdzie to chodził się modlić podczas kuracji? – zastanawiałem się głośno, gdy w słowo wpadł mi podniecony Jacek:

– Do Wąwolnicy! – aż pobladł ze wzruszenia. – Niech wujek patrzy! Ta wioska jest trzy lub cztery kilometry od Nałęczowa, a obok niej narysowany jest krzyżyk, tylko co on dokładnie znaczy?!

Czym prędzej zajrzeliśmy do opisu mapy:

– Krzyżyk oznacza zabytkowy kościół lub sanktuarium. Popatrzyliśmy w ciszy po sobie. A mnie jeszcze mignęła twarz Joanny – to zimna i zła, to zagubiona i pobladła. Znów podniosłem oczy na moich pomocników. Odpowiedziały mi spojrzenia poważne i dorosłe...

Śniłem właśnie, że wędruję z Joanną ukwieconą łąką, gdy w jej rozdzwonioną graniem świerszczy ciszę wdarł się przeraźliwy dźwięk...

Telefon! Odruchowo spojrzałem na fosforyzującą tarczę zegarka. Było w pół do drugiej w nocy. Namacałem słuchawkę...

– Tak...

– Tu Batura. Waldek.

Resztki snu prysnęły.

– Dzwonię tak późno, bo chciałem cię zastać.

– Ale skąd mogę wiedzieć, że to ty? Nie bardzo pamiętam twój głos i nie wiem...

– To sobie nie wiedz! – przerwał mi zniecierpliwiony Batura – ale słuchaj! Ktoś chce mnie zrobić w tę tanią i parszywą aferę z koronami z kościółków. No i te okupy od biedaków! Czy serio myślisz, że ja tak nisko upadłem?!

– No, może nie, ale twój list...

– List, durniu? A znasz chociaż mój charakter pisma? Byle świstek ci podsunąć i już!

– Ale list był pisany runami!

– Runy? Już dawno przestałem bawić się w te głupstwa! A zresztą! Wierzysz, nie wierzysz – twoja sprawa. Ja ci tylko radzę, przyjrzyj się z łaski swojej nowym znajomym, Joannie i Anicie. Zwłaszcza tej pierwszej, a gwarantuję ci, że ciekawe rzeczy zobaczysz, bo taki ostatni ślepak to ty już nie jesteś. Przy okazji zrobisz dobrą robotę dla mnie, bo dość mam swoich kłopotów, żeby jeszcze świecić oczami za jakieś damulki i ich spółki! Cześć!

Długo siedziałem nad aparatem buczącym sygnałem zerwanego połączenia, zanim odłożyłem słuchawkę na widelki i położyłem się do łóżka z rękoma splecionymi pod głową, wpatrzony w odblaski ulicznych latarni na suficie.

Rano, odebrawszy solenne przyrzeczenie od podopiecznych, że nie ruszą się nawet na krok z pokoju, wsiałem do mego wehikułu i... i przez moment nie wiedziałem, dokąd jechać: na Liliową, zacząć się na Anitę, czy do Wrzeszcza, spróbować tropić Joannę. Wybrałem Wrzeszcz. Opodał antykwariatu Joanny był maleńki placyk, gdzie mogłem ukryć swój pojazd wśród innych aut, nie tracąc jednocześnie z oczu wyjazdu z posesji Joanny.

Szczęście mi dopisało. Nie minęło piętnaście minut, a z podjazdu antykwariatu cicho wysunął się jaguar metallic o ciemnych szybach i wolno przyspieszając odjechał Główną. Ruszyłem za nim chowając się za jadącymi autami. Ze skrzyżowania na skrzyżowanie ruch narastał i na czwartych światłach dzieliło mnie od jaguara pięć samochodów. Z lewej strony prawie naciskała na mnie ogromna cysterna, a z prawej bezszelestnie podleczyła się honda siedemsetpięćdziesiątka. Przyjrzałem się jej, bo zawsze miałem słabość do ciężkich motocykli. Kierowca i pasażer hondy, obaj w skórzanych ubiorach o mnóstwie zamków i wysokich butach też patrzyli na mnie, ale nie widziałem ich oczu przez lustrzane szkła pełnych okularów. Nagle pasażer motocykla pochylił się i w tejże chwili mój wehikuł także przechylił się w jego stronę. Syk powietrza. Honda przetoczyła się kawałek do przodu, znów pochylenie pasażera, znów syk powietrza i mój wóz osiadł twardo prawą stroną na felgach. Ten na hondzie wyprostował się i podniósł do góry rękę. Nad dłonią błysnęło ostrze sprężynowego noża. Chwila, długa chwila, abym dobrze je obejrzał, i schowało się w rękojeści. W tej sekundzie zapaliło się zielone światło i honda z rykiem stając na tylnym kole skoczyła do przodu między samochody...

Dużo czasu i pieniędzy z mojej chudej urzędniczej kieszeni kosztowało odholowanie wehikułu do warsztatu wulkanizacyjnego. Cóż, zapasowe koło miałem tylko jedno, a hondzie zawdzięczałem dwie dziurawe opony. Dziury załatano, choć sam szef warsztatu kręcił nad nimi głową, ale ja obiecałem superostrożną jazdę, byle do Warszawy, gdzie miałem spory zapas opon.

Zresztą, nie o gumach myślałem, a o tamtym połyskującym w słońcu morderczym ostrzu. Czy to nadal tylko postrach, czy uderzy gdzie indziej, o wiele bardziej boleśnie. Nie należę do tchórzy, ale wzdrygnąłem się. I znów wróciła troska o Zosię i Jacka... Na szczęście siedzieli grzecznie w pokoju. Chociaż te ich błyszczące emocją oczy, zwłaszcza Jacka...

– Jacek, ty gdzieś łąziłeś?!

– Ja tylko... tylko pod „Grand Hotel”. Tam na parkingu można zobaczyć superwozy...

– I zarobić parę groszy za otworzenie drzwiczek albo przeniesienie walizek!

– No...

– Ee, ty żebraku!

– Wszędzie na świecie chłopaki w moim wieku tak dorabiają! – zaperzył się. – Zresztą to nie jest ważne!

– A co jest? – siadłem naprzeciw.

– To, że zajechał pod „Grand Hotel” facet bentleyem na angielskich numerach. Zaparkował, nic nie wyładował. Tylko z dyplomatką w jednej rączce, a z taką śmieszną laseczką o białej główce w drugiej, od razu wparował do biura „City-car”, gdzie wypożyczają samochody. A laska miała główkę rzeźbioną w łeb psa...

– No dalej, bo chyba nie o laskę ci chodzi – ponagliłem chłopca.

– Jasne, że nie! – oburzył się. – No więc, Angol zaraz wyszedł z firmy i patrzę, a on się pakuje do takiego dość podniszczonego poloneza. I wtedy, chyba z portfela, wypadł mu karteluszek. Więc ja podbiegłem, bo on już ruszał, złapałem karteczkę, zobaczyłem, że to wizytówka, i już chciałem machać za gościem, ale zrezygnowałem... – Jacek zawiesił dumnie głos.

– A to dlaczego?

– A dlatego! – i chłopiec rzucił na stół kremowy kartonik, na którym lekko stylizowanymi na gotyk literami wypisano:

Hanna Mroczkowska i Joanna Złotnicka

ANTYKWARIAT

Skup i sprzedaż zabytkowych mebli

80-250 Gdańsk-Wrzeszcz, ul. Główna 18

Tel. (0-58) 47-67-77

Zamyśliłem się ponuro: „Tak więc misternej strukturze gangu Kolekcjonera przybyło jeszcze jedno «piętro». Bo nie mogłem uwierzyć, że gość z Anglii, zajeżdżający do naszego skromnego kraju bentleyem tym rolls-roysem dla wspinających się po szczeblach bogactwa – miał tu przybyć, aby wykonywać rozkazy Kolekcjonera, kimkolwiek on był dla rodzimych rzezimieszków. On przyjechał wydawać rozkazy albo ich wykonania osobiście dopilnować!”

Zapatrzyłem się na ulicę, którą przechodził właśnie zastęp harcerzy: proporczyk, peleryny, czarne getry nad jednakowymi ciężkimi, turystycznymi butami, odznaki zdobytych sprawności na rękawach mundurków, spranych, a więc znających przygodę.

Pomyślałem o Baŝce<sup>1</sup> i jego kolegach. „Jakżeby mi się teraz przydali! Ale przecież jest ze mną Zośka i Jacek!” Wciąż jeszcze wierzyłem w siłę i mądrość młodości...

<sup>1</sup> Baŝka – tu wyjaśniam tym, którzy nie czytali o moich wcześniejszych przygodach – to pseudonim chłopca, nadany mu ze względu na jego dziewczęcą urodę; harcerza, który bardzo mi pomógł w kilku trudnych sytuacjach. On i jego koledzy – Wilhelm Tell, Wiewiórka i Sokole Oko – współpracowali ze mną w *Wyspie Złoczyńców*, *Templariuszach* i *Tajemnicy tajemnic*.

Jednak sprawa, która zaczęła się tak prosto włamaniem do wiejskiego kościółka, nawet jeśli był on znanym sanktuarium, z każdym ruchem komplikowała się coraz bardziej, porastała w niebezpieczeństwo...

Wróciłem myślami do rozbudowującej się struktury gangu Kolekcjonera: „To niemożliwe, żeby jego fundamentem były włamania po cenne z punktu widzenia wiernych, ale niezbyt wartościowe na rynku jubilerskim, korony! Tu musi chodzić o coś innego!”

I nagle odezwała się Zosia, jakby śledząc bieg moich myśli:

– No, to już teraz wszystko proste, wujku! Trzeba zawiadomić policję, ona dorwie Anglika, a ten już jej wyśpiewa wszystko! Słyszałam, że są takie metody przesłuchań...

– Zosiu, zastanów się, co mówisz – ze śmiechem przerwał jej Jacek. – Za co chcesz przymknąć tego Anglika? Że wynajął poloneza, bo mu szkoda cennego wozu na nasze wertepy? Trzeba go śledzić, na czymś go złapać, coś mu udowodnić i wtedy... – groźnie zawiesił głos.

– A czym mamy go śledzić? – zapytałem z gorzką miną. – Moim wehikułem, który jest rozpoznawalny na kilometr? Na wypożyczenie innego samochodu absolutnie, co wicie dobrze, nas nie stać. A bieganie piechotą za najwolniejszym nawet polonezem...

– Ino im się nie chce chcieć – tym razem mnie, i to cytatem, o znajomość którego bym go nie posądzał, przerwał Jacek.

Zakręcił się po pokoju, pogrzebał w szafie, zasłonięty jej drzwiami i... zniknął! Bez słowa wytłumaczenia! Ale nie byłem w nastroju obrażać się o takie drobiazgi...

– Chodź, Zosiu, przegryziemy co nieco. O pełnym żołądku myśli się lepiej...

A w portfelu jakby mniej pieniędzy... Może tylko tak mi się wydawało?

Gdy siedzieliśmy w ogródku smażył ryby, mozolnie wydłubując ości ze smażonej flądry, tuż za ogrodzeniem rozległ się warkot silniczka i, wcale udany, pisk hamulców. Podniosłem głowę znad tacki z rybą. Jakiś małałat na motorynce zatrzymał się przy smażyłni. Już chciałem powrócić do swojej mało apetycznej ryby, gdy chłopak ściągnął z głowy kask, godny formuły I, i... zobaczyliśmy Jacka z tajemniczo położonym palcem na ustach.

Nim Jacek dopchnął się do naszego stolika już wiedziałem, gdzie podziały się brakujące pieniądze z mojego portfela. Wziął je ten młodociany detektyw! Dobrze sobie! Zaczynać karierę stróża prawa od kradzieży motorynki?!

Widać mój wzrok powiedział mu wszystko, bo ledwo usiadł, już zaczął:

– Ta motorynka nie jest kradziona! Mam ją od siostrzeńca portiera. Niestety za pieniądze wujka... – zwiesił na chwilę głowę z udaną skruchą, ale zaraz podniósł ją dumnie: – Wpierw zacząłem się we Wrzeszczu, ale pod antykwariat przepięknej Joanny...

Zamachnąłem się ogonem flądry, szybko wrócił więc do tematu:

– Ale tam nikt nie zajeżdżał ani nie zachodził. I to jest dowód, wujku, że one muszą kraść, bo z czego wyżyją? Ale już, już! – zawołał widząc, że ponownie sięgam do talerza. – No to sobie pomyślałem, że pojedę na tę Liliową, o której wujek wspominał. Zajechałem,

gdzie trzeba, a tu nie ma gdzie zaczajki zrobić. Patrzę więc, patrzę coraz smutniej, aż tu widzę dorodny świerk z tyłu, jak to się mówi, posesji. Dopchnąłem motorynkę w krzaki pod nim i dalej; oj, ciężkie to było „dalej”, w górę po pniu świerka, byle do pierwszych gałęzi. Udało mi się jakoś, bo nie wymoczek jestem – tu napiął mięśnie – i patrzę. A od tego patrzenia to mi się nieco zimno zrobiło, bo miałem taki pomysł, żeby zakraść się tam przez płot i schować gdzieś między tujami a śmietnikiem; tymczasem widzę, że po trawniku wokół domu biegają sobie trzy doberman. A tyle akurat wiem o tych zwierzakach, że wpierw zagryzą, a potem dopiero patrzą, kogo uśmierciły... Psia kość, tak się na te pieski zapatrzyłem, że nie dostrzegłem cichutkiego wjazdu jaguara przez bramę. To znaczy dostrzegłem, ale nie wiem, kto z niego wysiadł, bo już mi to dom zasłaniał. Za to, gdy po jakiejś godzince – proszę, niech wujek doceni, że spędziłem ją na niezbyt wygodnych a kruchych gałęziach świerka i niech nie przecenia wartości pieniędzy, które musiałem wręczyć siostrzeńcowi portiera, niejakiemu Józkowi, za wypożyczenie pojazdu! – już myślałem, żeby opuścić posterunek, kiedy brama otworzyła się ponownie i pod willę zajechało czerwone audi-combi, z którego wysiadła... – Jacek zawiesił głos i, chyba dla większego efektu, podrapał się za uchem – równie piękna jak pani Joanna, barmanka Anita. Weszła do domu... i na tym – niestety – koniec mojej opowieści. Do środka willi zajrzeć nie mogłem, gdyż w każdym oknie żaluzje są opuszczone i w dodatku te przekłete kundle coś wyczuły, bo zgromadziły się pod płotem naprzeciw świerka i zaczęły ujadać. Trzeba się było wynosić!

– No cóż – starałem się szczerze pocieszyć chłopca – i tak osiągnąłeś wiele: Anita i audi... Ciekawe! Oczy Jacka błysnęły radośnie:

– Tak skończyła się opowieść „obserwacyjna”, teraz pora na opowieść „pytającą” – Jacek rozparł się na metalowym krzeselku, a mnie aż poniosło:

– Jacek!

– Już mówię, mówię! Pogawędziłem więc sobie z mieszkającą o trzy wille dalej staruszką, której pomogłem otworzyć zacinający się zamek w furtce i wiem od niej, że interesująca nas willa jest wynajęta. Starsza pani była na tyle uprzejma, że wygrzebała nawet skądś dane gościa, który willę wynajął, a jej dał je na wypadek, jak zresztą i innym sąsiadom, w czasie, gdy szukał chętnych, gdyby ktoś pytał. Proszę bardzo: Zenon Ubocz, telefon 78-94-43. Nie sądzę jednak, wujku, by się to nam na coś przydało; ostatecznie, co winien właściciel, że jego willę wynajęli bandyci? Jego interesuje, by płacili w terminie! A sądzę, że na to ich stać! Aha, staruszka – delikatnie wypytana przeze mnie – potwierdziła, że często pod „naszą” willę podjeżdżają luksusowe samochody i... uwaga, wujku, motory! Nie muszę dodawać, że pani starsza spojrzała z obrzydzeniem na moją biedną motorynkę! – Jacek zakończył swą opowieść śmiechem.

Nie ma co, spisał się chłopak na medal!

– No, Jacuś, piątka dla ciebie! – klepnałem go w kolano, a chłopak aż poczerwieniał z dumy. – Teraz i ja muszę się czymś popisać dodając wstając od stolika. – Wy idźcie na plażę, a ja...

– Wujku! – odezwała się ze szczerą troską w głosie Zośka.

– Już raz wujka potraktowali gazem!...

– Nie sędzę, aby tym razem groziło mi coś podobnego – odparłem, gładząc dziewczynę po głowie. Mamy południe, wszędzie pełno ludzi. A ja wybieram się, gdzie ich na pewno nie zabraknie: do „Grand Hotelu”. Tam zamieszkał nasz Anglik, spróbuję więc zapolować na niego. Powiedzenie myśliwskie głosi, że zwierzyna na swoim terenie jest najmniej uważna...

Ogarnąłem się nieco, aby godniej wyglądać i ruszyłem do „Grandu”.

Najpierw zajrzałem na parking: bentley stał, jakby nigdy się stąd nie ruszał, a obok niego polonez ze znaczkiem wypożyczalni na szybie.

„Jest więc w hotelu” – pomyślałem i poczułem lekki dreszczyk na plecach. „Co teraz robić? Przecież po pokojach nie będę go szukał! A może barki, restauracja, kawiarnia?”

Zajrzałem właśnie do kolejnego już barku, gdy pierwsze, co mi się rzuciło w oczy, to dłonie. Dłonie splecione na białej, rzeźbionej chyba w kości słoniowej główce wysmukłej, lecz zapewne ciężkiej, hebanowej laski. Ich właściciel był mężczyzną w sile wieku, o szpakowatych włosach i mocno opalanej cerze. Ubrany był w niby skromny garnitur o sportowym kroju, jednak fachowe oko od razu widziało tu rękę dobrego krawca. Przed właścicielem hebanowej laseczki dymiała na stoliku filizanka kawy i stał wielki – co znamionowało świetną markę napitku – kielich z odrobiną koniaku. Innego trunku w takich kielichach się nie pije!

Ku mojemu szczęściu brakowało miejsc. Podszedłem więc do Angoła, jak nazywał go Jacek.

– Czy pozwoli się pan dosiąść? – zapytałem, gotów przerzucić się na angielski, którym władałem wcale nieźle.

– Ależ proszę bardzo – odpowiedział najczystsza polszczyzną.

I coś jakby iskierka śmiechu zabłysła w jego stalowych oczach.

Poprosiłem kelnerkę o kawę z ekspresu i napoleonkę. Towarzysz przy stoliku patrzył gdzieś ponad moją głowę.

„Jak tu zacząć rozmowę?” – myślałem gorączkowo. Tymczasem Angol dosączał swój koniak...

Gdy kelnerka przyniosła mi kawę i ciastko, szpakowaty zapłacił swój rachunek i wstał wspierając się na laseczce.

– Dziękuję panu za towarzystwo – skłonił się lekko – Panie Samochodzik...

W życiu nie jadłem tak gorzkiego ciastka!



## **ROZDZIAŁ DZIESIĄTY**

**KTO WYNAJMUJE WILLE NA LILIOWEJ • WIZYTA W PIWIARNI •  
FACHURA ZENEK I ŚLAD KOLEKCJONERA • W POŚCIGU ZA JOANNĄ •  
W WĄWOLNICY • ASPIRANT MATYJAS I SIERŻANT ZĄBIK •  
PRAWDZIWA TWARZ „JOANNY” • NAŁĘCZOWSKI RYNEK •  
KAPLICZKA W BZACH • KORONA WŁADYSŁAWA ŁOKIETKA •  
SZEŚCIU REWOLWEROWCÓW W SKÓRACH I MOTOCYKLOWYCH  
KASKACH**

Ciężkim krokiem wróciłem do „Bałtyku”. Zosi i Jacka na szczęście jeszcze nie było.

– Muszę odmienić ten paskudny los! – krzyknąłem. – Słusznie Angol wymienił mój pseudonim. Jestem Pan Samochodzik! Zwycięski Pan Samochodzik! I muszę działać!

Wyciągnąłem kartkę z zapisanym przez Jacka nazwiskiem i numerem telefonu właściciela willi na Liliowej i wykręciłem ten numer. Po kilku sygnałach odezwał się piskliwy, ale niewątpliwie męski głos:

– Słucham?

– Czy zastałem pana Ubocza?

– Przy telefonie. Czym mogę służyć?

– Bardzo spodobała mi się pańska willa na Liliowej. Ponoć pan ją wynajmuje. A tak się składa, że pani Sokołowska – tu wymieniłem zapamiętane nazwisko z jednego z domofonów posesji na Liliowej – jest moją siostrą, chciałbym więc tak w pobliżu...

W piskliwy głos wdarł się zgrzyt:

– Przykro mi, ale nie wynajmę mej willi z dwóch powodów: po pierwsze jest już wynajęta i to opłacona na dwa lata z góry, a po drugie pani Sokołowska nie ma brata – trzasnęła odkładana słuchawka.

Rzuciłem się na łóżko bijąc z wściekłości pięścią w poduszkę. Że też tego nie widzieli moi podopieczni. Dopiero mieliby ubaw! A moi przeciwnicy w walce o korony?!

Zosia i Jacek musieli jednak podejrzewać jakąś moją klęskę, bo podczas obiadu zachowywali się cichutko jak myszki.

– Wychodzę! – burknąłem tylko wstając od stołu, a oni pokornie schylili głowy.

„I dokąd to, Tomaszu?” – pomyślałem i zdałem się na przypadek. Akurat nadjeżdżający autobus wyznaczył kierunek: Liliowa.

Wysiadłem na przystanku na początku ulicy i gdy zastanawiałem się, czy przypadkiem wzorem Jacka nie wdrapać się na świerk, wzrok mój padł na spelunę, zwaną niewinnie „Pijalnia napojów gazowanych i piwa”.

Nienawidzę z całej duszy takich mordowni, ale wiem, że ich bywalcy dość bystrym okiem rozglądają się po otaczającym ich świecie, już choćby po to, by wypatrzyć, co można ukraść. Tak więc z pewnością wiedzą coś ciekawego o mieszkańcach Liliowej, czym – za postawioną butelkę piwa – może zechcą podzielić się z hojnym fundatorem.

Rozchełstałem więc koszulę pod szyją, w kiosku „Ruchu” obok kupiłem paczkę „Klubowych”, z których zaraz jeden nie zapalony wetknąłem w kącik ust i wmaszerowałem do pijalni.

Odrzucił mnie smród piwa i kiepskiego tytoniu, ale bohatersko pokonałem wstręt i potoczyłem się pod bufet:

– Fula proszę!

Bufetowa sprawnie otworzyła przede mną butelkę. Zapłaciłem i z butelką w garści przecisnąłem się do skrawka wolnej półki przy ścianie, pełniącej rolę dodatkowego bufetu.

– Ognia masz? – spytałem chwiejącego się z lekka łysola w granatowym kombinezonie. Strzepnął z palonego papierosa popiół i podsunął mi peta. Odpaliłem. Przede mną była ciężka próba łyknięcia piwa z butelki. Tu wstręt do napoju łączył się z nieumiejętnością tak wytwornego picia.

Zakrztusiłem się i ochlapałem. Na szczęście nikt tego nie widział, bo od razu byłbym podpadnięty. Resztę piwa udało mi się wylać ukradkiem pod ladę. Zobaczyłem, że mój łysy sąsiad kiwa się nad pustą butelką z wielce żalną miną.

– A może by tak po jednym? – szturchnąłem go łokciem.

Spojrzał na mnie z nieufną radością.

– No, co mam tak pić sam jak świnia? Odstawisz, jak będziesz miał? Bysiek jestem.

– Z...zeniu... – wyciągnął do mnie poznaczoną smugami farby łapę.

Usiłowałem oddać jej potężny uścisk i już byłem z powrotem przy półce z dwiema butelkami elbląskiego fula.

Pociągnęliśmy po łyku, który musiał podziałać dziwnie trzeźwiąco na łysonia, bo zapytał:

– A ty tak w ogóle w czym robisz?

„Idź na całość!” – szepnął mój dobro-zły duszek.

– A tak sobie zbieram różne starocie...

– Znaczy, kolekcjoner jesteś? Nie lubię takich, ale ty to jak człowiek, piwo postawiłeś! A jeden taki...

Butelka sąsiada pokazała dno, popędziłem więc po kolejną dla niego, prosząc w myślach: „Duszk, spraw, żeby to o Kolekcjonera chodziło!”

– A jak cię tamten wyrolował? – wyciągnąłem do sąsiada „Klubowe”. Zaciągnął się i popił.

– No bo ja w zamkach fachura jestem, jak rzadko... Co każdy wie. A tu raz taki jeden, dziobaty...

„Beniek!” – pomyślałem.

– ...dziobaty zagaja, żeby kuferek otworzył tu w willi niedaleko. Wieczorem mam przyjść z narzędziami. No to jeszcze wypłem troszkę, pod ryzyko, bo sprawa jakby dziwna taka, ale i grosz dobry za nic, pięć baniek. Wieczór, a ja idę... A tam przed bramą żuk stoi, no i ten dziobaty. Do środka mnie nie wpuszcza, tylko nawija, że skrzynka na żuku leży. I klapę opuszcza. Patrzę, faktycznie skrzynka, no to ja do niej się chcę gramolić. A tu jeszcze jakiś facet, latarnia świeci, że tylko cień widzę. I ten cień do mnie: „Won”. A tak to powiedział, no i byczycho takie, że ja za manele i boczkiem, boczkiem. Tylko jeszcze słyszałem, jak dziobaty się tłumaczył: „Słuchaj, ja cię proszę, nic nie mów Kolekcjonerowi, bo mnie zgnoi!”

Zeniu dopił piwa, musiałem więc dostarczyć mu następną butelkę, ale gdyby było trzeba przyniósłbym i czterdzieści!

Łysy przypiął się do butelki, ale po chwili znowu zaczął:

– A ten drugi, cień, znaczy, tylko: „Zobaczy się. Każe, robi się.” Dziobulec na to: „No, no, ty już zupełnie jak Kolekcjoner gadasz! Nie ze mną takie sztuczki, co on to on, a nie ty, pętaku!” – nawija, ale ja czuję, że portkami trzęsie, przed kimś dużym, ani chybi tym Kolekcjonerem, no to ja chodu parochodu z Liliowej. I teraz tych kolekcjonerów to ja... – czknął – nie lubię... ale nie ciebie, bo piwo... – osunął się pod półkę.

Obejrzałem się. Nikt nie zwrócił uwagi na naszą rozmowę i jej urwane zakończenie. Wyszedłem z piwiarni, oddychając na dworze pełną pierśią i radością. Nareszcie jakiś ślad. Wiem już o Kolekcjonerze, że nawet ze swymi ludźmi, którzy mają szczęście z nim rozmawiać, mówi dziwnymi, krótkimi zdaniami. No i gnieździ się – tylko czy przez cały czas? – na Liliowej.

W wesołym, jakże innym od porannego, nastroju wróciłem do hotelu. Młodzi detektywi czekali na mnie grzecznie. Popatrzyłem na nich uważnie:

– Dla ciebie, Zosiu, nie mam na razie zajęcia godnego twych talentów...

Dziewczyna zachnęła się.

– Ale dla ciebie, mój równie uzdolniony siostrzeńcze, mam niewielkie zadanie...

Jacek podskoczył na łóżku.

– Jestem gotów!

– Nie bądź gotów na coś, o czym jeszcze nie wiesz – nie omieszkałem go skarcić, ale już wracałem do tematu. – Otóż, Jacusiu, wdrapiasz się jeszcze raz na znajomy ci świerk.

– A podnoszące alarm dobermany? – zaniepokoił się chłopak, mimo wszystko aż palący się do udziału w śledztwie.

– Zbliża się wieczór, więc smugi żywicznego powietrza mogą opaść wcześniej na ziemię i, wraz z twym zapachem, nie powinny przedostać się przez mur.

– A jak długo mam tam siedzieć?

– Powiedzmy do dziewiątej. Obawiam się, że to już i tak późna pora, jak na twój wiek. Będę zresztą czekał na ciebie za skrzyżowaniem z Różaną.

– Ależ wujku! – poczuł się urażony w swej dorosłości Jacek. – Proszę tylko o niewielkie fundusze organizacyjne.

– A od kiedy to świerki żądają opłat za wspinanie się na nie?

– Wspinanie się nic nie kosztuje – odparł z niewinną miną chłopak – ale dwie puszki coli, którymi mam zamiar umilać sobie długie godziny czuwania, można nabyć jedynie drogą kupna!

– No to nabywaj i w drogę! – rzuciłem mu pieniądze.

Schwycił je w locie i pogwizdując wybiegł z pokoju, w którym została mi do towarzystwa naburmuszona Zosia:

– A kiedy ja, wujku? – odezwała się płaczliwie. – Ciągłe wlecze się za mną smród tej afery śmietnikowej!

– Oj, dziewczyno – przytuliłem ją – przecież i ja nieźle się w niej umoczyłem, a przecież jestem starszy i bogatszy o tyle doświadczeń w podobnych sprawach! Zamiast biadolić, skocz może lepiej do skrzyżowania i tam z dwieście metrów w lewo. Nie wiem, czy zwróciłaś uwagę, ale zaraz za butikiem jest taka niewielka księgarenka, specjalizująca się w wydawnictwach religijnych. Może będą mieli jakiś przewodnik po sanktuariach, gdzie znajdziemy naszą Wąwolnicę. A ja tymczasem spluczę pod prysznicem odór piwa i papierosów, którym przesiąknęłam chyba do kości.

– Piwa i papierosów? – oczy siostrzenicy pookrąglały ze zdumienia. – Przecież wujek...

Przerwałem jej:

– ...nie pije i bardzo rzadko pali!

– Gdzie więc wujka nosiło?

– Tam, gdzie zdobywa się informacje o Kolekcjonerze! – z dumną miną zamknąłem drzwi łazienki.

Wróciliśmy do pokoju razem: ja z kąpielni, Zosia z zakupów. Położyła na stole grubą księgę.

– Oto *Przewodnik po sanktuariach maryjnych w Polsce*. Spod lady – dodała skromnie.

– Chwała ci za to! – odpowiedziałem, rozsiadając się wygodnie w fotelu. – A teraz czytaj, co autorzy dzieła mają nam ciekawego do powiedzenia o Wąwolnicy...

Zosia westchnęła ciężko, ale posłusznie znalazła opis sanktuarium w przewodniku i zaczęła czytać:

– Wąwolnica leży w północno-zachodniej części Wyżyny Lubelskiej nad rzeką Bystrą, prawym dopływem Wisły... W pośrodku malowniczej doliny Bystrej, na wyniosłej górze zamkowej jeszcze w 1346 roku Kazimierz Wielki zbudował kaplicę (stoi ona obok kościoła parafialnego); to tutaj znajduje się piękna gotycka figura Matki Bożej Kębelskiej. Rzeźba ukazuje Maryję w całej postaci z Dzieciątkiem Jezus na lewym ręku. Najświętsza Panna przybrana jest w suknię i bogato udrapowany płaszcz. Z głowy Jej opada również fałdowany maforion. Dzieciątko siedzi na ręku Matki ze skrzyżowanymi nóżkami i dłońmi opartymi o kolana. Wyraz twarzy Matki Bożej jest ciepły, serdeczny, oczy pełne zadumy patrzą w zamyśleniu w dal. Trzymanego na ręku Syna Maryja ukazuje modlącym się pielgrzymom. Figura o wysokości 85 cm została wykonana w drewnie lipowym prawdopodobnie w pierwszej połowie XV wieku i zalicza się do tak zwanych „pięknych Madonn”. Przypuszcza się, że jest dziełem pochodzącym z pracowni śląskiej lub pomorskiej z około 1400-1420 roku. Artysta nie jest znany.

– Tak więc to niezwykle cenna rzeźba... – wtrąciłem.

– Ze starej, pełnej legend i niezwykłości historii wizerunku Matki Bożej Kębelskiej niezmiernie trudno jest wyłuskać prawdę. Stare kroniki podają, że w roku 1278 szła przez Lubelszczyznę w kierunku klasztoru Benedyktynów na Świętym Krzyżu orda. Czambuł pod wodzą Tambiweka, z bogatym łupem, zabranym po zrabowaniu Lublina, zatrzymał się w drodze oblegając zamek Ottona Jastrzębczyka w Wąwolnicy. Ponieważ Otton przebywał wówczas w Głusku Opolskim, Tatarzy podzielili się: tabory z łupem i jeńcami zatrzymały się we wsi Kębli, oddalonej o kilometr od Wąwolnicy, a wódz Tatarów ruszył na Głusk. Tam poległ w bitwie, a Tatarzy, którzy ocalili, powrócili do taboru pod Wąwolnicę. Wtedy to, jak mówi...

Ostro ozwał się brzęczek telefonu. Schwyciłem za słuchawkę:

– Halo?

– Szybko, wujku! Joanna chyba zaraz jedzie gdzieś swoim audi. Widziałem, jak wrzuciła do niego walizkę. O, właśnie mija moją budkę telefoniczną! Bierze kierunek na Gdańsk! Co robić?

– Czekaj na mnie! Zaraz tam będę!

– Co z Joanną? – zapytała Zosia, przysłuchująca się mojej rozmowie z Jackiem.

– Coś mi podszeptuje, że jedzie do Wąwolnicy! Zbieraj się! – krzyknąłem na siostrzenicę pakując swoje drobiazgi. Chwila i już byliśmy w wehikule.

– Nie przejmuj się! Na trasie dogonimy piękną panią Joannę – pocieszałem prawie płaczącą Zośkę. Jeszcze chwila i skrzyżowanie Liliowej z Różaną. Jacek wskoczył do wozu, nim zdążyłem zahamować.

– Gazu, wujku!

Staralem się jak mogłem w wieczornym tłoku i wciąż z obawą, że kontrola radarowa może zatrzymać nas na dłużej. Wreszcie byliśmy za Gdańskiem z jego osiedlami-satelitami.

Tu już postanowiłem nie liczyć się z niczym.

– Dociągnijcie pasy – powiedziałem tylko, bo wyposażylem wehikuł w pasy także z tyłu. Rodzeństwo wpatrywało się jak urzeczony w prędkościomierz, na którym strzałka przekroczyła dziewięćdziesiątkę i wciąż pięła się wyżej, a silnik tylko cicho pomrukiwał.

– O kurczę! – wyrwało się Jackowi, gdy tylko śmignęliśmy koło sirocco.

– Jej! – Zosia potwierdziła wyprzedzenie kolejnego mercedesa.

Pędziliśmy dalej, zwalniając tylko przed każdym czerwonym i wyglądającym na combi wozem, co było coraz trudniejsze w zapadającym mroku. Ciemność miała jednak tę zaletę, że skrywała jakże charakterystyczny kształt mojego wozu...

Obliczałem sobie, gdzie już powinna być Joanna nie niepokojona przez nikogo, dodawałem naszą stratę czasu... No i ten niepokój, czy rzeczywiście ona jedzie do Wąwolnicy!...

– O! – krzyknęła Zosia, gdy mijaliśmy skrzyżowanie z szosą do Morąga. Jakiś ciągnik zablokował przejazd i widać było wyraźnie ruszające ze skrzyżowania czerwone audi-combi. Podjechałem do niego na długich światłach, udając kierowcę-chama, ale w ten sposób byliśmy ukryci przed wzrokiem kierowcy audi, a przecież mogła być nim Joanna!

– Do kitu! – jęknął Jacek, sprawdzając na kartce. – Numery się nie zgadzają.

– Czy skok robi się na prawdziwych numerach? – spytałem.

Podjechałem jeszcze bliżej audi i, korzystając z oślepienia jego kierowcy, jako że halogeny mam, daj Boże każdemu, przyjrzałem się kierowcy. Audi prowadziła blondynka!

– A więc, jako że dziś jest dzień założeń, zakładamy, że przed nami jedzie pani Joanna Złotnicka – przełączyłem światła i zwolniłem, aż audi oddaliło się na sporą odległość.

– Ale że ten wujka wehikuł... no, no... – pokręcił głową Jacek.

– Już nigdy nie nazwę go gratem! – zapewniła Zosia.

– I słusznie – przytaknałem. – Ferrari to nie najgorsza z marek. A ten samochodzik, od którego wziął się mój pseudonim, kryje jeszcze w sobie kilka niespodzianek.

– Jakich?! – zakrzyknęło chórem rodzeństwo.

– Zobaczycie to w swoim czasie. Jak niespodzianki, to niespodzianki! – zaśmiałem się i poklepałem kierownicę wiernego wozu.

I tak to sobie jechaliśmy raz bliżej, raz dalej domniemanej Joanny, aż wreszcie zobaczyliśmy, że włączyła kierunkowskaz i powoli podjechała pod rześcicie oświetloną stację „Statoi”.

– Można by zobaczyć, czy to ona, jak będzie tankować! – gorączkował się Jacek.

– A ona zobaczy, że to my – z rezygnacją westchnęła Zosia. – Jak tu podjechać pod te światła!

– Chyba, że tam, za śmietniki – odparł Jacek. – Możemy się zresztą podkraść, bo pokazywać się jej nie powinniśmy. Pewno bardzo by się zdziwiła, widząc nas tak daleko od „Bałtyku”!

– Nie zdążymy, już podjeżdża pod dystrybutor! – zawołała Zosia.

– Zdążymy – odpowiedziałem spokojnie. – Podjedziemy.

– Ale tam jest zaorane pole!

Nic już nie mówiąc zgasilem reflektory i włączywszy napęd na cztery koła wjechałem w bruzdy, dużym półkolem okrążając stację. Zosia i Jacek tylko wzdychali z podziwu. Gdy było już niedaleko do śmietników zatrzymałem się:

– A teraz biegnij! – rozkazałem Jackowi.

Popędził w kierunku pojemników, jakby go ktoś ścigał. Stał tam przez chwilę i już biegł z powrotem, potykając się o bruzdy.

– Wujek to ma wycucie! Joanna w całej swej piękności! Temu co obsługuje, to aż benzyna przelała się ze zbiornika, tak się na nią zapatrzył. Jeszcze jakieś nieszczęście gotowe!

– zakończył ze śmiechem.

Odczekaliśmy, aż audi odjechało ze stacji i sami podjechaliśmy zatankować. Trzeba przyznać, że obsługa była nieco zdziwiona, widząc samochód podjeżdżający nie od szosy, a od pola za śmietnikami.

Dogonienie Joanny nie było żadnym problemem. Stawał się nim przejazd przez Warszawę: nie mogliśmy się tu trzymać blisko audi, bo Joanna dostrzegłaby nas w świetle latarni; nie mogliśmy się trzymać daleko, bo zginęłaby nam w gąszczu pojazdów.

Cóż, trzeba było po raz trzeci tego dnia „zrobić założenie”, że ja, warszawiak, znam najkrótszy przejazd przez stolicę na szosę lubelską, którego nie wskazują oficjalne drogowskazy. W połączeniu z dużą i, co tu ukrywać, nieprzepisową prędkością, powinno to nam dać wystarczającą przewagę nad Joanną. Pozostawało nam tylko wyjechać za Warszawę, zacząć się, by mój wehikuł nie rzucał się w oczy, i czekać. O ile tylko nie zawiedzie nasze założenie i Joanna nie zapragnie zatrzymać się w stolicy na przykład u jakichś przyjaciół...

Minęła jedna godzina, potem druga... Minęło nas jedno czerwone audi-combi, drugie, trzecie... Komary z całą satysfakcją wbijały w nas swe kłujki, gdy tak czailiśmy się w rowie na ostrym zakręcie, gdzie samochody musiały zwalniać, a my mieliśmy trochę czasu, by spojrzeć na kierowców, oświetlonych latarnią z pobliskiego sklepu.

Wreszcie poczułem, jak paznokcie Zosi wpijają mi się w ramię:

– Jest!

Rzeczywiście, to była Joanna.

Popędziliśmy do ukrytego w krzakach wehikułu. I znów jechaliśmy wpatrzeni w światła pozycyjne audi. Nic więc dziwnego, że wkrótce moich podopiecznych ogarnął sen.

A ja, tak jak każdej z ostatnich nocy, zostałem sam z nieprzyjemnymi myślami. „Och, Joanno, Joanno!” – wołałem w duchu. – „Ile bym dał, żebyś to nie ty jechała w tamtym audi, żebym to nie ciebie podejrzewał i śledził!”

Kolekcjoner... Nie, nie, o nim nie chciałem i nie mogłem myśleć! Ogarniało mnie już zmęczenie z powodu piątej godziny za kierownicą i tego nieustannego wpatrywania się w czerwone światełka, czy aby gdzieś nie znikną.

Nagle mignął kierunkowskaz, światełka zwolniły swój bieg i zjechały z szosy. Z prawej ukazał się znak parkingu. „A więc Joanna też jest zmęczona, a może czeka ją aż tak trudny dzień? Zresztą to już niedaleko. Niedawno minęliśmy tablicę z napisem: «Markuszów 20 km». W Markuszowie trzeba zjechać z szosy lubelskiej na tę do Nałęczowa. A stamtąd już tylko cztery kilometry do Wąwolnicy. Czy tam dokończę pojedynek z nieuchwytnym Kolekcjonerem? Czy znów wystrychnie mnie na dudka? Nie śpieszysz się do Wąwolnicy, Joanno?... Zresztą po co? O tej porze ani nie wynajmiesz złodzieja, ani nie wejdiesz do zamkniętego na cztery spusty kościoła, chyba żebyś ty sama?... Ależ skąd! Owszem, »nadać« robotę, ale samej brudzić piękne rączki?...”

Zjechałem na pobocze szosy, lecz cóż, zasnąć nie mogłem! Przecież w każdej chwili Joanna mogła ruszyć dalej!

Otworzyłem okno, by choć trochę orzeźwić się świeżym powietrzem. Świtało. Nad polami niosło się miarowe podzwanianie pliszki, najwcześniej chyba budzącego się ptaka. Gorzko pachniały zioła.

Minęły dwie godziny. Coraz częściej, zaczęły przejeżdżać szosą samochody, ale wciąż jeszcze panowała taka cisza, że z łatwością usłyszałem, jak daleko w przodzie zagrał rozrusznik auta Joanny. Zobaczyłem, jak wyjeżdża na szosę.

Czas i nam było w drogę! Trąciłem Zosię i Jacka. Ostatecznie nie tylko ja tu się muszę męczyć! Chińczycy powiadają, że cierpienie przeżyte do spółki boli o wiele mniej. Sądzę, że niewyspanie także! Szturchnąłem więc moich podopiecznych po raz drugi, aż zaczęli wiercić się w uprząży pasów, mamrocząc i poziewując. Ja tymczasem musiałem ostro dodać gazu, by znów ujrzeć przed sobą czerwony tył audi.

– Dzień dobry – mruknął Jacek – Nie uciekła?

– Nie – odpowiedziałem tłumiąc ziewnięcie.

– To wujek nie spał? – zatroszczyła się Zosia.

– Ktoś nie śpi, aby spać mógł ktoś – wyrecytowałem. – Na przykład detektywi-śpiochy. Już śladu by po pani Joannie nie zostało, gdyby nie wujek-antyk!

Minęliśmy Kurów, a w Markuszowie audi Joanny ostro skręciło w prawo, na szosę nałęczowską. Dwanaście kilometrów kiepskiego asfaltu i powitało nas słynne uzdrowisko.

Po prawej stronie dostrzegłem dziewiętnastowieczną chyba opustoszałą rudere z obszernym podwórkiem. Jeszcze raz rzuciłem okiem za oddalającym się audi i skręciłem w podwórko, kryjąc wehikuł za resztką muru.



– Co wujek robi, przecież tamta kobieta!... – zapiszczała Zosia.

– ...tamta kobieta może zatrzymać się w Nałęczowie, choćby na poranną kawę i nadziejemy się na nią, a błąkanie się po bocznych uliczkach nie pasuje mi tak jak postanie sobie tutaj. Wiemy, że Joanna jedzie do Wąwolnicy. I domyślamy się, że chce tam znaleźć chętnych do obrabowania miejscowego sanktuarium. Ponieważ rekrutuje swoich najemników spośród pijaczków, musi odczekać, aż takie typki wyleżą z domów. No, i muszą osiągnąć pewien stan nasycenia alkoholowego albo stan takiego braku alkoholu, że miła im będzie myśl o każdej sumie; bo sądzę, że Joanna oferuje jakieś niewielkie zaliczki. Mamy więc jeszcze sporo czasu i musimy się teraz zastanowić, jakie działania podjąć, aby skutecznie „uziemić” piękną panią, a może i Kolekcjonera.

– Zameldujemy o wszystkim policji! – zawołała Zosia.

Brat jej ziewnął ponuro:

– A ty w kółko byś tylko meldowała i meldowała! O czym tym razem chcesz zameldować? Na czym to uroczą panią Joannę mają schwytać? Na krajoznawczej wycieczce? Czy na chęci podleczenia serca w słynnym uzdrowisku? Jeszcze jeden tak genialny twój pomysł i ja tu będę musiał się leczyć!

– Obawiam się Zosiu, że Jacek ma rację – dodałem kiwając smutnie głową, w tej chwili bowiem żaden dobry pomysł mi do niej nie przychodził.

Królestwo za szklankę kawy!

– Wiecie co, moi drodzy? Przejdźcie się, tylko dyskretnie, do centrum Nałęczowa, zajrzyjcie na parkingi, ale ostrożnie! Jeśli nie będzie nigdzie audi pani Joanny, to znak, że już działa w Wąwolnicy. Jeśli natomiast jej wóz gdzieś stoi, to mamy szansę ją wyprzedzić, choć daję słowo honoru, że nie wiem po co! No, ruszajcie, bo to kawałek drogi, a ja tymczasem...

– ...a wujek tymczasem pomyśli – wtrąciła się z nadzieją w głosie Zośka.

– A wujek tymczasem się zdrzemnie! – ziewnąłem smakowicie.

Moja dwójka wymaszerowała z podwórka, już teraz czając się jak Siuksowie na wojennej ścieżce.

Uśmiechnąłem się i zapadłem w sen, w którym brałem ślub z Joanną, a dyrektor Marczak był pierwszym drużbą. Joanna miała diadem z Janisławic na głowie, a Angol z „Grandu” swoją hebanową laseczką dyrygował *Marszem weselnym* Feliksa Mendelssohna. Na pierwszych skrzypcach w orkiestrze grała aspirant Gogolewska, a na tubie śledczy z Komendy Wojewódzkiej w Gdańsku. Płatki kwiatów sypali pod nasze nogi oczywiście Zosia i Jacek.

Oczywiście – bo właśnie oni przeleźli ze snu do rzeczywistości i z wielkim hałasem gramolili się do wehikułu.

– Teren czysty, wodzu! – zsalutował Jacek. – Z jednym wyjątkiem.

– Przepatrzyliśmy centrum i wszystkie przyległe doń parkingi – pochwaliła się Zosia. – Dopiero przed jedną kawiarenką, w bocznej uliczce znaleźliśmy poszukiwane przez nas audi.

Podkraǳłam się do okna, wujku! I co zobaczyłam: pani Joanna siedziała nad kawą, chyba drugą, albo ktoś był z nią, bo na stoliku stały dwie filiżanki. Tak więc ona siedziała...

– Trudno żeby stała! – wtrącił Jacek.

– Daj spokój! No więc siedziała i notowała coś ważnego, bo aż przygryzła wargę! – triumfalnie zakończyła swoją relację Zosia.

Znałem już ten grymas. Widziałem go choćby wtedy, gdy demaskowałem falsyfikaty w antykwariacie obu pań. Sprawa więc wyglądała rzeczywiście poważnie.

Spojrzałem na podopiecznych:

– W drogę. I to szybko!

– W drogę? Dokąd? – zdziwiła się Zosia.

Oстрыm łukiem wyprowadziłem wehikuł z kryjówki na szosę:

– Do Wąwolnicy! Mamy szansę wyprzedzić Joannę i spróbować dogadać się z tamtejszą policją!

– Wujek wierzy w to dogadanie się? – skrzywił się Jacek.

Skinałem głową:

– Mimo wszystko nigdy nie traciłem wiary w tak zwane organy ścigania.

Rodzeństwo popatrzyło na mnie spod oka.

– Tylko niech wujek raczej omija centrum! – pośpieszyła z radą Zosia. – A nuż pani Joanna postanowiła zmienić lokal... i akurat przejeżdża środkiem miasta, na wszelki wypadek bacznie rozglądając się dokoła?...

– A niech się rozgląda, ile tylko zechce! – szarpnąłem kierownicą i z piskiem opon wpadliśmy w boczną uliczkę. – Byle tylko na zachód, a dojedziemy kiedyś do wąwolnickiej szosy! – zawołałem dziarsko.

Dojechaliśmy, przeskakując w pędzie mostek nad Bystrą. Szosa lekkimi zakrętami miękko układała się pod koła.

Zalśniła świeżą bielą tablica z napisem „Wąwolnica”. Spoza pobłyskujących w słońcu dachów domów wypiętrzała się wyniosła wieża kościoła.

– To tam – sapnął z emocją Jacek – w parafii świętego Wojciecha.

– Nie tam, ale w kapliczce obok – poprawiła brata Zośka.

Pierwszy z napotkanych mieszkańców Wąwolnicy, która od XIV do XIX wieku miała nawet prawa miejskie, wskazał nam, prościutką zresztą, drogę do posterunku policji.

Podjechaliśmy tam wolno, rozglądając się ostrożnie, czy gdzieś nie czai się czerwone audi. Na szczęście wszędzie panował tylko zwykły poranny ruch dużej wsi. Na murku przed posterunkiem rudo-biały kot starannie oblizywał łapę.

Komendanta posterunku policji w Wąwolnicy – jak się nieco później dowiedzieliśmy – aspiranta Matyjasa, zastaliśmy za biurkiem. Wykrzywiony z bólu zamaczał kciuk lewej ręki w parującym kubku.

– Obiera mi to świństwo! Moczę je więc w szafwii i krwawniku – poinformował nas, zanim zdaliśmy sprawę, z czym przychodzimy.

Dopiero potem spojrzał na nas uważnie i prawą ręką przyglądził sumiastego wąsa, zdobiącego jego pucułowate oblicze:

– A państwo?...

Wylegitymowałem się i, możliwie jak najprędzej, nie tracąc jednak nic z istoty sprawy, zdałem komendantowi relację z powodów naszego przyjazdu do Wąwolnicy. Nie ukrywałem też moich nadziei na pomoc miejscowej policji.

– No tak... – westchnął Matyjas i krzywiąc się dolał jeszcze do kubka wrzątku z czajnika.  
– Naprawdę nie wiem, czy my możemy...

– Możemy, możemy, panie komendancie! – usłyszeliśmy młody głos i zza otwartych drzwi szafy ukazał się nam wysoki blondyn w mundurze sierżanta.

– Na tę blondynkę, Joannę czy jak jej tam, dałoby się wykombinować pułapkę. To znaczy już wykombinowałem, słuchając pana. Zresztą, mam zamiar za nią posłużyć – stwierdził stanowczo.

Zosia popatrzyła na policjanta pełnym uwielbienia wzrokiem. Nie bacząc na bolący kciuk aspirant Matyjas uderzył dłonią w stół rozpryskując krople pachnące ziołami:

– Sierżancie Ząbik, czyżby to już drugi szalony pomysł w tym tygodniu?!

Blondyn ściągnął obcasy na baczność:

– Szalony jak szalony, ale jeśli pan komendant pozwoli...

– A co ja mam innego zrobić z takim utrapieńcem... – komendant z widoczną ulgą zanurzył obolały kciuk w parującym kubku.

– No, to ja zaraz wracam! – zaśmiał się Ząbik i wybiegł z pokoju. Nie bardzo wiedziałem, o co tu chodzi, ale każdy sojusznik był nie do pogardzenia. Nawet utrapiony, według słów swego dowódcy, sierżant policji z Wąwolnicy.

Pogwarzyliśmy z komendantem o tym i owym, pilnie jednak wyglądając przez okno, czy nie pokaże się czerwone audi.

Wreszcie otworzyły się drzwi i ukazał się w nich sierżant Ząbik. Umundurowanie jego stanowił spłowiały podkoszulek okryty pikowaną kamizelką, dzinsy krajowej produkcji i sowieckie buty wojskowe. Na muskularnym lewym ramieniu widniały wytatuowane gwiazdki, oznaczające, że ich właściciel już w poprawczaku osiągnął rangę nie byle kogo, tylko „pułkownika”. Sznyty, czyli blizny po samookaleczeniach, przecinające przedramiona, dopełniały całości.

– Ząbik... – wyjąkał zdumiony komendant, pakując bezwiednie całą dłoń do kubka – a ty skąd to...

– Tatuaz to długopis, a sznyty to klej uniwersalny – uśmiechnął się młody policjant. – Ta pani poszukuje kogoś chętnego na włam do kaplicy. Pomyślałem sobie więc, że jeśli pokręcę się w jej pobliżu, to może mi coś zaproponuje?... Stąd ta kamizelka. Mam w niej bardzo czuły

magnetofonik. Własność prywatna! – dodał w odpowiedzi na zdziwiony gest przełożonego. – Myślałem też, czy nie polać się butelką piwa, dla zapachu i lepszego efektu, ale doszedłem do wniosku, że ona będzie bardziej szukać takiego, który na wypicie grosza potrzebuje niż już ubzdryngolonego. Zresztą, kto u pijaczyny zamówi poważną robotę?

Przytaknąłem sierżantowi, nie wyzbywając się jednak do końca pewnych wątpliwości:

– No tak, ale zwykle złodziejka kręciła się przez pewien czas po miejscowości, którą wybrała, zanim upatrzyła sobie wykonawców roboty.

Ząbik rozłożył szeroko ręce zapraszającym gestem:

– A po co ma się kręcić i szukać, gdy już od razu natknie się na faceta w sam raz do wykonania jej planów?!

– I to ty masz nim być? – komendant pokręcił głową i pochylił się nad biurkiem, by podłączyć czajnik do prądu. Napar ziołowy widocznie wystygł.

– A ja! – stuknął obcasami sowieckich buciorów sierżant.

– W tym, co pan mówi, sierżancie, jest dużo racji. Musimy jednak czekać. I to nie wiadomo jak długo. Złotnickiej jeszcze nie ma...

– Właśnie przejechało czerwone audi-combi. Na gdańskich numerach... – siląc się na obojętność powiedział Jacek.

– No to ja pędzę! – krzyknął Ząbik i wybiegł z posterunku.

Miałem nadzieję, że innym niż główne wejściem.

Jacek i Zosia, nie proszeni, rozsiedli się na krzesłach. Dołączyłem do nich. Nie pozostawało nam nic innego, jak tylko czekać...

Że nic nie trwa dłużej niż czas oczekiwania, doświadczyliśmy tego dnia aż nadto!

Wreszcie zgrzytnęły drzwi wejściowe i głos, który zdał mi się co najmniej głosem archanioła, a był tylko barytonem sierżanta Ząbika, powiedział:

– Proszę, pani pozwoli pierwsza!

Poderwaliśmy się z krzeseł, komendant wstał zza biurka: Teraz powoli uchylły się drzwi dyżurki i stanęła w nich...

– Pani Anita! – krzyknęła przeraźliwie Zosia.

– A tak. To ja – kobieta w drzwiach, jakby ścierając pot z czoła, zsunęła blond perukę. Kruczoczarne włosy rozsypały się wokół wybladłej twarzy. Próbowwała się uśmiechać. Ale podeszła chwiejnym krokiem do pierwszego z brzegu krzesła i osunęła się na nie ciężko.

– Melduję posłusznie, panie komendancie – wyprężył się Ząbik – że ta oto pani próbowała zwerbować mnie do kradzieży korony z posągu naszej Madonny. Szczegóły są na tej taśmie – to mówiąc położył na biurku miniaturowy magnetofon wyjęty z kieszeni kamizelki.

– Taśma magnetofonowa nie jest dowodem w świetle naszego prawa – kolory powoli wracały na twarz Anity.

Podszedłem do niej:

– Robiła to pani na polecenie Joanny?

Uśmiechnęła się:

– Kto zamawiał tamte włamania, nie wiecie i chyba się nie dowiecie. A to zrobiłam na złość Joannie. To przecież nie przestępstwo chcieć, by ktoś miał małe kłopoty z policją?

Nie dowiedzieliśmy się od Anity niczego innego prócz tych kilku zdań.

Poinformowano mnie później, że i policja komend wyższych rangą oraz prokurator też na początku nic nie wskórali. Zwolniono Anitę ze względu na nikłość dowodów. Dopiero, gdy... Ale to zupełnie inna historia. Nigdy już jednak nie pojawiła się na Wybrzeżu. Musiała się kogoś bać i to bardzo... A przecież przez kilka następnych lat przebywała pod czujną, choć nie chcianą, opieką...

– Cóż więc myślicie teraz począć? – spytałem moich podopiecznych przy obiedzie, gdy już zdążyliśmy pooglądać i pozachwycać się posążkiem Matki Boskiej Kębelskiej. – Dokąd to zaprowadziła nas Joanna vel Anita?

– Samiśmy się tutaj doprowadzili! – prychnęła Zośka. – Nie pamięta wujek naszych poszukiwań na mapie?

– Ta Wąwolnica to fałszywy trop – poparł siostrę Jacek. – Dziwię się w ogóle, że tamta szajka dała się na niego nabrać, tak jak i my zresztą – skłonił się ku mnie. – Przecież ta Madonna była koronowana tak niedawno, w 1970 roku, więc jak tu o jej koronie myśleć i pisać w tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym roku!?

– No dobrze, dobrze! – przerwałem młodemu. – Jeszcze raz pytam: co teraz?

– Teraz to wujek wie najlepiej, co robić! – uśmiechnęła się moja ukochana siostrzenica.

– Może i wiem – odpowiedziałem uśmiechem. – Wracamy do Nałęczowa, gdzie kurowali swoje serca nadawca i domniemany odbiorca listu. Że o Prusie i Żeromskim nie wspomnę. Będziemy przynajmniej w punkcie wyjścia. Tam rozejrzemy się, gdzie szukać, nazwijmy to tak, „skarbu”.

– Jasne! – Jacek już był gotów wstawać od stołu i pędzić do Nałęczowa. Ledwo go powstrzymałem, aby dokończył przynajmniej deseru.

Im bliżej Nałęczowa, tym więcej furmanek, wozów dostawczych i traktorów z przyczepami nadjeżdżało od strony miasteczka.

– Coś mi się wydaje, że dziś mamy dzień targowy! – zawołałem radośnie. – Gazu, Tomaszu, bo się spóźnimy!

– Spóźnimy? Na co? – zdumiała się Zosia.

– Na niewyczerpane źródło informacji o czasach teraźniejszych, a zwłaszcza minionych, jakim jest rynek! Ze źródłu „Miłość” zaczerpniesz przy innej okazji! No nie patrz tak, naprawdę jest w Nałęczowie taki źródół!

Wcisnęliśmy się wehikułem między dwie furmanki, ku niejakiemu oburzeniu spokojnie dotychczas żujących obrok koni i zagłębiliśmy się między stragany.

Przebiegłem rynek wzdłuż i wszerz, ciągnąc za sobą podopiecznych, zanim wybrałem:

– To tutaj! – oświadczyłem z miną Sherlocka Holmesa, podchodząc do nędznego kramiku ze starociami, za którym drzemał staruszek w maciejówce i o imponująco długiej, białej brodzie.

– Ile pan sobie wieszkuje za to cacko? – pstryknąłem palcem w ozdobny dzwonek do sań.

Starzec otworzył jedno oko:

– Wieszkuje sobie dziesięć złotych, ale jak pan da siedem...

– No, to proszę: osiem! – położyłem na deski monety.

Właściciel maciejówki otworzył drugie oko:

– Pan chyba nie kuracjusz? Bo oni to by z człowieka... – machnął pogardliwie ręką.

– A nie. Z synem i córką – posłyszałem chichot mojej dwójki – włóczę się po kraju w poszukiwaniu ciekawych miejsc. Pan to je pewnie zna tu wszystkie?

– Nie wiem, czy wszystkie. Ale jak tak od małego, najpierw przy ojcu, po wsiach się tłukę już siedemdziesiąty rok, to co mam nie znać?

„Blisko, coraz bliżej!” – zaszeptał mój duszek.

Przełknąłem ślinę:

– A o kaplicy z Maryją, żeby się tak godnie pomodlić było, pan nie wie?

– Ee, to pewnie będzie ta w Wąwolnicy! Sławne miejsce!

– Nie, tam już byłem! Tu musi być jeszcze inna! Słyszałem!

– Inna? Ano, to mi się widzi... to mi się widzi... nie bardzo mi się widzi!

Dołożyłem na deskę monetę pięciozłotową. Oczka starego zabłysły:

– A może to i ta? Pójdzie pan prosto, za tamtym czerwonym domem w prawo i z kolei w lewo, a potem między ogródkami prosto, aż na pola i tak prościutko, prościutko, gdzie będzie kępa drzew. Tam są ruiny zagrody, a zaraz za nimi krzyżówka z drugą drogą. I w bzach kapliczka. Oj, spora to kapliczka, a ludzie do niej, jak majowe, to z daleka schodzą, nawet tacy, którym bliżej do Nałęczowa. Sławne to też miejsce, panie!

Poczułem jak zimna struga spływa mi po plecach:

– Majowe, pan mówi? To tam obraz Matki Boskiej wisi?

– Jaki obraz?! Figura! I to nie maleństwo jakieś, ale prawie jakby prawdziwa Matka Boża stała! W koronie!

– W koronie?! – usłyszałem dwujek Zosi i Jacka.

– No to i my pójdziemy tam się pomodlić! – skłoniłem się starcowi, a głos mi drżał.

Powoli doszliśmy za róg najbliższego straganu i stamtąd biegiem do wehikułu!

Naciskając bez przerwy na klakson wyplątałem się jakoś z gmatwaniny furmanek. Jeszcze dwie ulice i pognaliśmy połą drogą wlokąc za sobą tuman kurzu. Jedno wzgórze,

drugie, tuż na nim kępa drzew, krzyżówka, a pomiędzy ciemną zielenią zdziczałych bzów zaczerwieniły się smukłe ściany kapliczki...

Zahamowałem, wyłączyłem silnik. W nagłej ciszy pól, która wypełniła wnętrze, gdzieś wysoko dzwonił skowronek.

Popatrzyliśmy na siebie i cicho otwierając drzwiczki powoli wysiedliśmy z auta. Dziwne, ale tak zawsze spieszący się ku sensacjom Zosia i Jacek puścili mnie przodem... Przed kapliczką przyklekli na chwilę, a ja nisko pochyliłem głowę...

Gdy podniosłem twarz, moje oczy napotkały wzrok Madonny, tak przepojony spokojem i ufnością, że aż przenikający do głębi.

Wykształcenie mówiło mi, że jest to eklektyczna rzeźba, z przełomu wieków, że wielokrotnie ją od tego czasu przemalowywano i uzupełniano ubytki, ale ten wzrok... jak to się stało, że przetrwał to wszystko?

– Wujku, korona! – usłyszałem szept Zosi.

No tak, omal zapomniałbym o celu naszego przybycia!

Figura Matki Boskiej, prawie naturalnej wielkości, okryta białą suknią i niebieskim płaszczem, na który spływał biały welon w złote gwiazdki, unosiła na głowie złotą koronę o misternej rzeźbie. Niestety, już od podnóża kapliczki widać było, że najprawdopodobniej wycięto ją z blachy i pomalowano złotem, w którym polśniewały okryte kurzem szkiełka.

I znowu pudło! – westchnął Jacek.

Mimo to wspiałem się po stopniach ku figurze. Z bliska kształt korony zdawał się coś mi przypominać... Gdzieś już go musiałem widzieć! Jakiś rysunek, a może tylko opis?...

Wyciągnąłem rękę.

– Nie, wujku! Nie wolno! – krzyknęła Zosia.

Korona poddała się lekko i zdjąłem ją z białego welonu.

Ręce mi drżały. Ostrożnie przetarłem rękawem jedno ze szkiełek... Rozbłysło nagle, zaiskrzyło się!...

Wbiłem paznokieć w pęknięcie w złotolu i warstwy farby pod nim. Szarpnąłem. Gruba łuska odskoczyła z cichym trzaskiem. Pod nią zabłysnął złoty metal...

Złoto!

Pośpiesznie kojarzyłem w myśli kształt, drogie kamienie, złoto, z którego wykonano koronę dla ubogiej Madonny z wiejskiej kapliczki... Wreszcie wszystko ułożyło się w sensowną, ale jakże oszałamiającą całość!

– Zaginiona korona Władysława Łokietka... – wyszeptalem.

Zszedłem z koroną do Zosi i Jacka. Ostrożnie podawali ją sobie z rąk do rąk, ale oczy śmiały się im radośnie.

– No, to wyprzedziliśmy bandytów! – zachichotał Jacek. – Ale co teraz wujek z nią myśli zrobić?

– Chyba trzeba ją włożyć na figurę... – niepewnie odezwała się Zosia.

– Zwariowałaś?! – oburzył się Jacek. – Przecież w każdej chwili może się tu zjawić Joanna, Kolekcjoner czy czort wie kto, a wtedy żegnaj, korono!

– Jacek ma rację, Zosiu! Musimy ją stąd zabrać.

– Ależ to świętokradztwo! – oburzyła się dziewczyna.

– Jeśli traktujesz sprawę w tych kategoriach, Zosieńko – zaśmiałem się – to obiecuję ci, że przekazemy koronę najbliższej kurii biskupiej, czyli lubelskiej, bo obawiam się, że u miejscowego proboszcza nie byłaby bezpieczna. Poza tym wydaje mi się, że korona ta została złożona w kapliczce nie jako wotum, a raczej na swego rodzaju przechowanie, czego dobitnym dowodem jest treść posiadanego przez nas odpisu listu. Właściwe byłoby chyba odnalezienie jego nadawcy lub spadkobierców i przekazanie korony im właśnie.

– Wujek to zawsze! – prychnęła Zośka, ale grzecznie wsiadła do wehikułu. Na wszelki wypadek, przed wyruszeniem w drogę, rozejrzałem się dokoła. Nikogo. Tylko daleko samotny motocyklista dłubał coś przy swojej maszynie.

Jechaliśmy w świetnych humorach. Jacek nucił coś fałszywie, ja trąbiłem czy trzeba, czy nie trzeba, a Zosia przymierzała koronę...

Gdy nagle na szosę, tarasując ją, wytoczył się wóz pełen siana. Kątem oka dostrzegłem popychających go mężczyzn w skórzanych kombinezonach, ale już cały byłem zaabsorbowany opanowaniem wehikułu, który – przysiadłszy z piskiem na hamulcach wciśniętych „do dechy” – leciał bokiem na przeszkodę. Puściłem hamulec i, gdy tylko opony złapały przyczepność, nagłym obrotem kierownicy zawróciłem między drzewa, w rów, o którego ściankę oparliśmy się ze zgrzytem maską wozu.

Dokoła pojazdu było już czterech, a wkrótce sześciu ludzi w skórach i motocyklowych kaskach. Każdy z nich trzymał w ręku rewolwer. Gazowy czy prawdziwy? Mając obok siebie Zosię i Jacka, za których przecież odpowiadałem, nie miałem czasu na takie pytania. Otworzyłem okienko:

– Czego chcecie?

– Dawaj koronę! – machnął rewolwerem facet z czerwoną chustką na szyi.

– Daj mu ją, Zosiu!

Sam wyjąłem koronę z trzęsących się rąk dziewczyny i podałem prowadzycielowi grupy. Nawet się jej nie przyjrzał.

„Musi wiedzieć, co wiozę, ale skąd?” – pomyślałem.

Facet obok niego schował rewolwer... Szczęknął sprężynowiec:

– Tym razem będzie to pana kosztowało nie dwie, a cztery gumki – z tymi słowami poprzebijał opony wehikułu.

– Ja!... – poderwał się Jacek.

– Ty będziesz siedział cicho, jak długo ci panowie każą – zaśmiałem się do niego, no bo co miałem robić?



Prowodyr skinął z uznaniem głową:

– Gratuluję trafnej oceny sił! Jeszcze chwila i już nas nie ma!

Gwizdnął i cała szóstka pobiegła w zarośla, skąd niebawem wyskoczyły z rykiem silników trzy hondy lub yamahy. Czerwona apaszka prowodyra powiewała triumfująco.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

**ŚMIECH JOANNY • CO NAGRANO NA KASECIE • DWIE EKSPERTYZY •  
NOWI WŁAŚCICIELE BIURECZKA I BENTLEYA • WIZYTA NA  
„GOLDEN HIND” • DZIWNY ZAKUP PANI MROCZKOWSKIEJ • SZEF  
BĘDZIE Z WAMI**

Najpierw musieliśmy z Jackiem ochłonąć z wściekłości, a Zosia z rozpacz. Potem należało podnieść wehikuł przy pomocy podnośnika, zapasowego koła i polnych kamieni, a w końcu złapać okazję, którą przewiozło się trzy pozostałe koła do odległych o dziesięć kilometrów Ryków w nadziei, że jest tam czynny zakład wulkanizacyjny... A przez cały czas powtarzać na różne tony i różne głosy: „Skąd Kolekcjoner – bo nie wątpiliśmy, że napadu na nas dokonał jego gang – mógł wiedzieć, co wieziemy?!”

Niestety, na to pytanie nawet ja – przemądry wujek dwójki młodych łodzian – nie mogłem znaleźć odpowiedzi! Zresztą ważniejsze było to, nie jak straciliśmy koronę, ale jak ją odebrać?!

– Może na policję? – nieśmiało zaproponowała Zosia.

– Zosiu, przecież zanim wytłumaczymy co i jak, korona może być już w bezpiecznej kryjówce. Kolekcjoner też myśli, i to jak! – westchnąłem.

– Jej tęskno do sierżanta Ząbika – przyciął siostrze Jacek.

Tak oto w ponurym i poprawianym złośliwościami nastroju dojechaliśmy do Sopotu. I po byle jakiej kolacji zaraz poszliśmy spać. A raczej długo w noc przewracaliśmy się bezsennie z boku na bok.

Przynajmniej ja obudziłem się rankiem w lepszym humorze:

– Pobudka! I do dzieła! Przegraliśmy bitwę, ale jeszcze nie przegraliśmy wojny! Śniadanie, a potem ja w odwiedziny do pani Joanny. Jacek sprawdza, czy bentley nadal parkuje pod „Grand Hotelem”, a potem odwiedza swój świerk. Zosia kupuje sobie Harlequina i pogrążona w jego lekturze czuwa przy telefonie. Nie krzyw się, Zosiu, to naprawdę bardzo ważne stanowisko!

Joanna przywitała mnie, o dziwo, promiennym uśmiechem:

– Witaj, Tomaszu! Zjawiasz się w samą porę! Właśnie miałam ochotę na kawę po brazylijsku! W pięknym tureckim serwisie. Oryginalnym! – roześmiała się na cały głos.

Gdy rozsiedliśmy się w jej buduarze i raczyliśmy się kolejną filiżaneczką wonnej mokki, powiedziałem:

– Wiesz, ten Kolekcjoner... Spróbuję dzisiaj porozmawiać o nim z Anitą...

– Z Anitą? – śmiech pięknej gospodyni zadźwięczał radośnie, lecz ja słyszałem w nim odrobinę politowania. – Obawiam się, że dziś jej nie spotkasz!

– A jutro?

– Ani jutro, ani nigdy.

– Wyjechała?

– Tak.

– Dokąd?

– Wybacz, ale prosiła mnie o dyskrecję! I znów śmiech...

– Joanno! – usłyszeliśmy z dołu głos pani Mroczkowskiej – pozwól na chwilę...

– Przepraszam, Tomaszu! – Joanna uśmiechnęła się raz jeszcze i zbiegła po schodach.

Wstałem i z całą rozkoszą historyka sztuki jałem się na pociechę przyglądać mebelkom buduaru. Gdy zatrzymałem wzrok na toalecie i ustawionym na niej komplecie przepięknie rżniętych w kryształach flakonów i flakoników, poczułem znajomy dreszczyk na plecach. Oto wciśnięta między wysmukły flakon a złotą ramę lustra tkwiła maleńka kasetka magnetofonowa! Podobna do tej, jaką widziałem w Wąwolnicy u sierżanta Ząbika. Coś – może mój dobro-zły duszek – podkusiło mnie. Chwyciłem kasetę i schowałem ją do kieszeni, po czym wróciłem na kanapę. Był już po temu najwyższy czas. Na schodach słyszałem drobne kroki powracającej Joanny.

Porozmawialiśmy jeszcze trochę o kłopotach antykwariuszy i historyków sztuki; obiecałem swoją pomoc w wycenie mebli zgromadzonych przez Joannę i jej matkę, i pożegnałem się.

Joanna uśmiechała się nadal.

„Skąd wziąć magnetofon, na którym mógłbym przesłuchać tę mini-kasetę? – rozmyślałem, idąc ulicą, gdy rzucił mi się w oczy barwny szyld: „Radio-Audio-Tele! Kupno – sprzedaż!”. Bez namysłu pchnąłem oszklone drzwi.

– Czym mogę służyć? – odezwał się siwawy pan za ladą.

– Przepraszam – wyciągnąłem kasetę z kieszeni – czy znalazłbym u pana sprzęt do tego typu kaset?

– Bywa dość rzadko, bo to sprzęt specjalistyczny – pan spojrzął na mnie spod oka, ale akurat mamy magnetofonik Sony...

– Proszę pana! – przerwałem sprzedawcy. – Przyznam się, że wcale nie myślę o kupnie, zresztą nie byłoby mnie stać na takie cacko! Chciałbym tylko przesłuchać tę kasetkę – uśmiechnąłem się z zażenowaniem. – Wie pan, sprawa małżeńska...

Starszy pan pokiwał głową ze zrozumieniem:

– Ależ proszę bardzo! Tam jest kabina, gdzie będzie mógł pan wysłuchać kasyty bez skrepowania...

Wszedłem do kabiny starannie zamykając za sobą drzwiczki. Wcisnąłem guziczek „play”...

„Mów” – usłyszałem suchy, bezdźwięczny, niski głos. „No to, szefie, zrobiłem jak było umówione!” – szybko wyrzucił z siebie drżące słowa drugi głos. – „Wziąłem od nich sto tysięcy zielonych i wypłaciłem po wczorajszym kursie minus tysiąc. Wracam na metę i do testerów. W jednym dobre, w drugim dobre, a dopiero w tym nowym japońcu wychodzi, że fałszywki!...” „Kto” – pauza – „dał” – w niskim głosie, który nie pytał, tylko jakby stwierdzał, pobrzmiął dziwny akcent. „Rudy z Oliwy” – odpowiedział przestraszony – „ich nagrał”. „Znajdź” – zadudniło głucho. – „Robi się, tylko...” „Twoja wina” – aż poczułem chłód od zimna tego głosu. „Ale szefie! Tyle forsy!” – pauza. „To Rudy odda” – przeciągnął martwy głos. „Rudy to kozak, nie posłucha mnie. Ma Ukraińców!” – długa cisza. „Powiedz: »Kazał Kolekcjoner«” – zabrzmiało sucho i dumnie. „Ale...” Na to padło krótkie: „Won”.

Nagranie się skończyło.

Usłyszałem więc Kolekcjonera... Ten dziwny głos, przedłużanie sylab, obcy akcent – to już były pewne wskazówki! Żebym miał ten magnetofon chociaż na godzinę!

Z bardzo strapioną miną wyszedłem z kabiny.

– I co, zdradziła? – w głosie sprzedawcy brzmiało głębokie współczucie.

I ono to nasunęło mi pomysł:

– Tak, zdradziła! – odezwałem się gorąco. – Drogi panie, czy, gdybym zostawił u pana mój dowód, mógłbym pożyczyć ten magnetofonik na godzinę? Ja wiem, że to tyle pieniędzy...

Starszy pan popatrzył na mnie uważnie, zajrzał do dowodu:

– Aż z Warszawy tu pana miłość zagnała... No cóż, zaryzykuję! Bierz pan. Sklep jest otwarty do osiemnastej... Tylko nie popelnij pan samobójstwa.

– Serdeczne dzięki!

Wybiegłem ze sklepu czerwony ze wstydu. Naprawdę nienawidzę kłamać!

– Niech mnie pan natychmiast połączy z tym numerem w Warszawie – krzyknąłem do portiera w „Bałtyku” i popędziłem na górę, nie czekając na windę. Wpadłem do pokoju. Jacek już był i poderwał się na mój widok:

– Wujku, jest nowina!

– Zaraz, zaraz!...

Telefon już dzwonił:

– Tak, Pogorzelski...

– Słuchaj, tu Tomasz. Mam do ciebie pilną sprawę. Przesłuchaj, proszę, taką krótką nagraną rozmowę i zwróć uwagę na ten niższy głos. Skąd może pochodzić jego właściciel... Kiedy indziej ci wszystko wytłumaczę! Teraz słuchaj! – włączyłem magnetofon...

– Wiesz, stary – odezwał się po dwukrotnym wysłuchaniu taśmy Pogorzelski – według mojej wiedzy, to nie jest sprawa dla mnie, tylko dla psychiatry. Nagrałeś nie obcokrajowca, a chorego psychicznie...

To musiała być prawda! Ostatecznie werdykt wydał jeden z najlepszych w kraju językoznawców.

Zamówiłem więc drugą rozmowę...

– Tu gabinet profesora Zięby – usłyszałem w słuchawce miły kobiecy głos.

Przedstawiłem się. Profesor na szczęście był u siebie:

– Aa, Tomasz, kopę lat! Czyżbyś miał kłopoty z mózgiem?

Przeprosiłem profesora za ten niecodzienny telefon i przyłożyłem słuchawkę do głośniczka magnetofonu...

– Tomaszu drogi, oczywiście trudno tą drogą wystawiać diagnozę, ale wszystko wskazuje na to, że właściciel interesującego cię głosu jest... jest chory. Chory psychicznie. Cierpi na schizofrenię. To co usłyszałem, wskazuje najprawdopodobniej na autyzm, jeden z jej osiowych objawów...

– Co to znaczy „autyzm”? – spytała Zosia, podsłuchująca wraz z bratem z wielkim zainteresowaniem.

– Najprościej mówiąc, polega on na znacznej przewadze zainteresowania się chorego swoimi przeżyciami wewnętrznymi i utracie kontaktu ze światem zewnętrznym. Żyje swoimi pragnieniami i lękami, swoją wyobraźnią. Jednak na początku choroby łatwe jest sterowanie nim przez inną osobę, z którą przed chorobą był silnie związany. Wpływ ten można nawet porównać ze sterowaniem automatem, o ile utwierdza się chorego w jego urojeniach.

– Ani pani Joanna, ani ci na motorach, ani Beniek, ani też Angol na automaty mi nie wyglądają – podsumował mój wykład Jacek. – A skoro już jesteśmy przy Angolu, to właśnie o nim mam dla każdego coś nowego!

– Nie dowcipkuj, tylko się pośpiesz, bo muszę pojechać zwrócić magnetofon – zresztą nie sądziłem, aby chłopak dowiedział się czegoś naprawdę interesującego. Zimny głos z taśmy zaprzętał wszystkie moje myśli.

– Tak więc – rozparł się wygodnie Jacek, a koniuszki uszu aż poczerwieniały mu z przejęcia – pojechałem pod „Grand” motorynką Józka od portiera; przepraszam, ale znów będę potrzebował od wujka trochę grosza. Okazało się, że dobrze zrobiłem zaopatrując się w ten środek transportu, bo bentley akurat wyjeżdżał z parkingu. Więc ja za nim! A on prościutko do Gdyni, do portu jachtowego. Zaparkował, więc i ja zaparkowałem, koło na łańcuch, i idę sobie spokojnie za Angolem, no bo przecież on mnie w życiu nie widział, więc

nie wie kto i po co. A tam przy nabrzeżu cumuje jachcik cudo. Takie retro, że mi oko zbielało. Mahoń, poszycie zakładkowe, okucia mosiężne, zamiast ściągaczy telrepy, żagle nie dakrony, tylko płótno brunatne. I „Golden Hind” się nazywa, jak okręt tego słynnego korsarza Francisa Drake'a.

– A ty skąd, łodzianinie, tak się znasz na jachtach? – zapytałem nie bez ironii.

– A stąd, że dwa lata chodziłem na kursy modelarskie. Ale nieważne... Ważne, że „Złota Łania” – jak się tłumaczy „Golden Hind” – nosi banderę brytyjską, a nasz Angol wszedł na jej pokład jak do siebie. Zresztą zaraz został serdecznie przez innego Angola przywitany i zaprowadzony do kabiny. I to na razie wszystko, bo na Liliową nie pojechałem. Tak mi się śpieszyło tutaj. Bentley i wytworny jacht... to chyba jasne, gdzie szukać Kolekcjonera!

– Nie tak bardzo, Jacusiu – odpowiedziałem. – Tobie samemu Anglik nie wygląda na chorego psychicznie. Kto więc używa pseudonimu Kolekcjoner i jest chory na autyzm lub udaje chorego? Gdy śledziłem Anitę, dowiedziałem się od taksówkarza, że Kolekcjoner to kawał chłopca. Mamy więc głos i wygląd, do których żadna ze znanych nam osób nie pasuje...

– A może Kolekcjoner ukrywa się na Liliowej? – zastanowiła się Zosia.

– Gdyby tak zajrzeć przez te rolety! – aż zatarł ręce Jacek.

– Zapomniałeś o dobermanach? – zapytałem niewinnie.

Chłopiec otrząsnął się.

– Z tą Liliową to może być dobry pomysł! – pocieszyłem strapione rodzeństwo. – Jednak coś mi nie pasuje. Z obserwacji moich i Jacka, a także zachowania się tamtego taksówkarza, wygląda, że willa na Liliowej jest centrum spotkań gangu. Jaki szef będzie mieszkał w takim miejscu? Żeby przy byle wpadce policja dowiedziała się od razu, gdzie go szukać? Przyjechać, wydać rozkazy, odebrać fanty, czyli łupy, i zniknąć jak najszybciej, to zachowanie godne Kolekcjonera! Nawet jeśli jest chory i przez kogoś sterowany, to ten „opiekun” musi tak samo dbać o bezpieczeństwo swoje i Kolekcjonera... No nic. Ja muszę jechać do Wrzeszcza z magnetofonem, Ty, Jacku, zajrzyj jeszcze raz do portu, czy jacht nie odpłynął, po drodze sprawdź bentleya, no i na świerk... A ty, Zosiu...

– Czuwaj przy telefonie! – wtrąciła rozżalona.

– Jeszcze raz ci powtarzam, że to ważna funkcja – pomachałem jej ręką od drzwi.

Właściciel sklepu „Radio-Audio-Tele” przyjął mnie z nieukrywaną radością – dowód osobisty dowodem, ale takie elektroniczne cacko sporo kosztuje. Uraczyłem go barwnym opowiadaniem o perypetiach z niewierną żoną, którego wysłuchał z wielkim zainteresowaniem i przyjemnością. Ale, niech tam! Zasłużył swoim zaufaniem choćby na kilka ciekawostek!

Miałem już wracać do kolejki, ale nogi poniosły mnie prosto na Główną. Zatrzymałem się dwa domy przed antykwariatem Joanny i zacząłem się uważnie przyglądać tej części willi, w której się mieści.

Od frontu obie połowy willi nie różniły się od siebie. Skrzyłem więc w boczną uliczkę, skąd mogłem widzieć w półkryte za murkiem tyły budynku. I tu od razu rzuciło mi się w oczy, że część należąca do Joanny i jej matki posiadała coś na kształt niewielkiej dobudówki bez okien... Przecież musiałem ją widzieć już wówczas, gdy Joanna pokazywała mi garaż ze stojącym w nim jaguarem!

No, ale dlaczego miałem wtedy zwrócić na nią uwagę? Dlaczego zrobiłem to teraz? Czyżbym podejrzewał, że czai się tam ów Kolekcjoner, trzymający w swych mackach tak licznych gangsterów, jak i swoją siostrę, i matkę? Gnieździ się w przybudówce bez okien? On, który obraca miliardami? Bzdura!

Wyszedłem na Główną i spojrzałem w stronę antykwariatu...

Stał przed nim bentley! Że to „nasz”, nie miałem wątpliwości! To bardzo rzadka w tych stronach marka samochodu. Jeździ nim zresztą sam ambasador Wielkiej Brytanii w Polsce. A poza tym, daleko w perspektywie ulicy dostrzegłem chłopaka na motorynce. Jacek!

Nie chcąc mu płoszyć zwierzyny cofnąłem się co prędzej w uliczkę. W samą porę! Bo już po chwili bentley przejechał Główną z cichym szumem, a za nim, z donośnym warkotem, popędziła motorynka.

Tym razem czekaliśmy na Jacka długo. Nareszcie zatupotało w korytarzu:

– Ale numer! – zawołał chłopak już od progu. – Wujku, ten gość od bentleya – nawiasem mówiąc nazywa się John Harris, czego wywiedziałem się na parkingu – coś kombinuje. No bo pojechał, już nie wypożyczonym polonezem, ale bentleyem, do pani Joanny. Od niej wyniósł jakieś małe biurko czy coś w tym rodzaju – nie wiem, bo stałem daleko; załadował do bentleya i pojechał do portu. Tam z mebelkiem pod pachą powędrował sobie, nie zatrzymywany przez żadne straże czy celników – widocznie tak można – na jacht. Po chwili wyszedł z kabiny i potupał do swej limuzyny... Aha, bym zapomniał! Przecież w drugiej ręce niósł walizkę, niewielką, ale zawsze... No i tą swoją limuzyną z powrotem do pięknej antykwariuszki. Jak wysiadł, to miał w ręku dyplomatkę. Wyszedł zaraz i... drogi wujku... już nie do bentleya, tylko ulicą i piechotką, póki nie złapał taryfy. I już nie do „Grandu”, tylko na „Golden Hind”! A obserwacje świerkowe nic nie dały. Bo tam puchy: ani wozów, ani ludzi, tylko dobermany na stanowiskach, ale my nie kynolodzy i nie one nas interesują. Howgh!

Postanowiłem i ja odwiedzić „Złotą Łanię”. Raptem wydało mi się, że próbka gry w otwarte karty może naprowadzić na nowy ślad. Wyruszyłem do Gdyni.

Jacht „Golden Hind” rzeczywiście musiał budzić ukłucie zazdrości i podziwu w sercu każdego żeglarza, którym byłem i ja, na Neptuna! Nie zdążyłem jednak nasycić oczu pięknym jachtu, gdy z jego kabiny wynurzyła się znajoma twarz Johna Harrisa, tym razem przysłonięta daszkiem żeglarskiej czapki.

– Ach, witam, witam pana! – zsalutował elegancko. – Proszę na pokład! Coś mi mówiło, że się jeszcze spotkamy!

Niechętnie przekroczyłem trap.

„Ta radość Anglika, podobnie jak i Joanny rano...”

– Miło mi przedstawić panów – przeszedł na angielski. – To mój brat Nigel, a to Tomasz N. – słynny tropiciel złodziei skarbów sztuki, Pan Samochodzik!

– Hey! – mruknął otyły mężczyzna w czarnym golfie i skrył się z powrotem w kabinie.

Usiedliśmy z Harrisem na ławkach w kokpicie. Błyskawicznie w jego rękach pojawiły się puszki z piwem. Odmówiłem grzecznie. Nie zraził się tym i już po chwili trzymałem w dłoni puszkę doskonale zamrożonej coli. Gospodarz wrócił do języka polskiego:

– Pozwoli pan, że zgadnę, co też pana tu sprowadza... – oczy Harrisa zaiskrzyły się śmiechem.

– Proszę...

– Zapewne chodzi panu o szesnastowieczne biurko, a raczej biureczko weneckie, do dziś będące w posiadaniu pani Joanny?

Akurat teraz nie chodziło mi o nie. Śledziłem wzrokiem przelatujące mewy, wdychałem gorzką woń wiatru znad morza i wczuwałem się w leciutkie kołysanie jachtu. Tak to w marzeniach opływałem świat dookoła, z dala od brudów i podłości stałego lądu... Otrząsnąłem się:

– O jakim biureczku pan mówi?

– Panie Tomaszu, niech pan nie będzie taki skromny! Nie wierzę, aby mogło ujść pańskiemu czujnemu oku. Niestety, dla pana, zostało przeze mnie nabyte jak najbardziej legalnie i formalnie...

Przechodzący nadbrzeżem żeglarze i zwyczajni gapowicze aż zatrzymywali się na chwilę porwani urokiem „Golden Hind”. Poczułem, że mimo woli rozpieram się szerzej, a moja twarz przybiera godny, z lekka lekceważący wyraz. Nic, tylko pozowałem na właściciela tego pięknego jachtu! Cóż, nikt z nas nie jest wolny od słabości! Anglik zdawał się tego nie dostrzegać i mówił dalej:

– ...Jako ciekawostkę opowiem panu, jak natrafiłem na ślad tego naprawdę unikatowego mebla, bo pochodzącego ze stworzonego na zamówienie dołów przez Paolo Castagianiego tajemnego gabinetu. Lordowi Redford udało się już zgromadzić wszystkie meble z tego kompletu, z wyjątkiem naszego biureczka. A czym jest niekompletny komplet? Tak więc lord gotów jest dać prawie każdą sumę za ten mebelek. Oo, pani Joanna też wiedziała, ile zażądać! W każdym bądź razie więcej, niż mógł jej zaoferować pewien mój przyjaciel, który na to biureczko się natknął. Niedługo po swym odkryciu, ostro zgrany w karty, postawił adres mebelka jako stawkę. Miałem szczęście wygrać... – Harris wybuchnął śmiechem. – No i teraz odpływam z nim na pokładzie...

– Odpływa pan? – nie ukrywałem zdumienia. – A bentley?

– Jest własnością lady Joanny. Jako część zapłaty za biureczko.

– Część zapłaty?



Harris aż zakrztusił się piwem ze śmiechu:

– Czyżby pan, jako historyk sztuki, nie wiedział, że są meble, za które każda cena wydaje się niska?

– Jacht pańskiego brata nosi imię okrętu sławnego korsarza...

– Powiedzmy: brata i mój. A co do korsarza, to chyba nie muszę panu przypominać, że sir Francis Drake otrzymał szlachectwo z rąk naszej królowej, Elżbiety I.

Odstawiłem puszkę po coli i podniosłem się z ławy. Harris wstał również:

– Tak więc, do widzenia, Panie Samochodzik, bo nie wątpię, że jeszcze się spotkamy. Mam sporo interesów w Polsce, a że działamy w tej samej branży... Ale to w przyszłości, bo dziś wieczorem już odcumowujemy.

– Do widzenia. Choć przyznam, że nie przepadam za korsarstwem, nawet uszlachconym.

– Na wypadek, gdyby pragnął pan powiadomić policję czy celników o mojej transakcji, śpieszę poinformować, że od potomków właściciela tak interesującego pana mebelka mam akt jego własności.

– Ciekawe, dlaczego przyjeżdżał pan wpierw do Joanny wynajętym polonezem?

– Podjazd bentleyem podbiłby cenę. Co innego po odbiór towaru!

Odszedłem już dość daleko od jachtu, a wciąż słyszałem śmiech Johna Harrisa.

Obawiałem się, że wraz ze śmiechem Joanny prześladować mnie będzie długo!

Jeszcze raz próbowałem poukładać wszystko, co wiem w sprawie koron czy też nieuchwytnego Kolekcjonera. Anita wypadła z gry, to jasne. Jej tłumaczenia o złośliwym figlu, jaki chciała spłatać Joannie żaden sąd nie obali. Chyba, żeby rozpoznał ją któryś z najmowanych złodziejasków, ale to wątpliwe. Jeśli nie ma alibi na któryś z dni kradzieży czy przekazania koron?... Ostatecznie nie jest niczym obowiązkiem mieć alibi na każdy dzień w roku. Wystarczy, że spędzi się go samotnie w domu i już alibi brak! Na ile to dni ja sam go nie mam?! Uśpienie mnie gazem na plaży to też chyba robota podległych jej ludzi; a może powiedziała im, że to rozkaz Kolekcjonera. Gdyby wiązać Kolekcjonera z Joanną, tamten napad nie miał sensu. Joanna wiedziała, kim jestem. Chyba, że chciała zmylić ślady... A gdzie szukać muskularnego mężczyzny o niskim, martwym głosie? Harris odpada – nawet gdyby udawał takiego. Łatwo przecież sprawdzić, kiedy był w Polsce. Udała mu się transakcja i znika z biurkiem, o oczywiście pustej już skrytce. Ale jaką wartość ma ukryty w niej dotychczas list, skoro korona Władysława Łokietka jest już w rękach Kolekcjonera?

– Za dużo tego na moją biedną głowę! – jęknąłem, budząc zrozumiiałe zaciekawienie współpasażerów autobusu.

W hotelu Zosia aż podskoczyła na mój widok:

– Wujku! Wujku! Żeby wujek wiedział!

– Jeszcze nie wiem, ale pewno zaraz się dowiem – zażartowałem.

– Oj, nie śmiechy mi w głowie! – oburzyła się dziewczyna.

– Kiedy wujek pojechał do tego Harrisa, to zaraz Jacek polazł na Liliową, na ten swój świerk, bo powiedział: „Mam przeczucie!” A ja? Co miałam robić? Siedzieć tu jak kolek? To pomyślałam sobie, że jeśli wy pilnujecie Liliowej i jachtu, to ja popatrzę sobie na antykwariat i tego bentleya, choć przyznam się wujkowi, że za Chiny nie wiem, jak taki samochód wygląda. Tylko niech wujek tak na mnie nie patrzy! Obiecałam sobie przyglądać się z daleka, żeby tamtym babom nie podpaść.

– Mam nadzieję... – powiedziałem.

– Zajechałam do Wrzeszcza i na Główną... Patrzę, jak sobie obiecałam, z daleka, a przed antykwariatem żadnego samochodu nie ma. Pomyślałam: „To i lepiej, bo jakby stał jakiś obcej marki, to też bym sądziła, że to bentley i może niewinnych ludzi śledziła!” Siadłam na ławce przy budce telefonicznej, takiej z numerem, do której można zadzwonić, no i siedzę sobie. Ale przez pół godziny nikt nie wszedł do antykwariatu ani z niego nie wyszedł. Znudziło mi się to wszystko, pomyślałam więc, że wrócę do hotelu czytać Harlequina i dyżurować przy telefonie, jak mi wujek kazał, a o moim wypadzie do Wrzeszcza nikomu nie powiem. Jeszcze tylko, jak szłam na dworzec kolejki, to sobie po wystawach trochę patrzyłam, bo co Trójmiasto, to Trójmiasto, gdzie do niego Łodzi!

– I... – spróbowałem odwieść Zosię od pobocznych dywagacji.

– I tak idę koło sklepu wodniacko-sportowego, a tu na wystawie kostium kąpielowy, że jej! I wycięty jak należy, i w najmodniejszym kolorze ciemnego lazuru. Kupić, to wiadomo, że nie mam forsy i jeszcze długo na taką pięknotkę nie będę miała! Ale przynajmniej dotknąć, przymierzyć, choć tak, do ubrania... Wujek mnie rozumie?

– Rozumiem, mów dalej – przytaknałem, chociaż ta strona kobiecej natury, jak i zresztą wiele innych, była dla mnie niezgłębioną tajemnicą. „Przymierzyć do ubrania...” Cóż, z tego też widocznie można czerpać radość!

– No więc mówię. Wchodzę do sklepu, a tam elegancja Francja! Każde stoisko z czym innym! Kostiumy to były zaraz za czepkami i okularami pływackimi. Podchodzę i pytam o taki z wystawy, a tu pani – bo taka elegancka, że trudno ją nazwać ekspedientką, choć w stroju jakby sportowym – aż trzy kostiumy przede mną kładzie. I na bok odchodzi, że niby przeszkadzać nie chce. A ten kolor, ten materiał, wujku! No to staram się jak najdłużej nacieszyć nim, pomarzyć, że w takim kostiumie właśnie wychodzę z basenu, a tu...

– Sierżant Ząbik – mruknąłem pod nosem.

– Słucham, wujku?

– Nie, nic. Opowiadaj!

– I wtedy słyszę, że przy następnym stoisku, a tam były takie ubrania od sztormu chyba, jakaś pani pyta: „Czy nie macie większego numeru?” Głos wydał mi się jakby znajomy, spoglądam więc przez ramię: to starsza pani z antykwariatu przebiera pomarańczowe kurtki. I taką dużą trzyma w rękach, a o jeszcze większą pyta. Nie patrzyłam już dalej, oglądany strój

rzuciłam na ladę i chodu! Bo przecież może mnie poznać i wtedy się coś namiesza przeze mnie, jak to było z tamtym mercem i śmietnikiem.

– Nie wracajmy do tego – rzekłam.

– Wyleciałam ze sklepu, ale nagle myślę: „Stop! Przecież ten babsztyl widział ciebie tylko raz i w oczy mu się nie pchałaś! Stań za tą reklamą, twarzą do wystawy, to może uda ci się za panią od antyków pójść i zobaczyć, gdzie to niesie taki nieantyczny towar.” Faktycznie, wyszła i nie zauważyła mnie, bo skręciła w drugą stronę, ale nie zrobiła jeszcze nawet kroku, gdy zahamował przy niej jakiś błyszczący motocykl. Facet na nim był w skórze i kasku z ciemną szybą, a spod kasku wystawała mu czerwona apaszka... Całkiem jak tamten na szosie, wujku!

– Dalej! Dziewczyno, co dalej? – poderwałam się z fotela.

– I ten facet zapytał głośno, bo przez szybę kasku i hałas motoru: „Anglik?”. A starsza pani odpowiedziała też na tyle głośno, że usłyszałam: „Dzisiaj!” Na to tamten jakby pokręcił głową, pani więc podniosła głos jeszcze bardziej: „Szef będzie z wami!” I po tamtym na motorze został tylko smród benzyny. A pani Mroczkowska, wujku, prosto do antykwariatu!

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

**PONURA UKŁADANKA • GANG SIĘ ZBIERA • TAJEMNICA  
ANTYKWARIATU • OSTRZEC ANGLIKA • HARRIS ODPLYNĄŁ •  
PRZYDATNY WALOR WEHIKUŁU • TRZYDZIEŚCI SEKUND DO  
ŚMIERCI • STAĆ, STRAŻ GRANICZNA! • ODZYSKANIE KORONY •  
PRAWDZIWE OBLICZE KOLEKCJONERA**

Gdy Zosia skończyła swoją opowieść, nagle wszystko, nad czym tak bezskutecznie się głowiłem, zaczęło z ogromną prędkością scalać się w ponurą układankę. Jediną niewiadomą była pozycja w niej pani Hanny, ale przypomnienie pozbawionej okien przybudówki jej willi pomogło mi ustawić panią Mroczkowska na właściwym miejscu.

A niebezpieczeństwo grożące Harrisowi? Nie, nie teraz, gdy znajduje się pośród tylu jachtów i wielu ludzi. Zresztą, jak mi się wydawało, „niebezpieczeństwo” – o ile tak to można nazwać – groziło nie jemu, a jego ostatniemu nabytkowi sztuki meblarskiej. Złodziei bardziej urządziła nieobecność braci Harrisów na jachcie.

Zadzwoił telefon:

– Wujku...

– Jacek, skąd dzwonisz?

– Z tego automatu na rogu Liliowej.

– Jaki numer ma ten aparat?

– Chwileczkę, zapisałem sobie: 28-97-86.

– Dobra. Zasuważ na razie na swój ukochany świerk i obserwuj, ale równo za czterdzieści pięć minut czekaj przy aparacie. Zadzwoię do ciebie z Głównej...

Rzuciłem słuchawkę.

– Zośka, zbieraj się! Jedziemy do Wrzeszcza!

Przez całą drogę modliłem się do wszystkich bogów telefonii, by do automatu w pobliżu antykwariatu Joanny też można było zadzwonić, no i żeby był czynny.

I modły moje zostały wysłuchane! Automat działał. Wykręciłem numer Jacka. Odebrał natychmiast:

– Dzwon pod numer 44-75-64! A teraz na świerk! – rozkazałem.

Ukryliśmy wehikuł za narożnym domem i opadliśmy z westchnieniem ulgi na ławkę przy budce telefonicznej. Otarłem czoło z potu. Pomimo zbliżającego się wieczoru upał zdawał się narastać. Resztki wiatru nie przynosiły ochłody, a tylko potęgowały duchotę. Wysłałem właśnie Zosię po lody, gdy zadzwonił telefon w budce. Podbiegłem i chwyciłem słuchawkę:

– Jacek?

– Ano! Zajechały dwie hondy, znajome granatowe BMW i nissan terenowy.

– Kochany, na drzewo i wypatruj jaguara metallic. Postaraj się dojrzeć, kto nim przyjechał i od razu pędź dzwonić!

Mroczało. W bezwietrznym powietrzu nadpełzały od pomocy chmury i ciemnym granatem zasnuły słońce.

Zośka wróciła i raczyliśmy się w pół roztopionymi lodami, oklejającymi nam palce.

Wtedy na wyjeździe z willi Joanny ukazała się srebrzysta maska jaguara. Jednocześnie z antykwariatu wyszła pani Hanna i starannie zamknęła za sobą drzwi. Wsiadła do wozu, który ruszył w górę Głównej.

„Jedźcie na Liliową! Jedźcie, kochane!” – prosiłem w duchu.

Ale długo jeszcze trzeba było czekać, denerwować się, gdy jakiś młodzian akurat korzystał z naszego automatu, aby wreszcie usłyszeć dźwięk jego dzwonka.

– Wujku! – krzyknęło w słuchawce, aż zaświdrowało mi w uchu.

– Jest jaguar! Nie mogłem zobaczyć, kto przyjechał, ale to są co najmniej trzy osoby!

– Skąd wiesz?

– Bo trzy razy trzasnęły drzwiczki.

– No, Jacek, masz głowę! Ale teraz wracaj na drzewo i jakby coś, to dzwoń. Przy telefonie będzie Zośka, bo ja mam małą sprawę do załatwienia!

– A ty się nie wykrzywiaj! – zwróciłem się do siostrzenicy.

– Teraz to naprawdę ważny dyżur!

Pobiegłem w stronę antykwariatu. Oczywiście nie miałem czego szukać od frontu; pani Mroczkowska nie była na tyle uprzejma, by zostawić klucze w zamku. Ale tam, gdzie od wąskiego przejścia między willami odgradzał posesję wysoki mur...

Tak, wysoki! Nie było jak się nań wspiąć. Ale od czego są pojemniki na śmieci?! Przytoczyłem jeden pod mur, wspiąłem się nań i uchwyciłem krawędzi muru.

– Aj! – poczułem, jak ostre szkło wbija mi się w dłoń. Więc tak zabezpieczano się przed nieproszonymi gośćmi! Dużo, zbyt dużo czasu zajęło mi wyszukiwanie kawałka deski. Za to później poszło już sprawnie. Chwila i zeskakiwałem na dziedzińczyk przed garażem. Tylne drzwi willi były zamknięte na solidny zamek, ale drzwi od piwnicy, jak to najczęściej bywa, ustąpiły pod mocnym uderzeniem mego barku. Pobiegłem na górę. Z małego hallu

prowadziło kilkoro różnych drzwi. Jedne wyróżniały się bardzo mocną budową i patentowym zamkiem, w którym, na moje szczęście, tkwił klucz.

Otworzyłem drzwi i wszedłem w ciemność, ledwo rozjaśnioną wąską smugą padającego przez nie światła. Obmacałem ręką ścianę przy drzwiach – pusto. No tak, przecież włącznik światła był na zewnątrz pomieszczenia! Nacisnąłem go i znieruchomiałem w progu... Przed moimi oczyma otworzyła się miniatura rajy miłośnika sztuki. Raju szalonego. Bezcenne meble, nie znające innego ograniczenia dla swej piękności niż wielkość salki, w której beztrudno porozstawiał je czyjś kaprys, dźwigały... nie, unosiły ku wyżynom wspaniałości naczynia w złocie i srebrze, przeniknięte iskrami drogich kamieni.

Gorące, przesycone wonią kadzidła powietrze wespół z uderzającym zewsząd pięknem tamowało oddech. Wzrok gubił się w mrocznej głębi obrazów, które już stąd, z daleka, znamionowały talent największych mistrzów. Zrobiłem krok naprzód i stopy łagodnie pochwyciła miękkość perskiego dywanu.

Przed sobą miałem po lewej złożone łożo z baldachimem, o zmiętej atlasowej pościeli. Po prawej stał rzeźbiony w hebanie stół; obierał się on wółprzewrócony wyścielony tłoczoną skórą fotel. Błat stołu pokrywały stopy kart papieru, pośród których lśniły złote puchary, a z nich wystawały pęki kredek. Kilka kart zaścielało dywan. Podeszedłem i podniosłem jedną z nich.

Nieudolny rysunek przedstawiał wypełniające sobą aż ćwierć karty dziecko, biegnące wśród małych ludzi ku równie dużej jak ono postaci kobiecej, nad którą świeciło żółtoczerwone słońce.

Takiego rysunku się spodziewałem...

Ale czas naglił! Wybiegłem z willi, po drzwiach garażu wspiąłem się na jego dach, stamtąd na mur i skoczyłem na trawę uliczki.

Rozejrzałem się. Wokół panowała cisza. Odetchnąłem z ulgą: nikt mnie nie widział! Popędziłem do Zosi i do telefonu.

Miałem jeszcze czas odpocząć po biegu i kilka razy odpowiedzieć na pytania siostrzenicy krótkim: „Później się dowiesz!”, nim zadzwonił telefon:

– Wujku! – głos Jacka drżał z podniecenia. – Tym jaguarem przyjechał wysoki kulturycha, tak normalnie ubrany, w koszulkę z krótkim rękawem, ale w kapeluszu na oczy... Bawił się na trawniku z dobermanami, a one, bydlaki, do niego jak owieczki! Później zawołała gościa jakaś pani, ale nie wiem kto!

Pomyślałem, że ja wiem.

– I wtedy trzech facetów, jeden to był Beniek, wytaszczyło z willi jakiś podłużny worek – chyba składaną czy nadmuchiwaną łódź. Bo dodali do tego silnik, taki przyczepiony do łodzi. No i to wszystko zapakowali do nissana, i pojechali. A za nimi po cichutku jaguar...

– Dobra! Czekaj przy budce, zaraz po ciebie zajeżdżamy!

– A potem dokąd, wujku?

– Nie gadaj, tylko czekaj!

Uff! Na dworze był upał i wewnątrz wehikułu nagrzało się do niemożliwości. Nie pomagało otwarcie okienek, przez które wpadały do środka wozu strugi rozgrzanego powietrza.

Przepchaliśmy się jakoś przez zatłoczone przedwieczornym ruchem ulice, porwaliśmy Jacka spod budki telefonicznej, gdzie aż przestępował z nogi na nogę ze zdenerwowania, i znów – poprzez uliczne korki – nadużywając klaksonu i zrywności ukrytego w wehikule silnika ferrari, ruszyliśmy w kierunku Gdyni.

– Czyli do portu jachtowego, jak się domyślam – stwierdził Jacek. – Tamci też coś z morzem kombinują, bo po co by im była łódka i silnik do niej?

Przytaknąłem skinieniem głowy.

Na parkingu przed portem jachtowym łatwo znaleźliśmy miejsce, zbliżający się bowiem sztorm – po lądowemu burza – wypłoszył zwiedzających i gości zacumowanych przy nadbrzeżach jachtów.

Należało się śpieszyć, bo mieliśmy już dużą stratę czasu do Kolekcjonera i jego ludzi! Z drugiej strony zastanawiało mnie, po co im motorówka w basenie portowym? Będą raczej czatować na Harrisów gdzieś na wodach Zatoki Gdańskiej, a może nawet dalej. Jeśli pojechali na Hel, to stamtąd mają zamiar wystartować.

Ale czy „Golden Hind” dziś wypłynie? Spojrzałem na niebo. Wypiętrzający się od północy cumulonimbus wraz z tą upalną ciszą dokoła zwiastował potężną chwiejbę. A czy w dodatku warto halsować całą noc pod sztormowy Nord? Chyba, że komuś bardzo się śpieszy... Chyba! Na wszelki wypadek i ja, raczej odruchowo, przyspieszyłem kroku...

Na próżno!

Miejsce „Złotej Łani” zajmował jakiś polski „Nesh”!

Jednak więc Harrisom się śpieszyło!

Szybko ciemniejące niebo przecięła bezgłośna błyskawica. Urwany szkwalik zmarszczył na krótko oleistą wodę basenu portowego. Zadzwończyły fały o maszty na poruszonych nim jachtach.

– Proszę pana – zagadnąłem przechodzącego nadbrzeżem bosmana – kiedy odcumował ten Anglik?

– A będzie z pół godziny temu. I jak to poganiał celników! A przecież wywiesili ostrzeżenie sztormowe...

– Poszedł na silniku?

– Nie, chociaż Nord, tylko patrzeć, jak dmuchnie! Ale on, panie, z tych klasyków, co to bez motoru ich krypy...

– Dziękuję panu! No, dzieciaki, biegiem do wehikułu!

– A wehikułem biegiem po wodzie? – nie omieszkał zapytać Jacek, ale w rosnących ciemnościach posłusznie drobił obok.

Ruszyłem wąską aleją wzdłuż brzegu, szukając pierwszego zejścia na plażę...

– Jest! – krzyknąłem radośnie, skręcając między drzewa. Silnik zawył na wysokich obrotach, gdy spod opon trysnęły fontanny piachu. Włączyłem długie światła. W ich blasku błyskawicznie zbliżało się ledwo kołysane martwą falą morze...

– Co wujek robi?! Potoniemy! – zapiszczała Zosia.

– Rety! – wrzasnął Jacek.

Nie odpowiedziałem. Dodałem tylko gazu i dwa wachlarze wody uniosły się spod maski wehikułu, który, zamiast iść na dno, jak tego oczekiwało po nim mocno przestraszone rodzeństwo, siłą rozpędu płynął naprzód. Przełączyłem napęd, uruchamiając ukrytą w tunelu śrubę, która – nabierając obrotów – odepchnęła nas z rosnącą prędkością od brzegu.

– Jojoj! – z podziwem pokręciła głową Zosia.

Jacek tylko mlasnął z zachwytu.

– Jak widzicie i wehikuły na coś się przydają! – zaśmiałem się, jednocześnie pilnie wypatrując świateł toru wodnego.

Gdy wpłynęliśmy nań, nikogo nie było widać w świetle halogenów. Dla statków było zbyt blisko przybrzeżnych płycizn, jachty uciekły do portów przez tuż, tuż nadciągającym przez mrok sztormem.

– Patrzcie uważnie także na boki! Przy takiej fleucie nie mogli odpłynąć daleko! – zwolniłem obroty silnika, żeby tylko nie przegapić „Złotej Łani”.

Mijaliśmy jedną boję kursową za drugą i nic.

– Przecież nie schowali się pod wodę! – rozzłościł się Jacek.

A właśnie tego zacząłem się obawiać, gdy przypomniałem sobie o motorówce Kolekcjonera...

– Tam z lewej... coś ciemnego! – zawołała Zosia.

Obróciłem kierownicą. Reflektory oświetliły piękny kuter z prostą dziobnicą i bukszprytem wspartym na złotym galionie. Brunatny, gaflowy grot i o takiej barwie fok oraz kliwer zwisały bezwładnie nad ładzonym na zakładkę kadłubem. Złoto lśniły mosiężne okucia.

„Golden Hind”.

Podpłynąłem pod burtę kutra i uciszyłem silnik na wolnych obrotach. Od strony jachtu kołysanego martwą falą dobiegł nas klekot bloków, stukot fałów o drzewce i szotów – puszczonej luzem – o krawędzie ław kokpitu.

– Ahoy, jacht! – okrzyknąłem kuter po polsku, nie siląc się na angielski. Ostatecznie John Harris znał nasz język równie dobrze jak my!

Odpowiedziała mi cisza. Jeszcze raz obwołałem „Złotą Łanię” i nic. Pomimo upału poczułem zimny dreszcz.

– Jacek, wyciągnij spod siedzenia linkę holowniczą, musimy przecież jakoś przycumować nasz pojazd!



Przycumowaliśmy, kazaliśmy Zośce zostać – przed czym jakoś dziwnie się nie broniła – i wskoczyliśmy na pokład jachtu.

– Hej, jest tam kto? – zawołałem, a Jacek na wszelki wypadek czy też dla pochwalenia się, powtórzył moje wołanie po angielsku.

I wtedy z kabiny dobiegło nas coś jakby bulgotanie.

– Zosiu, rzuć latarkę – poprosiłem.

Przyświecając sobie reflektorkiem zeszedliśmy po schodni. Bulgotanie dobiegało wyraźnie z dziobu jachtu. Poświeciłem tam...

Bracia Harrisowie spętani i zakneblowani siedzieli na podłodze, mocno przywiązani do wspornika masztu!

Przecisnęliśmy się z Jackiem z obu stron stołu, aby ich jak najszybciej odkneblować, wydawali się nam bowiem bliscy uduszenia. Gdy tylko opadły kneble, rozległ się polsko-angielski krzyk:

– Tam w zenie przy schodni jest bomba! Szybko! Moment i już dźwigałem w górę właz do zeny... Faktycznie!

Laska dynamitu i zapalnik z urządzeniem zegarowym. Tylko jedna laseczka przymocowana do dennika! Wystarczy, by zatopić jacht i uniknie się zbędnego huku oraz unoszących się na wodzie zbyt wielu szczątków, które mogłyby kogoś niepotrzebnie zainteresować.

Spojrzałem z niepokojem na zegar bomby.

Sześćdziesiąt sekund do czerwonej kropki miała jeszcze wskazówka! Wybiec z kabiny, skoczyć do morza, w locie krzyknąć do Zośki, aby też skakała... A Harrisowie?

Czterdzieści pięć sekund.

Cztery przewody. Który urwać, żeby nie spowodować wybuchu?!

Trzy zielone. Jeden niebieski... A niech tam!...

Trzydzieści sekund.

Moja dłoń spotkała się w szarpnięciu z dłonią Jacka.

Tykanie zegara ustało. Żyliśmy!

Mokra koszulka przykleiła mi się do pleców. Oddychając ciężko oparłem się o właz obok Jacka:

– No, chłopie! – wyciągnąłem do niego rękę.

– No, wujku! – uściśnął dłoń twardo, po męsku.

Rozwiązywaliśmy Harrisów, gdy w pobliżu zaterkotał silnik motorówki...

– Jacek, do wehikułu! – krzyknąłem wybiegając z kabiny i mocując się z węzłem cumującym nasz pojazd. I już pędziliśmy za warkotem wysokoobrotowego silnika oddalającego się ku brzegowi i, niestety, oddalającego się od nas. Po dźwięku sądząc musiał to być świetny silnik, chyba Mercury 1250, który w dodatku pchał lekką, nadmuchiwaną łódź,

a mój ferrari, pomimo całej mocy, musiał pokonywać opór, jaki stawiało wodzie podwozie wehikułu wraz z kołami.

Płynęliśmy tak chwilę, gdy przez warkot silnika przedarł się ostry szum, przechodzący w wycie. Nadlatywał z tyłu maszyny, od pomocy.

„A nich to diabli! Pierwsze uderzenie!” – pomyślałem nie bez niepokoju. Ostatecznie amfibia, którą był teraz mój pojazd, niezbyt nadaje się do walki ze sztormem! Zwłaszcza takim, który uderza w jej najbardziej odsłoniętą część, czyli tył.

W dodatku wiatr północny jeszcze bardziej zwiększał prędkość płytko zanurzonej łodzi przestępców. Chyba, żeby miecione nim bryzgi, bo fale nie zdążą się jeszcze na tyle podnieść, zalały im silnik. Ale Mercury nie na takie niespodzianki jest przygotowany!

I stało się! Jak chłaiście biczem uderzył szkwał! Pod jego naporem na obudowę kabiny dziób wehikułu aż zarył się w wodę!

– Zatopi nas! – krzyknęła Zosia, gdy woda zalała maskę, sięgając przedniej szyby.

Przez moment sam przestraszyłem się i zaniepokoiłem o nasz silnik. Ale ciągnął równo. Nawet reflektory nie zgasły i maska wynurzyła się na powierzchnię.

– Ta to by ciągle się topiła! – dociał Jacek siostrze, ale słycać było, że głos mu drży.

– Spokojnie, szcurki lądowe! – starałem się panować nad swoim. Przyszło mi to tym łatwiej, że przypomniałem sobie widok wieczornego nieba i wypiętrzający się na nim gigantyczny cumulonimbus, sunący na czele zimnego frontu. „Skoro gdzieś tam w ciemności ukrywa się ta chmura, to za chwilę powinien uderzyć przeciwprąd powietrza, jakby zasysanego przez nią. Uderzyć od południa, od brzegu, ku któremu pędzi ścigana przez nas łódź. A gdy dmuchnie porządnie, to lekkość i płytkie zanurzenie jej, które były przy szkвале północnym dodatkowym atutem, teraz będą wadą, motorówka bowiem zwolni pod naporem wiatru bijącego w dziób! Trudno ją będzie utrzymać na kursie, zaś nasz ciężki wehikuł da sobie radę! Trzeba tylko zgasić reflektory, bo gdy będziemy się zbliżać do bandytów, stanowczo to im się nie spodoba i mogą wymyślić coś przykrego dla nas.” Z niepokojem przypomniałem sobie laskę dynamitu na „Golden Hind”.

Jak przewidziałem, szkwał ucichł... Na moment przymknąłem przepustnicę, by usłyszeć uciekającą motorówkę. Na szczęście nie była tak daleko, jak myślałem! I na jeszcze większe nasze szczęście prosto od brzegu uderzył szkwał, równie silny jak poprzedni!

Zanim łotry wylądują na, niestety, niezbyt dalekim już brzegu, powinniśmy być tuż, tuż za nimi!

Tymczasem wycieraczki nie zdążyły zgarniać zalewających szybę bryzgów. Na kierownicy połączonej z naszym maleńkim sterem czułem, jak pokrętne uderzenia wichru, raz w jedną, raz w drugą burtę – bo tak teraz należało nazywać boki wehikułu – próbują znieść nas z kursu. Jeśli tak rzucało nami, to nie zazdrościłem tamtym na nadmuchiwanej dinghi!

Ale i ten szkwał przeleciał.

Jeszcze nie rozkołysane morze pojaśniało, zszarzało jakby od światła nielicznych gwiazd, odsłoniętych przez lukę w chmurach. Od północy zbliżała się ku nim i ku morzu czarna ściana. Słysząc już było powolne dudnienie sztormu i, choć na bezwietrzu, fale zaczęły rosnać, wznosić się i opadać z sykiem białych grzebieni.

Korzystając z chwili względnie dobrej widoczności zaczęliśmy tym pilniej wypatrywać ściganych.

– O, tam coś widzę! – zawołała Zosia wskazując na lewo.

Rzeczywiście, z lewej burty, zaledwie kilka stopni od naszego kursu widać było żółtawą plamę...

Nacisnąłem gaz i... stopa, jakby sama, zsunęła się z pedału.

„Dokąd się tak śpieszę? Z dwójką dzieciaków, nad których bezpieczeństwem miałem czuwać, przeciwko czwórce, na pewno uzbrojonych, bandziorów?”

– Wujku! Wujku, gazu! – krzyczeli podopieczni, ale ja nie przyspieszałem. Bezsilnie patrzyłem, jak żółta motorówka, to ginąc w dolinach, to wyskakując na wierzchołki fal, pędzi do brzegu...

Jeszcze tylko uderzenie przyboju i z wyłączonym silnikiem łódź rozpedem wryła się w piasek plaży.

Wyskoczyło z niej trzech mężczyzn. W łodzi, na dziobowej ławce pozostał tylko jeden w pomarańczowym sztormiaku. Dobrana trójka ciągnęła łódź po piasku, byle dalej od brzegu zalewanego przez coraz wyższe fale...

I wtedy skrzyżowało się na nich światło latarek-reflektorów. Usłyszeliśmy okrzyk:

– Stać! Ręce do góry! Straż Graniczna!

Ci trzej potulnie stanęli z podniesionymi rękoma. Gość w łodzi podniósł się, ale ręce trzymał opuszczone... Zobaczyłem, że jest to potężnie zbudowany mężczyzna...

Więcej nic już nie widziałem, bo dwa reflektory skierowały się i na nas! A z tyłu trzeci, z motorówki, która podkradła się cichutko na ledwo pracującym silniku.

Miałem też inne kłopoty, bo raz po raz koła miotanego falami wehikułu uderzały w dno, aż nami rzucało o szyby. Wreszcie zaryły się w piasek. Mogłem w końcu włączyć normalny napęd lądowy i całą mocą silnika wyrwać się z piaszczystej pułapki przed zatapiającymi nas falami. Z rykiem, niczym przedpotopowy jaszczur, wypęziliśmy na brzeg, prosto pod nastawione lufy pistoletów automatycznych.

Ujrzałem, że trójka z łodzi była już skuta, a dwóch żołnierzy wywlekało z dinghi także skutego olbrzyma, który poddał się im bezwolnie. W ogóle duży był ruch na plaży, a przez wycie sztormu usłyszałem szczekanie służbowego psa.

A potem...

A potem żołnierz wyniósł z łodzi tak dobrze znane mi biureczko, któremu nie miałem czasu się przyglądać, bo już usłyszałem krzyk: „Wyłazić z tej amfibii!” Otworzyliśmy więc posłusznie drzwiczki i wygramoliliśmy się na piasek.

– Panie kapralu! – zawołał jeden z żołnierzy. – Oni i dzieci wożą na przeszkolenie!

Chłód kajdanków na przegubach. Ale co robić? Nie tu i nie teraz będę się tłumaczył! Na szczęście Jacek i pochlipująca Zosia pozostali wolni. Ale wszystkich nas razem popchnięto ku „trójce z łodzi”. Mówię „trójce”, bo czwarty, ten olbrzym, odsunął się na bok, ku granicy światła i cienia.

A my tymczasem rozpoznaliśmy dwóch spośród tego tria: Beńka i kochającego ojca z szarego merca. Przywitali nas jak starych znajomych, bez cienia złości. Jednak to byli, jak to się mówi w ich języku, „rzemiechy” całą gębą!

Boksując po piachu nadjechał policyjny gazik i dwaj oficerowie policji i Straży Granicznej zaczęli na boku o czymś rozprawiać z ożywieniem.

Czekałem.

Wreszcie jeden z żołnierzy zawołał:

– A co to oni za mebelek przytargali? Musi być wiele warty!

– Daj go tu! – krzyknął dowódca. I biureczko stanęło między nami, grzęznąć w mokrym piachu i prawie przewracając się pod naporem wichru.

Któryś żołnierz siadł na nim niefrasobliwie.

– Tak nie można! – krzyknąłem.

– Co mnie będziesz pouczał, bandyto! – odkrzyknął żołnierz i zamajtał sobie w powietrzu nogami.

– On może pouczać, bo się na tym zna! – o dziwo poparł mnie Beniek.

Tu muszę zaznaczyć, że wszystkie rozmowy na plaży odbywały się krzykiem – bo inaczej nie było można w huk narastającego sztormu.

– Tyle szumu o takie cacko? – podszedł do nas oficer Straży Granicznej. – Panowie wypływają bez pożegnania, potem chcą wrócić tak, by nikt ich nie witał...? A o istnieniu radaru to się jakoś zapomniało...? Jak to możliwe, panie szefie? – zwrócił się do mnie.

Beniek wybuchnął śmiechem:

– Zostawcie tego faceta, jak rany Boga! Toż on czysty jak moja koszula w dzień ślubu! I jeszcze dla was robi!

Pogranicznik zawahał się:

– Wszystko się sprawdzi! – zawrócił w stronę gazika policyjnego.

– Jedno możemy sprawdzić już teraz! – wrzasnąłem za nim, ile sił w płucach, by przekrzyczeć wicher.

Udało się, zawrócił!

– Co mianowicie? – odkrzyknął.

– A to! – odepchnąłem tarasującego mi drogę żołnierza i przyklekłem przy biurku. Kajdanki nie przeszkodziły mi obrócić znaną lwią główkę... Cicho trzasnęła sprężyna. Odsłonięta szczelina zaświeciła złotem w świetle reflektorów...

– A cóż to? – odezwały się zdumione głosy mundurowych.

Nie mogłem odmówić sobie triumfalnego uśmiechu:

– Macie panowie przed sobą – sięgnąłem do szczeliny i podniosłem ku górze dłonie pełne misternie rzeźbionego złota i drogich kamieni – nieco uszkodzoną, ale przecież bezcenną, zaginioną przed wiekami, koronę króla Władysława zwanego Łokietkiem! – podałem ją oficerowi policji, bo przecież w końcu odzyskałem to, co mi w bandycki sposób zabrano. Jak piękna i cenna była owa korona dla mego oka, oka historyka sztuki... A jednak moje myśli skupiały się na czymś zupełnie innym. Cóż, koronę znalazłem tam, gdzie wiedziałem, że musi być! Teraz pozostawało do wyjaśnienia jeszcze coś. Czego, gdyby nie wiara w słuszność mojego postępowania, nigdy wyjaśnić bym nie chciał! Ba, pragnąłem się mylić!

Odwróciłem się twarzą od słonego wiatru właczającego oddech w płuca i dławiącego głos, i krzyknąłem z całej siły:

– Pilnujcie dobrze panowie tego dużego, to Kolekcjoner!

Ufali mi już widać trochę, bo od razu dwóch żołnierzy podskoczyło do olbrzyma, któremu wichura zerwała kaptur sztormiaka z głowy i teraz rozwiewała długie rzadkie włosy. Skute ręce nadal zwisały bezwładnie...

– Oo, bardzo prosimy do środeczka, na należne miejsce, panie Kolekcjoner! – widocznie już i Straż Graniczna polowała na niego, pchnięto go bowiem ze złośliwą radością, aż potknął się, prawie padając.

– Zostawcie go! – od drzew rozległ się rozpaczliwy krzyk kobiety. Z mroku wybiegła smukła sylwetka w rozwianym wichurą płaszczu. – Mój syn jest ciężko chory! – między zaskoczonymi żołnierzami przepchnęła się pani Hanna Mroczkowska i doskoczyła do olbrzyma, który przytulił się do niej ufnie.

Objęła go i podniosła wyzywająco głowę:

– To ja jestem Kolekcjonerem!

## ZAKOŃCZENIE

Siedziałem w mojej warszawskiej kawalerce i z niejakim smutkiem patrzyłem, jak Zosia i Jacek porządkują swoje bagaże przed powrotem do rodziców. Cóż, przyznam się, że polubiłem tę dwójkę! Zresztą gdyby nie oni, to nie wiem, czy poradziłbym sobie ze sprawą koron i Kolekcjonera.

Zadzwoił telefon, już drugi tego dnia. Bo w pierwszym dyrektor Marczak złożył mi serdeczne gratulacje z powodu pomyślnego zakończenia sprawy Kolekcjonera, no i odnalezienia korony Władysława Łokietka. Gratulował też i w imieniu tajemniczego hierarchy kościelnego, lecz na moją wzmiankę o obiecanej nagrodzie coś przerwało połączenie; obawiam się, że to dyrektorski palec na przycisku aparatu.

Tym razem, ku memu autentycznemu zdumieniu, dzwoniła aspirant Gogolewska:

– Dzień dobry, panie Tomaszu! Wybacz pan chyba, że zwracam się tak poufale? Mówi Gogolewska...

– Ach, witam panią!

– Może zechciałby pan wpaść do mnie, aby dowiedzieć się w sprawie Kolekcjonera pewnych drobiazgów, które jeszcze nie są panu znane?

– Chętnie, tylko właśnie moi podopieczni...

– Ich także zapraszam!

– A co będzie z dyskrecją, którą nakazuje dobro śledztwa? – dobrze pamiętałem naszą pierwszą rozmowę.

– Ależ, panie Tomaszu, darujmy sobie! No więc, czekam na pana i pomocników.

Pani aspirant zaprowadziła nas do swojego pokoju cała w takich uśmiechach i uprzejmościach, że i nawet ten dość obskurny pokoik wydał mi się przytulny.

– Tak więc Kolekcjoner, a raczej Kolekcjonerka... – splotła palce pani Gogolewska. – Otóż, motywem działania pani Hanny Mroczkowskiej i jej córki była nadzieja na uzdrowienie psychicznie chorego syna i brata. Z tym, że pierwsze skrzypce grała tu matka. Córka wykonywała tylko jej polecenia.

– Podejrzewałam ją od początku – wtrąciła Zośka.

– Panie natrafiły w jednym z czasopism medycznych na ogłoszenie, które zaraz sprawdziły listownie. Clinical Centre w Filadelfii reklamował się, że jako jedyny na świecie jest w stanie wyleczyć każdy przypadek schizofrenii. W tym oczywiście i autyzm. Rzecz tylko w czasie i... pieniądzech. A tu już szło o miliony dolarów. Panie Hanna i Joanna, nie bacząc na wysokość sumy, przystąpiły do gromadzenia funduszy. Stąd owe falsyfikaty w ich antykwariacie! Szybko jednak zorientowały się, że w ten sposób wiele nie osiągną. Jednak traf chciał, że Joanna spotkała swoją dawną koleżankę ze szkoły, Anitę. Ta, podczas zakrapianej suto jak na kobiece głowy kolacji, przyznała się do swoich kontaktów w półświatku, a nawet pośród zwykłych bandytów i złodziei.

– Ułatwiała jej to praca w dyskotecie – zauważył Jacek.

– Wyznanie Anity natchnęło panią Mroczkowską do, na swój sposób, genialnego pomysłu. Wypisała z zakładu leczniczego swego chorego syna, który, co jest częste w przypadkach autyzmu, kochał ją i był jej posłuszny w sposób trudno dla nas wyobrażalny. Był też i jest mężczyzną o potężnej posturze. Wystarczyło tylko, by matka nakazywała mu odpowiednie zachowanie, na które reakcję podwładnych mogłaby odczytać później z taśmy ukrytego w ubraniu syna magnetofonu. Właśnie taką taśmę, przegapioną przez Joannę, pan znalazł, panie Tomaszu. Moje uznanie!

– Dziękuję pani – odparłem skromnie.

– I tak oto w Trójmieście pojawił się Kolekcjoner: potężny, małomówny, pokazujący się tylko wybranym. Jasne, że już samym wyglądem wzbudzał strach wśród werbowanych; miał zresztą i innych, którzy straszili za niego. Dzięki temu i inteligencji pani Mroczkowskiej powstał gang, a raczej sieć gangów, jeśli weźmiemy pod uwagę rozległość działań Kolekcjonera. Najemnicy kradli, fałszowali, wymuszali, a on zapelniał stopy papieru dziecinnymi rysunkami w komnacie, której piękno tak oszołomiło pana, panie Tomaszu. Owszem, zgromadzono to wszystko, bo takie cacka Jaś, zwany Kolekcjonerem, lubił, ale głównie był to magazyn przedmiotów czekających, aż osiągną odpowiednią cenę lub też znikną z pamięci celników i policjantów. Dlatego możliwie jak najrzadziej wynurzał się Kolekcjoner, by odbierać łupy i ferować wyroki. A pieniędzy w tajnej skrytce – już nam znanej – przybywało.

– Kiedy zaczęły się kłopoty? – zainteresowałem się.

– Nieszczęście spadło na „firmę Mroczkowskiej”, że tak ją nazwę, z najmniej oczekiwanej strony. Otóż, Anita, osóbką prymitywna, postanowiła urządzić w gangu Kolekcjonera swoją, powiedzmy, komórkę, która by pracowała tylko na nią. To zarządziła sama, to zasłoniła się rozkazem Kolekcjonera i jakoś szło. A że przy okazji zżerała ją zazdrość o sukcesy swej byłej koleżanki i jej matki, próbowała – jak to się mówi – „podłożyć im świnię”. Stąd owo pojawienie się Joanny i jej wizytówek w miejscach przyszłych kradzieży koron Matki Boskiej. Joanna Złotnicka domyślała się tego, ale była trzymana w szachu przez Anitę, która za dużo wiedziała o jej chorym bracie – „Kolekcjonerze”. Na

leczenie brata należało zdobyć odpowiednią kwotę pieniędzy, tylko to było ważne! A niech tam Anita dorabia na swój rachunek!

– Ma pani oczywiście na myśli korony?

– Przyznam, i pan przyzna, że niemało pomieszało to nam szyki. Bo dziwny to Kolekcjoner, który trzęsie połową Trójmiasta, a łakomi się na, niedrogą właściwie, koronę w prowincjonalnym sanktuarium! A tymczasem Anita pracowała na swój sposób aż do Wąwolnicy!

– To dzięki sierżantowi Ząbikowi... – próbowała wtrącić Zośka.

– Z tymi kradzieżami wiąże się list, który otrzymał pan w tak niecodzienny sposób od Batury, a którego on musiał się wypierać telefonicznie. W tym wypadku spletają się działania Joanny i Anity. Jedna chciała zaszkodzić drugiej. W śmietniku rzeczywiście korona miała być wymieniona na okup – na rzecz Anity. Joanna „nadała” nam całą sprawę, oczywiście anonimowo. Pańska siostrzenica i pan byliście potrzebni, aby odciągnąć od Joanny podejrzenia o kradzież koron w sanktuariach. Batura akurat był przydatny, bo pani Joanna – jak przyznała się w czasie śledztwa – znała go z „branży”. I nawet kiedyś zgadali się na temat runów, które – zdziwi się pan – też w swoim czasie panią Złotnicką interesowały. Stąd wiedziała o waszym zwyczaju takowej korespondencji. Batura jednak dowiedział się o tej próbie wrobienia go i zareagował ostro. A może zresztą naprawdę ubodło go posądzenie o okradanie kościołów?

– Skąd szajka Kolekcjonera wiedziała, że wiozę koronę Władysława Łokietka?

– Po prostu miał pan pecha! Joanna wiedziała o wyprawie Anity przebranej za nią; nie orientowała się tylko, dokąd tamta jechała. Kazała więc swoim motocyklistom śledzić ją. A w pościgu za czerwonym audi nie zwracał pan uwagi na motory! Tymczasem ich kierowcy zauważyli pański wehikuł i przy pomocy telefonu komórkowego poinformowali o pańskiej podróży czy też pościgu pracodawczynię. Ta poleciła im przenieść zainteresowanie z Anity na pana. Zresztą, w ten sposób nie tracili także Anity z oczu. Kolejny meldunek był o pańskiej wyprawie pod kapliczkę. A że jeden ze śledzących miał świetną lornetkę, dalej więc tłumaczyć nie muszę...

– A więc to tak... – wreszcie i Jacek zaspokoił swoją ciekawość.

– Mówmy więc może o Johnie Harrisie? – zaproponowałem.

– Nie pierwszy raz sprowadzają tego gościa i jego brata do Polski różne – mniej lub bardziej brudne – interesy, z których zresztą znany jest i w swoim kraju. Na razie jednak ani policja polska, ani angielska nie mogą mu niczego udowodnić. Tym razem przyjechał rzeczywiście po biureczko i może po coś jeszcze, ale tego się od niego nie dowiemy. I tu trafiła mu się transakcja życia: korona Władysława Łokietka. Przekazał bratu, żeby przyплыł do Gdyni z największą ilością gotówki, jaką zgromadzi po drodze. Sam zrealizował wszystkie czeki i naprawdę dodał do tego bentleya. Po czym zadowolony przewiózł mebelek na jacht. A papiery na zakup biurka ma naprawdę w porządku.



– Zapewniał mnie o tym – zauważyłem.

– Tymczasem nasze panie doszły do jakże słusznego z ich punktu widzenia wniosku, że dobrze mieć pieniądze za antyk oraz za koronę, a jeszcze lepiej i pieniądze, i antyk, i koronę. Tę przede wszystkim. Dalszy ciąg ich działania państwo znają.

– O tak! – pokiwaliliśmy zgodnie głowami.

– Dodam tylko, że na najmniejszą wzmiankę o koronie Władysława Łokietka pan John Harris robi wielkie oczy i smutną minę, że o tak przemyślnej skrytce w meblu nic nie wiedział. Mówi: „Bomba, owszem, była, ale korona królewska?...” Uważa, że takie cacuszko, jak owo weneckie cudo mogło być powodem zamachu na jego życie. Nie zamierza występować z tą sprawą przeciwko paniom Mroczkowskiej i Złotnickiej. I bez tego zresztą czeka je solidny wyrok...

– A pana Jana Mroczkowskiego? – szepnęła Zosia.

– Tak, jego bardzo żal... – zasmuciła się pani aspirant. – Nigdy nie trafi do Clinical Centre. Ale może polscy lekarze mu pomogą?

Powoli wstaliśmy z krzesel.

– Jeszcze raz dziękuję, panie Tomaszu – Gogolewska wyciągnęła ku mnie dłoń. – Gdyby nie pan...

– I gdyby nie oni! – wskazałem rodzeństwo.

– Czyli dzięki całej zgranej trójce! – zaśmiała się pani aspirant.

– Wujku, a co to, mandat? – Zosia wyszarpnęła zza szyby wehikułu kartonik, kiedy wyszliśmy z gmachu Komendy Głównej Policji.

Wyciągnąłem po niego rękę i mimo woli roześmiałem się. Wypisano na nim bowiem runicznym pismem:

*A jednak nie jestem takim ostatnim łotrem!*

*Waldek Batura*

Moja opieka nad Zosią i Jackiem dobiegła końca. Po uroczystym obiedzie, na jaki zaprosił naszą trójkę dyrektor Marczak, zawiozłem podopiecznych do Łodzi i oddałem w ramiona stęsknionych rodziców. Ci obsypali swoje latorośle pocałunkami oraz mniejszymi i większymi paczkami z prezentami; nie powiem, mnie także dostało się przy tej okazji kilka miłych drobiazgów.

Rodzeństwo postanowiło przebrać się i odprowadzić mnie na parking. Gwarzyłem sobie z siostrą i szwagrem, a tu maślaki wychodzą ze swoich pokojów. Aż mnie zatkało!

Zosia w swojej najpiękniejszej pąsowej kreacji; włos rozpuszczony i wyszczotkowany, że aż iskry lecą! A buciki, przepraszam, pantofelki, że inna to i na bal takich nie włoży! W rączce maluśka torebeczka, widać, że prosto z Londynu!

Jacek w czarnych dżinsach, do tego jakieś wymyślne półbuty i... biała koszula! Krój sportowy, bo przecież lato, ale biała!

Tak odpalonej – jak to się mówi – mojej parki nie widziałem.

A oni, jak gdyby nigdy nic:

– No to co, wujku, możemy iść?

Pożegnałem się z Ewą i szwagrem, którzy wylewnie dziękowali mi za opiekę nad małolatami, i poszliśmy. Uszliśmy kawałek, gdy Zosia zapytała:

– I co wujek planuje dalej?

– Zobaczymy, co przyszłość przyniesie – odpowiedziałem.

– Czyli szukać skarbów i tropić złodziei? – Jacek na to.

– Prawdopodobnie – westchnąłem nieco tajemniczo.

– I dalej samotnie? – spojrzała Zosia spod oka.

– Tak się składa, bo na więcej etatów nie ma pieniędzy w naszym ministerstwie – odparłem ostrożnie.

– Samotnie, ale w towarzystwie wiernego rumaka – Zosia poklepała błotnik wehikułu jakby z sympatią!

– Cieszę się, że polubiliście mój pojazd. Miło mi też, że już się go nie wstydzicie – stwierdziłem z satysfakcją.

– Bo poznaliśmy jego zalety – odparowała Zosia.

– Ale wyprawa do Roztoczańskiego Parku Narodowego ominęła nas! – westchnął Jacek.

– Szkoda – zawtórowała mu Zosia.

– Skoro tak żałujecie, że zbyt mało tego lata przeżyliście... – uśmiechnąłem się – ...to pozwólcie, że teraz na pożegnanie zaproszę was na lody, a w przyszłości obiecuję włączyć po Roztoczu!

– I przygody? – pstryknął w palce Jacek.

– Oczywiście – odpowiedziałem – taki już nasz los!

– Zastanowimy się nad tym w cukierni – roześmiała się Zosia.

– Let's go, my young friends! – powiedziałem.

– O, to wujek zna angielski! – chórem wykrzyknęło rodzeństwo.